

NOC MAJOWA.



R. N. 5 7429

NOC MAJOWA

POWIEŚĆ.

PRZEZ

J. J. Kraszewskiego.



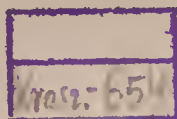
WARSZAWA.

FAKŁADEM KSIĘGARNI

Teodora Paprockiego i S-ki

8. Chmielna 8.

—
1884.



Дозволено Цензурою.
Варшава, 4 Августа 1883 г.



w Drukarni Emila Skińskiego, Chmielna Nr. 20 w Warszawie.

Noc była majowa, ale nie ów ideał majowej nocy, opiewanej przez poetów.

Noc smutna, pospolita, prozaiczna tego miesiąca, który przy całym swym wdzięku i blaskach jest może jednym z najkapryśniejszych w roku. Umie on być jak lipiec skwarnym, jak listopad zimnym, jak marzec śnieżnym i szronami smagającym, smutnym jak jesień i jak lato wesołym. Ma wszystkie dziwactwa wieku, do którego bywa porównywanym.

Noc była majowa, ale chłodna; po krótkiej burzy deszcz spokojny padał, jakby zaspany i znużony.

Drzewa stały świeżemi już liśćmi okryte, odświeżone, wonne, nieporuszane najmniejszym wiatru powiewem.

Na niebie nie było księżycy, ani gwiazd, powłoka szara, jednostajna okrywała je oponą ciężką i grubą.

Słowik z obowiązku nucił w krzaku tę pieśń stróża u kolebki, która jest śpiewem ojca i piastuna nie kochanka, choć dla nas miłosnemi brzmi dźwiękami.

Lecz i pieśń nie rozlegała się tak wesoło jak zwykle: odzywały się w niej tęsknoty, troski, trwogi życia i bóle jego.

Wśród krajobrazu, którego szczegóły noc kradła, na równinie gajami poprzecinanéj, stał dwór szlachecki, jak zwykle, między dziedzińcem a ogrodem. O téj godzinie późnéj dwór już był na wpół uśpiony.

Z téj strony, z której go otaczało podwórze, oficyny i budowy gospodarskie — panowała cisza — wszystko zdawało się w śnie głębokim pogrążone.

Psy podwórzowe, pozwijane w kłębki, leżały w ganku i przy drzwiach sieni. W napół otwartém wnijściu do kuchni, spóźniona para — parobczak w siermiężce na jedną rękę wdzianéj i dziewczyna z fartuchem do ust podniesionym — szeptali coś jeszcze do siebie.

Niekiedy na starych olchach nagle zaklekotał rozniewany bocian; słyhać było jak trzepotał skrzydłami, gniewając się na wróble, które w jego pańskim gnieździe swoje małe przytuliska pomieściły bez pozwolenia.

Z drugieej strony dworu odwieczne drzewa, krzaki gęste bzu, jaśminu, akacyi, podsuwały się prawie pod okna same. Gałęzie ich zwieszały się ku ścianom, tak że z ganku, okrytego bluszczem i winem dzikiem, wprost pod niemi przejść było można w główną ulicę lipową, ogród na wpół przecinającą.

Czuć tu było poszanowanie tego co od wieków miało czas się rozrosnąć, wybujac i jakby jednym dachem zielonym okryć wijące się dołem ścieżki, starannie piaskiem wysypane.

Z téj strony także znaczna część dworu ciemną była tak jak ta, która w podwórze wychodziła. Ze trzech tylko okien otwartych, światło bladą smugą wysuwało się na ogród, gdzieniegdzie posrebrzając liście drzew i zawieszone na nich deszczu kropelki.

Okna te wszystkie jeden duży pokój oświecały. Na stoliku przy ścianie paliła się lampa, przy której blasku dostrzedz było można dwa łóżka małżeńskie, usłane i przygotowane do spoczynku.

Z drugiej strony za parawanikiem stało małe łóżeczko dziecinne.

Na jednej ze ścian zawieszony portret mężczyzny w młodym wieku, z wyrazem smutnym i zadumanym na twarzy; promień od lampy, padający nań, oświecał go dziwnie i drgając nadawał mu jakieś życie, którego może nie miał we dnie.

Był to wizerunek człowieka, który wiele cierpiał lub wiele cierpieć był przeznaczony. Trudno było odgadnąć—przecucie losu jego, czy ból doznanym takim go czynił chmurnym i znękanym.

Znaczna część portretu przysłonięta była krempą czarną, dawniej zawieszoną starannie, teraz rozdartą, spyloną i na samém obliczu rozdartą.

Z ogrodu wszystkie te szczegóły przez okna pootwierane dla wpuszczenia wieczornego chłodu, wyraźnie rozeznąć można było. Płomień lampy świeżem powietrzem, wchodzącem z zewnątrz, poruszany, migotał, a po smutnej twarzy portretu przechodziły jakby cienie i światła wrażeń pogrobowych.

Sypialnia nie była wytworna, ale, jak zwykle w zamożnym szlacheckim domu, urządzona starannie i z myślą aby w niej miło żyć można.

W głowach obu łóżek widzieć się dawały połykujące w mroku, stare poświęcane, na blachach złożonych obrazki, krzyże, gromnice i wian-

ki — te *memento mori*, bez których dawniej nikt nie usypiał pod szlachecką strzechą.

Na jednej z kanapek, przy ścianach umieszczonych, leżała rzucona niedbale, świeżo zdjęta suknia kobieca, chustka i drobne stroju przybory; na drugiej, lat może dziesięciu dziewczę z główką okrytą włoskami jasnymi, potarganymi dzienną zabawą, usnęło nierozebrane, zmęczone, spar-te na jednej rączce; — z drugiej, spuszczonej na podłogę, upadł był pasek od sukienki odpięty.

Sen niespodzianie pochwycił dziecinę i zamknął powieki, choć usteczka jeszcze się do niedokończonej zabawy uśmiechały.

Trochę opodał od uspionej siedziały dwie osoby zajęte cichą, na chwilę przerwana rozmową.

Mężczyzna, wcale niepodobny do zawieszono-go na ścianie portretu, dosyć zażywny, rumia-ny, z rysami twarzy pospolitemi, głowę miał krągłą z niskim czołem, oczy małe szare, usta trochę oddęte, na których górnej wardze zuchowaty wąsik się kręcił.

Twarz nie zdradzała wielkiej inteligencji.

Była to natura pospolita, zdrowa, spokojna, nie sięgająca myślami daleko i nie tęskniąca za niczem niepoścignionem. Podobnych ję spotyka się pomiędzy hreczkosiejami, a choć się one ni-

czém uderzającém nie odznaczają, są przecież typem tego plemienia rycerskiego niegdyś, na roli siedzącego trochę beczynnienie.

Szlachcic to był z krwi i kości, za młodu zapewne hoży i świeży chłopak—teraz jeszcze mężczyzna przystojny, ale jak medal trochę starty, nie pociągający już oczu.

Strój jego, który opowiadał że był u siebie w domu, charakterystycznie był wiejskim. Składał się z szaraczkowego lekkiego ubrania, butów długich, a że szeroka pierś prędkiej się ochłodzić potrzebowała niż ogrzać—nie widać było na niej kamizelki. Kurtka leżała na nim pomięta, rozpięta szeroko, a przez rozwartą nieco koszulę, pierś włosami okryta przeglądała.

W tłustej, jakby nabrzmiałej, z krótkimi palcami ręce, trzymał zagasłe cygaro, a z rysów zmęczonych wyczytać się dawała chęć do snu, którą potwierdzało lekkie ziewanie, usilnie tłumione.

Ręka z cygarem, wywieszona za poręcz krzeselka niedbale—niekiedy machinalnie, bezmyślnie je cisnęła i okręcała.

Obok, na wygodniejszym krzeselku, siedziała kobieta młoda jeszcze, jeszcze piękna, ale twarzy przekwitłej i uwiędłej przedwcześnie. W rysach jej dostrzedz było można jakby coś pokrewnego,

coś zbliżającego je do portretu zawieszonego na ścianie.

Obu wyraz, pełen boleści, był jeden.

Oblicze to niewieście było niegdyś cudownie ukształtowane ręką natury, tworzące krótkotrwałe arcydzieła. Dziś jeszcze nos, usta, czoło, nade wszystko kunsztowna oprawa ślicznych czarnych dużych oczu, pełnych wyrazu, a wpadłych głęboko i jakby łzami zmęczonych — stanowiły całość pełną harmonii, typ bolejącej i zbolałej, choć, skrzepłej już cierpieniem istoty.

Na ustach jej uśmiech nawet, który wywołało spojrzenie na uśpioną dziecinę, miał w sobie coś niewymownie tęsknego, męczeńskiego prawie.

Włosy ciemne, okalające owal nieco przedłużony, policzki trochę wpadłe i blade — rozrzucone były w nieładzie, nadając ogółowi fizygnomii coś rozpaczliwie niemal zaniedbanego.

Była to twarz kobiety, która się wszelkić wyzrekła zalotności, a od świata nic już się nie zdawała żądać.

Wieczorne ubranie, spięte na piersiach nie dbale, okrywało kibić piękną, wysmukłą, ale bez żadnego starania narzuconym szlafrocikiem osłoniętą. Jedną ręką podpierała głowę jakby ciężącą, drugą trzymała zwieszoną tak prawie jak dziew-

czę uśpione. Kształty dwóch tych rąk zupełnie podobne do siebie, łatwo się domysleć dawały matki i córki.

W małżeństwie tém trudno było dopatrzeć węzła, coby je mógł łączyć z sobą. Kobieta stała na wysokościach, których mąż nigdy nie mógł dosięgnąć ani myślą, ni uczuciem. Były to dwie natury nierówne, wagi nie jednej, do zrozumienia się niestworzone.

Pewna tylko dobroduszość w mężczyźnie i znużenie w kobiecie tłumaczyły związek ich z sobą.

Takie było wewnątrz sypialni, w chwili gdy dostrzeżony sen dziecka przerwał rozmowę małżonków.

Mąż patrzył znudzony w okno, na którego czarném tle kropelki deszczu spadającego błyskały, jak przelatujące brylanty, i nikły w mrokach. Ona oczy miała wlepione w dziecię, z taką macierzyńską czułością, z takim rozrzewnieniem miłości, iż się łez prawie w nich było można domyślać.

Słowik tymczasem w bzach wyśpiewywał, a cichy szmer deszczu wiosennego towarzyszył mu, grając na szerokich liściach blizkich kasztanów.

U drzwi ogromny wyżeł pstrokaty, wychudły, stary, spoczywał na podesłanym dywaniku; musiał on być ulubieńcem państwa, gdy tu nawet wolno mu było im towarzyszyć.

Westchnienia psa i mruczenie przez sen, nie tyle uwagę pana zwracały co saméj gospodyni, która z wielką troskliwością spoglądała na inwalida.

*

**

*

Noc była ciemna bardzo, lecz ktoby był mógł przeniknąć jéj głębie, za ogrodem dwór otaczającym, dostrzegłby jakąś postać podejrzaną, która się do oparkanienia zwolna, ostrożnie, ale z widoczną znajomością miejscowości zbliżała.

Tuż za ogrodzeniem, przechodziła droga szeroka, gościniec drzewami pochylonemi wysadzany... Brzozy jego i wierzby, powykrzywiane wichrami, wśród nocy, wyglądały jak fantastyczny jakiś orszak tanecznic śmierci, rozpięzchłych szeroko i w czarną dal, żałobnym lecących korowodem.

Z gościńca tego domyślać się było można, iż wędrownik zwrócić się musiał pod parkan oddzielający ogród od pola zasianego, na którym już bujnie podrastała pszenica.

Wśród mroków nocy, człowiek ten podkrada-
jący się tak ostrożnie i nieśmiało,—wzrostu słu-
znego, zbudowany silnie—najpodobniejszym był
do pospolitego złodzieja.

Oglądał się dokoła, szedł to krokiem przy-
śpieszonym, to wolnym—stawał, oglądał się, przy-
słuchiwał.

Zdala od wsi słyszać było przerywane psów
naszczekiwanie... Niektóre z nich wyły i milkły
nagle, jakby się same zlekły swego głosu.

Przychodzeń zdawał się liczyć kroki, szukać
czegoś, w końcu ręką natrafił na furtkę, która
z téj strony prowadziła w pole.

Musiał wiedzieć o niej i znać ją zdawna, bo
ruchem śmiałym i pewnym ujął jęj klamkę, poci-
snął — ale wniście było z wnętrza zaryglowane.

Raz i drugi wstrząsnął nią mocno, a że się
furtka opierała, rozgorączkowany i zniecierpli-
wiony, oburącz chwycił drzwiczki, które skrzy-
piąc i trzeszcząc—uległy.

Obejrzał się niespokojnie, czekając chwilę i na-
stawiając ucha, lecz hałasu tego nikt nie zdawał
się słyszeć, wbiegł więc pospiesznie w ogród za-
rosły i ciemny, zamykając za sobą wyłamaną
furtkę...

Tu takie mroki panowały, pod szerokimi

drzew gęsto skupionych konarami, że człowiek nieznający miejscowości, byłby się w nich łatwo obłąkał.

Przychodzeń stanął chwilę, twarz zwróciwszy w stronę dworu—ale nie żeby szukał i badał kierunek w którym się miał puścić; zdawał się słabnąć raczej—bo oparł się o pień stariej lipy.

Nie trwało to jednak długo.

Podniósł głowę, oczy rozwarły się szeroko i jakby władzą przenikania ciemności obdarzone, poczęły rozglądać się na wszystkie strony.

I żywo rzucił się naprzód, zwyciężywszy chwilowe wahanie, rozsuwając przed sobą pozwieszane gałęzie, a za każdym ich szelestem, wstrzymując się onieśmielony—i po chwili znowu przyspieszając kroku.

Chciał co prędzej wydobyć się z gęstwiny i zdradzić obawiał, nogi pod nim dygotały, ręce z siłą konwulsyjną kruszyły co napotkały na drodze.

Ścieżkami umiejętnie wybieranemi, które go w najkrótszym czasie mogły doprowadzić do dworu — szedł to zbyt żywo, to krokiem ociężałym i powolnym.

Uczucie jakieś pędziło go, prowadziło—nagliło, rozum i obawa wstrzymywały.

Z poza gałęzi drzew gęsto splecionych, przedarł się nareszcie promyk światła od okien sypialni. Schyliwszy się mógł już dostrzedz na jaśniejszém tle niebios, czarno występujący dwórcały i okna, w których drżał blady blask lampy...

Staął.

Słowik śpiewał tęskno a niespokojnie, deszcz kropił spadając na liście, kogut zapiał gdzieś w dali i na głos ten, powołujący do czuwania, odpowiedziały inne na wsi i folwarku.

We dworze cicho było—dokoła żadnej żywej duszy.

Po wilgotnej ziemi mógł przychodzić stąpać nie będąc słyszany. Zwrócił się w prawo ku oknom oświeconym, które za każdym krokiem, dalej mu we wnętrze sięgnąć dozwalały.

Wzrok jego wyteżył się ku nim, uwiązał w nich z potęgą, która zdawała się dosyć silną, by mury przebiła. Z miejsca jednak na którém stał nie wiele więcej widać było, nad zamglony obraz objęty ramami okien i drgające w nich firanki.

I znowu sił mu nie stało, pochwycił się za piersi jakby go suknia dusiła—głowę dźwignął, odechnął ciężko. Padający na przychodnia słaby odblask od okien, dawał teraz widzieć lepiej tę postać zagadkową.

Był to mężczyzna lat średnich, opalony nie słońcem ale wichrami i pracą, wybladły — z twarzą wymizerniałą, na której sterczały kości obleczone skórą stwardniałą.

Twarcz miała jakieś dalekie podobieństwo rysów z wizerunkiem zawieszonym w sypialni, lecz tamto było dziecko dostatków, pieszczone, a to nędzarz wygłodniały i człowiek jakby należący do gminu.

Rysy też miały wyraz więcej męzki, energiczniejszy i rozpaczliwszy razem. Oczy jego nadzwyczajném błyskały światłem, sypały się z nich iskry, strzelały płomienie, usta drżały, marszczyły się policzki, czoło fałdowało.

Strój miał na sobie z prostego sukna, krojem któryby przystał ubogiemu oficjalskie lub zaściankowemu szlachetce.

Pod zwierzchnią suknią widać było na sznurkach prostych zwieszoną torebkę; kij gruby trzymał pod pachą, bo rąk obu potrzebował dla torowania sobie drogi między gałęzmi.

Na głowie pomięta czapka, nasunięta na czoło, z pod której wymykały się przerzedziałe włosy — nie miała barwy, ni kształtu.

Zbliżyć się ku dworowi nie śmiał jeszcze — a ciągnęło go ku niemu. Pochylał się rozgarnia-

jąc krzaków gałęzie, stawając i cofając... Poruszony krzew jeden spłoszył śpiewającego słowika który furknął z niego i siadł znowu na straży gniazda i rodziny.

W prawo mała ścieżka, wśród różnobarwnych rabatów kwiecistych prowadziła do okien samych pod ścianą dworu.

Na palcach począł nią podsuwać się ku oknom włóczęga.

Z za gęstego krzaku bzu, który właśnie rozkwitał i cały był okryty wonnemi gronami, mógł już stanawszy sięgnąć wzrokiem w głąb sypialni, a nawet usłyszeć śród nocnej ciszy wyraźnie się rozchodzącą małżonków rozmowę...

Spojrzał i jak skamieniały stanął z załamanymi rękami.

*

*

*

Mężczyzna siedzący w krześle, nie mogąc już wstrzymać się dłużej ziewnął razy parę po cichu.

— Okrutniem się dziś zmęczył — rzekł stłumionym głosem. Oczy mi się już kleją, choć wiem że położywszy się nie zasnę. W krześle drzemie a w łóżku przewracam się — i niewiedzieć jakie głupie myśli mi przychodzą.

Żona nie zdawała się go słuchać, patrzała na dziecko zatopiona w niém cała.

— Żebyś mi pozwoliła jeszcze wypić szklanczkę groku do poduszki — ciągnął dalej powoli żebrząco mężczyzna — zasnąłbym zaraz, ale ty zapachu rumu nie możesz znieść.

I tego wniosku nie zdała się słyszeć, albo chcieć zrozumieć kobieta. Lekkiezaledwie poruszenie ramion świadczyło, że się czegoś dorozumiewała.

— Jakże? — zapytał ziewający — ten grok? mogę się go spodziewać, duszko moja?

Popatrzył na swą zadumaną towarzyszkę długo, ręką w której trzymał zagasłe cygaro rozpaczliwie zamachnął i mruczał dalej półgłosem:

— Wiem, wiem, że ty groku nie lubisz, znajdując go zamało dystyngowanym, a i tego co grok lubi — coraz mniej?

Rozśmiał się ze zwrotu tego frazesu, który mu się musiał wydać dowcipnym.

— Darmo to, darmo, chociażśmy się pobrali, ja nigdy podobno nie będę u ciebie w tych łaskach co nieboszczyk!

I od niechcenia rękę wyciągnął ku przysłonietemu krepą portretowi.

Na wspomnienie nieboszczyka, kobieta drgnęła i z oczu jój łzy, które się dotąd pod powiekami zbierały, pociekły po twarzy.

— Nacóżeś żenił się ze mną? — szepnęła ledwie dosłyszczanym głosem, przypomnij com ci mówiła przed ślubem...

— Pamiętam ja to, ale mało co kobieta mówi przed ślubem—rzekł mąż—a potem się to zmienia...

Mógłbym i ja—dodał na pół żartobliwie, podpatrując jakie czynił wrażenie—powiedzieć ci na cóżeś wyszła za mnie? Sądziłem, że przecież kiedyś zapomnisz zmarłego, a żywego do łaski swój przypuścisz... A tu, tymczasem, ja do téj pory nie mogę się nawet doprosić, abys z sypialni kazała wynieść ten portret jego... który mnie dławi i prześladowuje... Gdzieżto kto kiedy widział, aby w sypialnym małżonków pokoju pierwszy mąż *in effigie* stał na warcie, i wspomnieniem swém nieustannie dokuczał mężowi wdowy!!

— Proszę cię—słodkim, łagodnym, zniżonym głosem aby nie obudzić dziecięcia, odezwała się żona—wszakżem ja to za warunek kładła małżeństwu naszemu, gdym wychodziła za ciebie, że mi dozwolisz i ten portret mojego Karola, ojca Klarci, i pamiątki po nim zachować. Proszę cię, przypomnij słowa moje... przyrzeczenia własne...

Staraleś się o mnie długo, wiesz żem miała najmocniejsze postanowienie nigdy nie wychodzić zamaż—tylko troskliwość o los Klarci, o jój przy-

szłość—potrzeba opiekuna dla dziecka na wypadek śmierci mojej, mogły mnie skłonić do drugiego związku, gdym po pierwszym płakała.

Nie obiecywałam ci serca, bom go dać nie mogła, złamane było na wieki...

Wiesz i to, jaką uczyniłam ofiarę, jaki gwałt zadałam sobie, nie mając pewności o śmierci Karola... chociaż niby ją urzędownie poświadczono...

Ale w ucieczce, gdy ich napadnięto, mordowano i rozproszono, kto mógł tak bardzo starać się o sprawdzenie poległych?

Ja do dziś dnia...

— A! a! przerwał niecierpliwie mężczyzna, włosy targając na głowie. Znowu ta stara baśń! Zawsze ci się zdaje, że Karol żyje i kiedyś zjawić się może! Cóż u licha, to sensu niema! Wszakże przyszło świadectwo, że został zabity...

Kobieta płakać zaczęła i chustką zasłoniła sobie oczy. Mąż to popatrzył na nią, to na cygaro, i mówił smutnie dalej:

— Nie przeczę, że nieboszczyk Karol był ideałem, z którym ja się mierzyć nie mogę. Ja jestem sobie prosty szlachciura, prosty człek, a tamten więcej miał i w głowie i w sercu...

Nie—przerwał poprawiając się i podnosząc śmiało wejrzenie. —Nie — w głowie miał więcej,

w sercu—nie!... Kochać umiem — ale na tém koniec, a dla ciebie tego nie dosyć... Musisz więc go opłakiwać, choć dla mnie każda twoja łza wymówką...

— Lecz — odezwała się kobieta prędko oczy ocierając, jakby się winną uczuła—czyż widzisz mnie kiedy płaczącą? Dziś, gdyś mi sam przypomniał tego biednego męczennika, nad którego losem obcy by nawet uzalić się musiał, cóż dziwnego żem łez kilka wylała?

Mąż zlekka poruszył ramionami.

— Tak! męczennika!—zamruczał—ale sam on się dobrowolnie skazał na to męczeństwo...

W téj chwili Klarcia, która się była na kanapie zdrzemnęła, poruszyła się, otworzyła oczy i uśmiechnęła tym uroczym śmieszkiem dziecka, które w życiu tyle wesela kosztowało.

Śmiałym ruchem ręki, zdradzającym pieszczoszkę, odgarnęła z czoła włoski, tupnęła nóżkami—stała na nich i obie rączki wyciągnawszy przybiegła klęknąć przed matką, która się ku niej z czułością pochyliła i objęła.

— Mamuńciu! — zaszczebotała oglądając się po pokoju — wszak to już musi być późno? mnie już czas spać iść, a ja jeszcze nie zmówiłam pacierza?

I jak gdyby do pacierza tego przeszkadzał siedzący obok ojczym, bojaźliwie spojrzała ku niemu...

Pan Bogusław patrzył także na dziecko, z wyrazem pocziwego, prostodusznego przywiązania... Uśmiechnął się do niej, pocałował ją w czoło i ruszając z krzesła, dodał:

— Pójdę na ganek kiedy wam przeszkadzam. Mówcie sobie pacierze wasze, przejdę się tymczasem z cygarem na świeżem powietrzu, żeby tu Józio nie robić dymu. Ale — słówko tylko — szepnął zbliżając się do żony...

Klarcia zerknęła na niego żywo, odgadła, że przy zwierzeniu się poufném może być niepotrzebną i zbiegła ku swojemu łóżeczku, włosy potargane znowu porządkując obiema rączkami i zakładając je za uszka różowe...

Pan Bogusław stał małą chwilę, namyślając się co ma powiedzieć — bo nie bardzo był pewnym czy się tak wysłowi jak sobie życzył... Nie miał wcale talentu przystrajania myśli swoich i czuł to dobrze.

— Józio moja — począł, wahając się — słowo honoru, słowo uczciwego człowieka... ty sama wiesz ja się z tobą nie ożeniłem dla majątku. Bóg widzi, miałem go dosyć i dużo dla siebie nie potrzebuję...

Kochałem cię, jak Bóg przykazał, kocham, a choć mogę być niezgrabnym i nieokrzesanym, staram się we wszystkiém myśl twoję spełnić... Nie sprzeciwiam ci się w niczém, służyć jak umiem i mogę, Klarcie kocham jak gdyby moją własną była, nie jak ojczym ale po ojcowsku...

Tu głos mu zabrzmiał smutnie...

— A, z tém wszystkiém, ty płaczesz i płaczesz, przeszłości zapomnieć nie możesz, jesteś, dalibóg, nieszczęśliwą! Cóż tu począć!

Załamał ręce...

Żonie, gdy go słuchała, lice się powoli rozjaśniło nieco, zlekka białą dłoń położyła mu na ramieniu, obejrzała się ku dziecku które słało łóżeczko, bardzo będąc niém zajęte, i poczęła cicho:

— Nie żądajże odemnie niepodobieństwa! Czyż ja cię nie oceniam, czyżem ci nie jest wdzięczną? Nie jestem-że dla ciebie powolną żoną i towarzyszką? ale, mój Bogusławie, serce to zbolełe nigdy przeszłości zapomnieć nie potrafi, ani straconego szczęścia, ani tego człowieka, któremu się całe oddało;—kocham cię jak dobrego brata, mam szacunek — lecz cień mojego Karola nigdy mnie nie odstępuje.

Łzy potoczyły się jęj z oczów. Pan Bogusław milczał—ona mówiła coraz żywiej, głos jęj drżał.

— Nie mięj mi tego za złe, że wspomnieniom jestem wierną. Czasami tygodniami całemi bywam spokojną, prawie wesołą, musisz mi to przyznać. Dziś nie wiem sama co to jest, nie rozumiem siebie, coś niepojętego dzieje się ze mną, tak niespokojną się czuję przez wieczór cały. Rozdrażnioną jestem, rozbolała,—bez widomęj przyczyny zablżniona rana się otworzyła. Cierpię...

Powiesz, że to dziwactwo!

Karola mam ciągle przed oczyma, widzę go, czuję, zdaje mi się jakby się zbliżał...

Mówiąc to szeroko otwarła oczy, z trwogą się w okno wpatrując.

Bogusław zmięszał się mocno, zachmurzył, ale razem litość uczuł dla żony: jakby wypowiadała mu się z choroby niebezpiecznej. ●

Wziął ją łagodnie za rękę, począł całować...

— Jóźko moja—szeptał z wyrazem gorącego współczucia—uspokój się, proszę cię, pomódl się, zmów pacierz za jego duszę, zajmij się dziećciem—nie myśl o tém! To imaginacye! Nie trzeba sobie tych marzeń pozwalać.

Zlituj się.

Chwilkę stał zafrasowany i jak bezsilny.

— Ja, rzekł cicho, nie umiem nawet ci nic wyperswadować, głupi jestem, niezręczny, ale znasz serce moje...

Powiedz, czego chcesz? proszę, zrobię co każesz.

Troskliwość z jaką się krzątał około płaczącej, okazane jój współczucie, wyraz dobroci, który brzmiał w głosie poruszonym—wszystko to razem i ból który ją przejmował skłoniły biedną kobietę do okazania mężowi wdzięczności — a téj najmniejsza oznaka była dla niego szczęściem niewypowiedzianém.

Zwolna pochyliła zboląłą głowę i milcząca oparła ją na jego ramieniu.

Bogusław pochwyciwszy jój rękę z zapalem, okrywał ją najgorętszemi pocałunkami.

Cisza nocy uroczysta, bo nawet słowik w bzach przerwał swoją cantilenę na chwilę — scenie téj życia domowego dodawała uroku.

Obraz był piękny.

Mała Klarcia, która trzymając w ręku kołderkę, spojrzała na matkę i ojczyrna — stanęła nieruchoma, niespokojnie, zazdrośnie przypatrując się téj parze ludzi co się wydawali szczęśliwymi, jeżeli nimi nie byli...

Wtem milczenie to przerwał jakby jęk jakiś

głuchy, stłumiony, który zdawał się wychodzić z głębin gąszczy ogrodu.

Kobieta drgnęła i krzyknęła przestraszona, Bogusław rzucił się z miejsca w którym stał, ku oknu.

Śpiący u drzwi wyżeł, zbudzony, porwał się jednym skokiem, podbiegł także do okna, spał się na nie — zaczął warczeć i szczekać.

Szerść się na nim najeżyła, nastawił uszy, nozdrzami wciągnął chciwie powietrze i gdy się zdawało, że miał się rzucić za okno, oniemiały drżał cały.

Dziwnego coś się ze psem stało... Trząsał się coraz bardziej i skomlał, napróżno staremi bezsilnymi łapami usiłując wydobyć się na ogród. Stracił siły... i wyskoczyć już nie mógł.

Pani domu, niespokojna, odwoływać go ku sobie zaczęła. Zwrócił ku niej oczy jakby błagające i niemi wskazywał — za okno.

— Trzeba go wypuścić, ten pies coś czuje — odezwał się Bogusław. — Wezmę go z sobą, a w tymczasem z Klarcią mówcie pacierze; powrócę wkrótce.

Świsnął na Tyrasa, który żwawszym niż zwykle krokiem, wysunął się za gospodarzem. Zapaliwszy naprędce cygaro u lampy, Bogusław wyszedł i drzwi zamknął za sobą.

Po oddaleniu się jego żona padła znużona i zboląła na krzesło, ręką zasłoniła sobie oczy i zadumała się głęboko.

Klarcia już była sobie posłała łóżeczko;—poziewało biedne dziewczę i wolnemi kroczkami, aby nie nastraszyć matuni, zbliżyło się do niej.

Uklękło przy jej kolanach, złożyło ręce jak do modlitwy, i cicho szeptać już zaczęło. Dopiero głos ten dziecięcy, ukochany, zdołał z marzeń i zadumy wywieść biedną kobietę. Podniosła głowę, otarła oczy, schyliła się nad Klarcją, zdała z nią razem powtarzać modlitwę, a po skończeniu jej, wskazując na obraz u ściany, okryty krepu — przypomniła Anioł Pański za duszę ojca.

Klarcia, mając go odmawiać, zwróciła się główką ku obrazowi i przez cały ciąg modlitwy oczą już z niego nie spuściła.

Uściskały się potem w milczeniu, i dziecię, według zwyczaju, odejść miało do łóżeczka, lecz nowy uścisk macierzyński przykuł je do objęć matki.

Uśmiechnęła się smutnie.

— Proszę mamci, odezwało się dziecię głosem zniżającym — czy mama to uważa jak dziś ten nieboszczyk tatko na obrazku gdyby żywy, zdaje się ruszać oczyma i ustami, aż strach, tylko co nie przemówi...

Klarcia jeszcze mocniej przytuliła się do matki.

— Tak ci się zdaje, moje dziecko, odpowiada matka — płomień lampy się porusza i cień chodzi po obrazie.

— To ja wiem, odparło dziecię spuszczac główkę — ale dziś tatko przez cały dzień był mi na myśli — nie wiem czemu, nawet mama mi o nim nic nie mówiła.

Matka, która tego samego doznawała uczucia, z pewnym przestachem usłyszała te słowa dziecka, nie umiała jednak odpowiedzieć na nie...

Było coś cudownego w tej zgodzie dwu ich serc i myśli.

Klarcia, raz począwszy szczebiotała.

— Cały dzień tylko o tym tatku myślałam.

Stary Jakób może ci mówił o nim? — spytała matka.

— A! pocziwy ten stary Jakób, żywo prze-rwało dziecię — on mi zawsze dużo różnych rzeczy rozpowiada o tatku, bo on zdaje się o czém inném myśleć ani mówić nie może; ale innych dni to się w głowie nie trzyma, a dziś...

— Któż wie? odparła tęsknie matka — może dusza jego przypomina się nam tak, prosząc o modlitwę!

— No to zmówmy jeszcze jeden Anioł Pański, mamunciu droga! zawołało dziecię i ledwie tych słów dokończywszy, z żywością dziecięcia Klarcia podbiegła ku środkowi pokoju, uklękła, złożyła ręce, główkę podniosła ku obrazowi, głośno zaczynając znowu odmawiać Anioł Pański.

Matka też wstała z krzesła, stanęła nad nią i modlitwę za dziećciem odmawiała cicho.

Jeszcze nie była skończoną gdy ten sam jęk stłumiony, który się już raz był dał słyszeć z ogrodu, powtórzył się ze słabym i nagle urwanym okrzykiem. Gałęzie zaszeleściały.

Dziecię przestraszone rzuciło się w objęcia matki; pani Bogusławowa zbladła, nastawiła ucha, ale słowik znowu swą piosnkę nucił w zaroślach, i nic już, oprócz szmeru kropli z liści spadających, słyszeć nie było.

Wtem drzwi się otworzyły i Bogusław z twarzą wypogodzoną wszedł do pokoju.

— No, spać! spać! zawołał. Klarcia dotąd nie w łóżku jeszcze... Co to znaczy? Spać! wszak to już północ być musi.

— A gdzie Tyras? zapytała pani domu, widząc że stary pies, który zwykł był do sypialni powracać i kłaść się u drzwi na dywaniku nie wrócił.

— A! Tyras! Nie było go sposobu nawołać, — rzekł dosyć obojętnie gospodarz. — Poleciał gdzieś w krzaki, musiał poczuć zwierzynę... Czasem zające do ogrodu się wkradają, a raz spłoszyłem stadko kuropatw... Napróżno na starego krzyczałem i świstałem — nie wrócił.

Ależ mu się nic nie stanie. Nieraz już nocował na podwórzu: to nawet zdrowiej dla niego... Zresztą zna on prawa swoje, powróciwszy z nocnego polowania zacznie skomleć i ja go, boso wstawszy, wpuścić będę musiał.

To mówiąc, Bogusław, dawszy Klarci znak aby szła do łóżeczka, począł okna jedno po drugim zamykać i idąc do swego łóżka, zwolna się rozbierał, wsłuchując się w śpiewy słowika...

*

*

*

Stary Jakób, ze wszystkich tutejszych mieszkańców, najdawniejsze czasy pamiętał, a do miejsc i do wspomnień najmocniej był przywiązany.

Wieś i dwór ten należały do rodziców Karola, potem do niego. Jakób go na ręku wykołysał, strugał mu pierwsze zabawki, on raz pierwszy posadził go na kucyka, potem chodził z nim polować na kaczki.

Z paniczem swoim jeździł do szkół, był z nim na uniwersytecie — nie odstępował go na krok.

Więcej przyjaciel niż sługa, nieustannie nad nim czuwał, Karol też obejść się nie mógł bez niego.

Wprawdzie wychowaniec zawczasu przerósł go umysłem, wykształceniem — lecz pocziwe serce jego przy starym pozostało.

Rozumny też to był człowiek z tego starego Jakóba — choć niby niewiele umiał, niczego się nie uczył i był bardzo prostém wioski dzięcięciem.

Ale życie wiejskie dla pewnych, stworzonych dla niego organizacyj jest zbawienném. Człowiek wychowany w mieście, mający ciągle do czynienia ze stanem już kunsztownie wytworzonym społeczeństwa, podziałem pracy rozdrobionego na kółka mające swe funkcyje właściwe, małeńkie, wyłączone, rozwija się tylko w pewnym, jednym, praktycznym kierunku. Siły w nim niezużyte tępieją. Staje się bezmyślnym trybem lub kółkiem wielkiej maszyny.

Na wsi on inaczej rozwijać się musi, wielostronnie sobie radzić, wszystko starać rozumieć, co chwila uczyć się czegoś nowego. Umysł jego pracować musi jak ręce.

Ciągle obcowanie z naturą przyczynia się także do wykształcenia go, a że w świecie wszystko wedle jednego niezmiennego prawa się rozwija — poznanie jednej drogi daje przez analogią znajomość dróg innych.

Znajdujemy po wsiach takich prostaczków polyhistorów, którzy po swojemu, dziwacznie, ale cały ruch świata i życia jakoś sobie tłumaczą; gdy w miastach wielce wyuczeni w swoim rzemiośle tylko, w niém zamknięci ludziska — poza tém obcy są wszystkiemu.

Jakób miał ten prosty rozum chłopski, który nawet to ocenić umie, czego osiągnąć nie może.

Za młodu żwawy, żywy, pracowity — *ciekawny* (tak ich zowią na wsi); — na starość nabył tego spokoju ducha, który tylko wyższym istotom, wybranym danym bywa.

Z paniczem swym, później panem Karolem, długie przeżywszy lata, z nim razem, można było powiedzieć, kochał się w pięknej Józi, żenił go z nią, przebył parę lat miodowych, patrząc z rozkoszą na jego szczęście domowe.

Jak piorun potem spadło na to gniazdo — co mało które ominęło. Karol gorącym sercem poszedł gdzie go wiodło uczucie; został zdradzony, pochwycony, osądzony, wysłany.

Jakób, na chwilę się nie zawahawszy, gotował się mu towarzyszyć, tak samo jak żona. Oboje ich wstrzymała wyraźna wola, rozkaz stanowczy Karola, który dla dziecięcia kazał pozostać matce, dla matki słudze.

Jakób gorzkimi to opłakał łzami — ale musiał mu być posłusznym. Jako stróż i opiekun siadł podstarzały, znękany, razem z psem pańskim, pilnując domowych progów.

Długo tak upłynęły lata, tem dłuższe, że często po pół roku na kradziony list, na jakąś wiadomość z trudnością się przedzierającą, oczekiwać było potrzeba. Z Jakóbem o wygnańcu całemi wieczorami rozmawiała biedna żona. Jakób, który był niańką Karola, teraz Klarcie jak niańka piastował i pieścił.

Ale stary, poczciwy sługa nie wszystkiemu w domu mógł podołać. Gospodarstwo, interesa wymagały rady; zjawił się z chętną pomocą, pokorny, dobry, grzeczny sąsiad pan Bogusław.

Był to przyjaciel serdeczny Karola, towarzysz jego szkolny, a potem razem się w pięknej Józki kochali.

Bogusława miłość dla niej wciąż się nazwać mogła, tak zdala i nieśmiało wpatrywał się w ten ideał, nie czując się godnym zbliżyć do niego.

Usługi, które w początku ofiarował pani Karolowej, były najzupełniej bezinteresowne. Wiedział o przywiązaniu jój do męża, o najmocniejszym postanowieniu, skoro dziecię podrośnie i sił nabierze, udania się z niém do ojca.

Karolowa spodziewała się że ciężkie roboty, na które mąż jój był skazany, wkrótce zostaną na proste osiedlenie zmienione.

Gdy się temi łudziła nadziejami, a ostatnie listy męża zdawały się je potwierdzać, nagle dzienniki przyniosły wiadomość o jakimś gwałtownym kroku garści skazanych, o pogoni wysłanej za nimi, śmierci głównych przewodców.

Pomiędzy nimi po imieniu i nazwisku wymieniony był Karol, jako z bronią w ręku w walce poległy.

Żona o mało życiem nie przypłaciła niespodzianie otrzymanej wiadomości. Przywiązanie do dziecka tylko mogło ją zmusić do dźwigania nieznośnego ciężaru... życia bez nadziei.

Wszyscy współczuciem otaczali nieszczęśliwą; Bogusław nie należał do ostatnich.

Jakób, jako przyjaciela nieboszczyka, powoływał go sam, chętnie się nim posługiwał, a biedna wdowa wdzięczną mu była za troskliwą opie-

kę, nie posądzając ażeby zapłaty za swe dobre serce mógł wymagać.

Tymczasem interesa majątkowe poplątały się bardzo, potrzeba było wieś ocalić dla dziecka. Wszystko to i nadzór nad gospodarstwem spadł na usługnego sąsiada.

Jakób złamany, zestarzały, został tylko stróżem domu. Wielu rzeczy nie rozumiał, bo go boleść ogłuszyła, wielu podołać nie mógł.

Jak potem przyszło do tego, że częstym tu bywając gościem, potrafił sobie rękę wdowy wymodlić — wytłumaczyć nie umiemy; Jakób też tego nie rozumiał.

Zdaje mi się iż może ani sama pani Karolowa, ani Bogusław, ani ci co byli świadkami téj metamorfozy, jasno sobie z niéj sprawy nie zdawali.

Wiele różnych, maleńkich wpływów składało się na ten niespodziany wypadek, którego wdowa nigdy wprzód przypuszczać nawet nie chciała Bogusław go się nie śmiał spodziewać, a Jakób z razu mu nie chciał wierzyć.

Obawa o los dziecka, sieroty, któremu Bogusław obiecywał być najczulszym ojcem, wdzięczność za usługi, łagodny charakter człowieka, gorące jego przywiązanie — zachwiały postanowieniem wdowy niewychodzenia zamąż.

Po długim wahaniu się, na natrętne błagania oddała rękę uszczęśliwionemu Bogusławowi.

Jakób się na to oburzał, a choć wymówek czynić nie śmiał — w duszy przebaczyć jej nie mógł.

Od téj chwili od dworu się prawie usunął, stał się dzikim i milczącym.

On — w duszy swój, pomimo urzędowego oznajmienia o śmierci Karola, nie wierzył w nią. Z tym uporem jaki daje wielka miłość — podobny był do tych ludzi co nie przypuszczali, aby Napoleon mógł umrzeć, ciągle spodziewając się jego powrotu. Wyglądał jakiegoś cudownego zjawienia się swojego zmartwychwstałego Karola.

Gdy mu się starano dowieść, iż napróżno łudził się nadzieją, odpowiadał zacięcie:

— Nieprawda! nie zabili go! żyje! żyje!!

W rozmowach nawet z Klarcją wymykały mu się dwuznaczne wyrazy, nadzieje dziwaczne, które przez usta dziecięcia powtarzane, dochodziły do matki i niepokoiły ją.

Stary Jakób, teraz już co najmniej siedmdeściatkilkoletni (sam on, jak wielu wieśniaków, wieku swojego nie znał) pomimo lat był olbrzymiej siły i wytrwałości.

Niekiedy duch w nim słabł, naówczas niedo-

magał cieleśnie, kładł się na piecu, morzył głodem, pił wodę tylko, włóczył się zgarbiony o kiju; potem nagle dźwignąwszy się odzyskiwał dawne siły, najcięższą podejmował pracę, pieszo odbywał milowe wędrówki, i około swój chaty nikomu sobie posługiwać nie dawał.

Znano go z tych dziwnych upadków i powstawania, tak że gdy zachorzał i zamknął się w chacie, starsi głowami potrzásali, mówiąc:

— Nie będzie mu nic, jak niedźwiedź zimą łapę liże, a potem wstaje, tak i on wyleży się, wygłodzi i wara mu włożyć w drogę.

W tych chwilach, gdy był przy siłach, Jakób najmłodszym mógł podolać. Parokonny wóz obładowany, ująwszy z tyłu za koło, wstrzymywał, choć się toczył z góry. Bęczkę piwa na ramię wziąć nic mu nie znaczyło. Rozgniewać go niebezpiecznie było, bo człowiekiem rzucił jak piłką.

Osiwiały, z krótko postrzyżoną głową i brodą, zawsze odziany obcisło i krótko, w sukienną kurte, długie buty, wzrostem dochodził najdorodniejszych parobków, a trzymał się jak żołnierz.

Twarz, pomimo dobroci i łagodności człowieka, miała wyraz dla nieznanomych odstraszający. Coś surowego patrzyło z brwi namarszczonych, z ust

zaciętych, z małych oczu bystro i niespokojnie spoglądających.

Bliziej znajomi wcale się go nie obawiali, tak łatwo było tego olbrzyma, biorąc za serce dobrém słowem, rozbroić. Dzieci wiejskie szczególnie obchodziły się z nim tak natrętnie, tak napastliwie, iż się im często nie wiedział jak bronić.

Od czasu nowego zameżcia swój dawniej ukochaną pani, której przebaczyć nie mógł tej niewierności, jak ją nazywał, Jakób od czynnej dworskiej służby zupełnie się uwolnił.

Nie mógł patrzeć na to pożycie, które mu pierwsze małżeństwo i jego Karolka przypominało. Nie chodził nawet do dworu i naówczas tylko gdy był pewnym, że państwa nie znajdzie, wkraadał się do sypialni, aby na portret nieboszczyka popatrzeć.

Mówił do niego, płakał i powracał do swój chaty z rodzajem gorączki. Zamykał się na rygiel; słyszano go mówiącego do siebie.

Na mieszkanie wyprosił był w ogrodzie pustą chatę po ogrodniku, o jednej dużej izbie i sieni. Tu żył sam, sypiając na nędznym barłogu, posługując sobie, bo nie ścierpiał nawet aby mu kto drew przyniósł i narąbał.

Gdy dach na chałupie zaciekać zaczął — sam też go połatał.

Z ludźmi przestawać nie lubił, a że i długiego próżnowania nie znosił — krzątał się po ogrodzie. Tu czasem z panią, częściej z Klarcią bardzo do niego przywiązaną się spotykał. Miała ona zawsze tysiące interesów do niego, a on przy niej trochę wesołości odzyskiwał.

Znanym był obyczaj starego Jakóba, że po nocy, długo nie mogąc usnąć, około dworu i po ogrodzie włóczył się do późna... Obawiali się go parobcy czyniący zakazane wycieczki i chłopcy wykradający owoce, bo często ich łapał niespodzianie.

Wiedział o każdym niemal ruchu sług i czeladzi.

Dnia tego, chociaż noc była słotna i ciemna, Jakób nie spał. Wyszedłszy przede drzwi swojej chaty stał, przysłuchując się może słowikowi, może monotonnemu jak ruch zegaru spadaniu kropki z obmokłego dachu.

Słuch miał starego myśliwego.

Gdy włóczęga pocisnąwszy furtkę wyłamał ją, choć się to działo dość daleko i trwało bardzo krótko — trzask nie uszedł jego ucha.

Sądził z początku, że mu się to przywidziało,

lecz z coraz większą przysłuchując się uwagą — począł rozpoznawać szelest rozgarnianych gałęzi i stąpanie ciche a ostrożne.

Choć nie bardzo był pewien siebie, samego podejrzenia dosyć mu było, bo zaraz za czapkę pochwycił, kij wziął pod pachę i wysunął się na zwiady do ogrodu.

Ciężkie buty, w których chodził zwykle, byłyby go może zdradziły, lecz na wieczór wdziewał skórzane chodaki — mimo wilgoci puścił się w nich na ogród, w tym kierunku z którego szelest go dochodził.

Śpiewanie uparte słowika było mu przeszkodą, bo głużyło inne szmery. Oprócz tych trelów nic już pochwycić nie mógł.

Wprawdzie zdawało mu się, że gałęzie poruszały się ciągle, jak gdyby je kto rozgarniał, ale i ptactwo w nocy spłoszone liśćmi i krzakami porusza.

Ciemność z razu nic dojrzeć nie dozwalała. Nawykły dawniej do śledzenia zwierza w lesie, do tysiącznych środków podchwytywania go i tropienia, Jakób, któremu przykro było pomyśleć, że się mógł omylić, że mu się coś przywidziało — przysiadł i pochylił się, bo dołem nie było gąszczy i grube tylko pnie drzew na nieco jaśniejszém niebie się rysowały.

Położył się prawie na ziemi.

Wzrok w ciemnościach miał bardzo bystry, rozszerzały mu się źrenice... Długo oglądając się na wszystkie strony, gdy znowu posłyszał szelest gałęzi — skierował oczy na nie i zdało mu się, że niedaleko od siebie dostrzegł coś, jak cień zwierzęcia czy człowieka naprzód się zwolna posuwającego.

Wstrzymując oddech, przylgnął do pnia lipowego.

Coraz pewniejszym był, że do ogrodu obcy zakradł się człowiek.

Szelest gałęzi, w pewnych przestankach powtarzający się, zdradzał ostrożne posuwanie się naprzód. Droga tego złodzieja, czy zbója, szła tuż około lipy, przy której stał Jakób — dalej gęszcze były nie do przebycia.

W kilka minut potem, o trzy kroki od Jakóba, ostrożnie, bojaźliwie, kradzionym chodem przemknął się włóczęga.

Stary byłby go nieochybnie zaraz za kark pochwycił i ogromną siłą łatwo obalił na ziemię, ale mu na myśl przyszło, że krzyk i hałas może państwo nastraszyć, biednej Klarci, która już spać musiała, sen przerwać.

Tak był pewnym, że podkradający się zło-

czyliśca mu ujść nie może, iż dawszy się pominąć, dopiero gdy był od niego kroków kilkanaście na palcach pobiegł ku swojej chacie.

Za nią tuż, przy oranżeryi sypiało dwóch parobków ogrodowych, silnych i zręcznych, Jakób wprost przypadł aby ich zbudzić, co tem łatwiejszem było, że tylko co się pokładli i ledwie drzeć zaczął.

— Złodziej jest jakiś w ogrodzie i pod dwór się podkrada! — zawołał głosem stłumionym. — Żwawo! na nogi! postronków. Niech jeden worek weźmie... Trzeba go tak pochwycić, żeby ani piśnął i państwa mi nie postraszył.

Iwanek mu natychmiast wór na łeb narzuci i gębę zatknie, Martyn ręce w tył skrępuje, a ja zresztą rady mu dam. Patrzyć tylko gęby, żeby mi nie krzyczał!

Dla parobków taka nocna wycieczka niezmiernie była powabną — ochoczo zerwali się z pościeli!

Ażeby złodzieja nie spłoszyć, Jakób kazał im buty pościagać, zalecił jak największą ostrożność. Sam on dowodził tą wyprawą, którą noc ciemna, doskonała znajomość każdej ścieżynki i krzaczka ułatwiała parobkom.

Zagrzewała ich, właściwa wiekowi młodemu,

żądza popisania się, dokonania czegoś nadzwyczajnego, a może i nadzieja otrzymania za to pary kieliszków wódki, co najmniej.

Zbliżając się z wielką oględnością ku dworowi Jakób dostrzegł, nieco blaskiem z okien padającym oświetloną, wysoką postać mężczyzny, który z głową naprzód wyciągniętą, zdawał się ciekawie we wnętrze sypialni wpatrywać...

Włóczęga tak uparcie miał oczy wlepione w okna i tak zajęty był widokiem, jaki mu się tam przedstawiał, że na nic więcej nie zważał, nie słyszał. Jakób wyrozumiał, że bardzo łatwo przyjdzie go podejść i pochwycić.

Stanął więc, parobczakom idącym za sobą pokazując rękami jak mieli się ustawić, przysuwać i napaść znienacka. Sam także po cichu jak mógł najbliżej przyczołgał się do niego.

Nieznajomy ciągle jeszcze wpatrywał się w okno, gdy Iwanek bardzo zręcznie i szybko wór mu na głowę zarzucił, a gębę ręką ucisnął.

Martyn obie ręce w tył wykręciwszy, skrepiwał je w mgnieniu oka.

Jakób stary za piersi ująwszy go, jedném pchnięciem na ziemię obalił.

Złapany krzyknąć nawet nie miał czasu—jęk na wpół wyzionęty stłumił Iwanek; na dany znak

parobcy na ręce go wzięli, mało co wrywającego się i broniącego — tak musiał być strwożony — niosąc co prędzej ku ogrodowej chacie.

Wszystko to dokonało się tak zręcznie, nade wszystko tak cicho, tak szybko, iż Jakób mógł być pewnym, że we dworze nic nie słyszano, a Klarcia się nie przebudziła.

Pies tylko stary nadbiegł, warcząc i wachając niespokojnie, i Jakób wstrzymać go nie mógł, a lękał się ażeby ich szczekaniem nie zdradził. Lecz Tyras spał się na nogi niesionemu włóczędzie, począł wachać niecierpliwie, rzucać się ku niemu i zamiast ujadać (co niezmiernie Jakóba zdziwiło) skomlił prawie wesoło...

Dziwném było i to, że złodziej porwany, raz czy dwa się targnąwszy aby oswobodzić — potem jakby odrętwiał. Niesiono go jak martwą kłodę, nie dawał znaku życia. Iwanek sam się zląkł czy czasem, ręką mu gębę i gardło przycisnąwszy, nie udusił go.

Wniesiono skrępowanego do izby, nie mogąc się psa tuż biegnącego pozbyć, a że ręce miał związane i w drodze mu jeszcze Martyn, dla większego bezpieczeństwa, nogi skrępował, położyli go na ziemi, nie lękając się aby uszedł.

Jakób, widząc go tak nieruchomym, obawiał

się już tylko czy nie umarł uduszony. Po ciemku więc zaraz worek mu kazał zerwać z głowy, a sam począł ogień niecić, aby lepiej się rozpatrzyć.

Parobcy stali nad związanym, śmiejąc się, szepcząc, radzi, że się im tak powiodło, czekając dalszych rozkazów.

Stare psisko — rzecz osobliwa — położył się tuż około głowy włóczęgi, wachał mu ciągle twarz, i zdawało się, że ją lizał. Leżący na ziemi nie dawał znaku życia.

Dobra chwila upłynęła nim spieszący się Jakób, który klął i nie mógł świeczki zapalić, nareszcie doszedł do tego, że płomyk błysnął...

Wziąwszy ostrożnie w palce, poszedł się przypatrywać leżącemu na ziemi. Parobcy też ponachylali się, aby nocnego zbója zobaczyć...

Wtem, gdy Jakób świecę przysunął do twarzy i popatrzył na nią — krzyk chrypliwy wyrwał mu się z piersi — świeca upadła i zgasła, a on sam, potknąwszy się, czy zaplątawszy w sznury, na kolana przy leżącym się obalił.

Parobcy chcieli go podnieść a Iwanek macał szukając świecy i ofiarował się ją zapalić, gdy stary Jakób nagle porwał się z ziemi i z wielkim pośpiechem i niepokojem począł wołać do chłopców:

— Ruszajcie spać! ja was tu już nie potrzebuję... Spać! Ja sobie sam z nim radę dam... A, patrzajcie — żebyście mi o tém słowa nie pisnęli nikomu, bo wygrzmocę...

Parobczaki, spodziewający się nagrody, stali zdziwieni.

— Jutro—dokończył Jakób, pokazując im na drzwi — dostaniecie każdy po dwuzłotówce i po półkwatku wódki, ale język za zębami! To moja sprawa...

No, czego stoicie! nogi za pas—precz... a ci—cho—spać!

Mówił to jakimś drżącym i niespokojnym, zmienionym głosem i silną ręką biorąc z kolei jednego i drugiego za bary, obu za drzwi powypychał, zasuważąc je za nimi.

Jakób znanym był z dziwactwa swego, i parobczaki chichocząc, ramionami ruszając, rozmawiając między sobą o dziwnym wypadku, pociągnęli nazad, posłuszni, do oranżeryi.

Wprawdzie okrutna brała ich ciekawość podglądać pod oknami, co Jakób z tym pół żywym czy uduszonym robić będzie, lecz obawiali się.

Ze starym żartów nie było.

Poszli spać.

Gdy się to działo, skrępowany, leżący na ziemi człowiek nie dawał znaków życia.

Jakób co najprędzej zapalił świecę i drżąc cały, zbliżył się ku niemu.

Twarz była trupio blada, oczy miał zamknięte, usta na pół otwarte.

Stare psisko lizało mu ostygłe czoło.

Sam nie wiedząc jak omdlałego trzeźwić, Jakób począł go wodą oblewać, porozrzynał sznury, a z obawy wielkiej śpieszył się, rzucał, postradał przytomność i chodził koło niego niezręcznie.

Chwytał i rzucał, tłukąc flaszki, garnki, nachylał się, badając oddech, wreszcie z małej karafki nalał w usta wódki omdlałemu i począł z całych sił piersi i skronie nacierać.

Pies, który nie odstępował leżącego, równy ze starym Jakóbem zdawał się brać udział w tych wysiłkach; naszcze kiwał, skomlił, przysiadał, obwąchiwał głowę, nogą ramię poruszał, jakby chciał zbudzić... Twarz starego sługi była tak zmieniona wrażeniem, które na nim wywarł ten wypadek, tak zbladła, pomarszczona, jakby w chwili téj dziesięć lat życia mu przybyło. Z oczów płynęły łzy, po skroniach pot kroplisty.

Omdlały człek naostatek oddychać zaczął,

poruszały mu się piersi, zwolna zadrgały i podniosły na wpół powieki.

Przy świetle stojącej na ziemi łojówki, można teraz było dostrzedz niesłychanego podobieństwa, tego oblicza wynędzniałego, do obrazu wiszącego w sypialni.

Obie one miały wyraz tak indywidualny, wybitny, pełen charakteru, iż tożsamość ich nie ulegała wątpliwości: dwie takie, zupełnie jednakowe fizyognomie na świecie istnieć nie mogły.

Jakób też za pierwszém wejrzeniem poznał w pochwyconym włóczędze swojego panicza, swojego pana, tego Karola, którego wszyscy za umarłego mieli—a on jeden czuł, wierzył, że żyć musiał.

Starzec niezmierną radością przejęty, szczęśliwy razem i przerażony niepewnością, czy go do życia powołać potrafi, a nie stanie się przyczyną jego śmierci — gdy do życia zaczął powracać, ułękł się co z nim pocnie.

Po głowie Jakóbowi myśli te, jasne i groźne, przechodziły jak krwawe błyskawice. Co począć? co radzić? jak zapobiedz, aby go nie pochwyciono? jak go ukryć?

Oddech stawał się coraz silniejszy i wyraźniejszy. Karol oczy otworzył, powiódl wzrokiem

błędnym dokoła, nie rozumiejąc jeszcze, co się z nim stało. Wtem z jednej strony postrzegł łaszczące mu się stare psisko, z drugiej zapłakanego Jakóba.

Sługa ostrożnie skrępowane ręce dobywał z pod niego i sznury z nich precz odrzucał.

Karol spróbował się podnieść, lecz głowa i piersi opadły bezsilnie na podłogę.

Przyszedł mu w pomoc Jakób, jeszcze się słowa nie odezwawszy.

Ani on, ani sługa, na tę chwilę tak dziwnie ich znowu łączącą z sobą, nie znaleźli wyrazu. Oba wzdychali, Jakób jęczał. Silnemi rękami objął ramiona leżącego i, jak dziecko, przytuliwszy go do piersi, podniósł, wprost niosąc na łóżko swoje.

Karol zaledwie mógł się zeprzeć na słabych nogach.

Ponieważ światło, o tak późnej porze w jego okienkach gorejące, mogło jakiego ciekawego stróża nocnego zwabić ku nim — stary pobiegł, odzież z kąta wyciągniętą, pozasłaniał je.

Kląkł potem przy łóżku, rękę Karola wziął i do ust przyłożył.

— Paneńku ty mój! gołąbku! sokole... począł mruścić—jeszcze cię oczy moje oglądają!

A! a! i Bóg wszechmogący zrządził, że ja, jam

ciebie, dziecko ty moje najdroższe, o mało życia nie pozbawił.

Co tu teraz poczynać! co my zrobimy! Królu mój. Jak się ty tu dostałeś? Matko Zbawiciela! Sen to, czy jawa!

Stary miotał się, za włosy chwycił — mówił jak nieprzytomny.

Karol oddychał ciężko, milcząc jeszcze, tylko oczy gorączką rozpalone biegały niespokojnie po izbie, padały na starca, zatrzymywały się na psie, który skomlał i przymykały znowu.

— Wody! wody! — wyjąknął cicho. Jakób zerwał się, biegnąc do wiadra, stojącego przy drzwiach, i podał mu kubek, który Karol chciwie wychylił.

Orzeźwiła go ona — dźwignął się i usiadł na łóżku.

Niespokojnie oglądał się ku drzwiom i oknom.

— Dzień już może? Świta! — odezwał się niewyraźnie. — Zobacz... ja muszę iść... muszę uciekać!

Jakób ręce załamał.

— Dokądże iść! na rany bozkie! — zawołał — dokąd? Tożecie nie po to przyszli do domu, aby z niego uciekać. Jakto iść... a pani? a Klarcia?

Wy, wy tu musicie pozostać!

Pomyślał trochę Jakób.

— Na pasiece, w chacie żywa dusza was nie wyspieguje... Kryjówek w lesie jest dosyć... Ja was... ja was schowam...

Karol, nie odpowiadając, ręką wychudłą potarł czoło.

— Nie... nie! — począł mrużyć. — Dla mnie tu już miejsca niema! Głupim był, idąc tu... Nie wiedziałem co się stało, pytać nie śmiałem, myślałem, że wolną jest...

I zwracając się do starego, wyjęknął z boleścią:

— Powiedz! jakże ona zamąż' wyjść mogła!

Zamyślony Jakób milczał długo.

— Albo ja wiem? — odparł w końcu. — Płakała ona i płacze. Bóg widzi, nie zapomniała o was, ale... kobiecisko biedne, przywieźli jęj urzędowe świadectwo, że was jakoby zabito... No! a Klarcia potrzebowała opiekuna... Boże! Boże. Ja im mówiłem wciąż—żyje, wierzyć mi nie chcieli.

Karol nie odpowiedział nic. Milczeli oba.

— Szczęśliważ z nim? — zapytał po chwili.

— Jakie to tam szczęście! — zamruczał Jakób — codzień łzami polewane. Człowiek niezły, ale gdzie jemu do was—i do niój!

I znowu cisza zaległa w izdebce.

Karol dumał. Powtarzał w myśli rozmowę ich,

której część słyszał, stojąc pod oknami. Godziłoż mu się, już na wpół z losem swoim pojednaną kobietę, na nowo rzucić w walkę z sumieniem, w położenie sromotne i bolesne, w niewysłowione zawikłania?

— Dla niej — mówił w duchu — dla jej spokoju, sławy, dla dziecka... umrzeć powinienem, żyć nie mam prawa!

Z tą myślą już przypatrywał się scenie w sypialni, dolatującej go rozmowie, modlitwie za swoją duszę. Bóg, przez usta własnego dziecka, na śmierć go skazywał. Był i musiał nieboszczkiem pozostać.

Z pocziwym starym Jakóbem o tém rozprawić nie było można: przywiązanie do wychowawca sługę zaślepiało.

Trwoga zaczynała Karola opanowywać, bo nadchodzący dzień mógł wszystko zdradzić.

— Jakóbie — odezwał się żywo — spójrz w okno! dzień już musil! Ja dłużej tu zostać nie mogę...

Stary sługa nie chciał i nie mógł tego zrozumieć.

— Ale dokądże pójdziecie, na miłego Boga! — poczał, chwytając go za ręce. To nie może być, ja was nie puszcze...

Wtem parobcy owi, których użył na pomoc, na myśl mu przyszli; lękał się, aby go nie zdradzili...

Załamiał ręce.

— A tak! — odezwał się nagle przestraszony.—Prawda! trzeba iść. Pójdziemy do pasieki... ja z wami... łajdaki te języka za zębami nie strzymają.

Karol na nogi stanął, ale się zachwiał i musiał oprzeć o ścianę.

— Daj mi wódki!—rzekł rozkazująco. Jakób posłuszny przyniósł karafkę, z której Karol znaczną część wypił z przymusem i wstrętem.

— Chodźmy!—zawołał—prędzej! chodźmy!

Nie mówiąc więcej, skierowali się ku drzwiom oba, Jakób je odryglował, świecę zgasił. Znaleźli się w ogrodzie... Stary pod rękę go prowadził...

Deszcz pruszył jeszcze i słowiki śpiewały, ale nie było już tak ciemno. Na wschodniej stronie nieba, blade brzaski dnia nadchodzącego widać było. Na ich tle czarno, smutnie jak katafalk stał dwór uśpiony...

Woń bzów rozkwitłych, czeremchy i jaśminów rozchodziła się w powietrzu.

Karolowi noc ta wiosenna ileż innych, podobnych, przeżytych tu przypominała! Stanął, ogłą-

dając się, bo mu od miejsc tych oderwać się było trudno—lecz, mężką siłą, natychmiast chwilową słabość zwyciężył,

Nie zwróciwszy już głowy, ze spuszczonei oczyma, począł znajomą ścieżyną iść ku furtce ogrodowej — i wkrótce obaj z Jakóbem znikli wśród pni drzew starych i rozkwitłych krzewów.

Nazajutrz ranek był prześliczny, taki jaki bywa po dżdżystej majowej nocy, gdy wszystko co ma w sobie życia iskierkę — czarodziejską siłą się budzi, rozwija, rozrasta i buja... Kilka godzin tajemniczego tego żywota starczą za całe zmarnowane dni sennego oczekiwania. Żaden pączek nie pozostaje zamkniętym, żadne kielko nie zaśpi w ziemi, żaden liść wczoraj na wpół zwinięty, nie zapomni otworzyć się ku słońcu.

Bogusławowa, Klarcia, sam pan, wszystko po ranniej kawie wyszło do ogrodu, patrzeć na kwiatki i napawać się wonią brzoź rozwiniętych.

Z cygarem w ustach, Bogusław wyszedł pierwszy rozpatrzyć się około domu.

Kilka zaledwie kroków podszedłszy—co u licha!! Staął z brwią namarszczoną groźnie.

Cała rabata kwiatów była niemiłosiernie strątaną i zgniecioną. Na ścieżce widoczne ślady, wygniecione w ziemi wilgotnej, kilku bosych

i obutych nóg ludzkich.—Tuż w trawie walał się porzucony jakiś postronka kawałek i szmaty odartej sukmany.

Jasna rzecz, że tu nocą, prawie pod oknami dworu, jakaś zagadkowa scena się odegrała, o której on—pan domu, gospodarz, nic nie wiedział!!

Zburzyło się wszystko w panu Bogusławie. Żony nie chciał tém niepokoić, ale dojść co się tu stało, musiał.

Najdziwaczniejsze myśli chodziły mu po głowie, a szczególna okoliczność potwierdzała podejrzenia jakiegoś tajemniczego wypadku. Stary Tyras, który oczekując wybiegł do ogrodu, nie powrócił i zniknął.

Szybkim krokiem popędził w głąb ogrodu, szukając ogrodnika lub kogokolwiekbądź, coby mu to mógł wytłumaczyć. Na myśl mu przyszedł Jakób, zajrzał naprędce do jego chaty i znalazł ją pustą...

Nieporządnie w niej było, porwane postronki, zmięty wór walały się na podłodze... Nieopodał, po wczorajszym deszczu, Iwanek uliczki zagrabiwał i oczyszczał.

— Gdzie Jakób?—spytał pan żywo.

— Nie wiem, proszę jaśnie pana.

— Juściż gdzieś być musi. Szukać mi go zaraz!

Iwanek nie ruszając się z miejsca, zżymnął ramionami.

— Ja go już do dnia szukałem — rzekł — ale pan Jakób gdzieś poszli.

— Dokąd-że? na folwark?

— Nie mogę wiedzieć...

Bogusław zaczynał się niecierpliwić. Wejrzenie jego badawcze w twarzy Iwanka znajdowało wyraz jakiś zagadkowy — coś niby szyderskiego.

— Pod samym dworem, o trzy kroki od domu — zawołał pan — niewiedzieć jakie lichy, ale nie psy tylko ludzie, kwiaty precz wygnietli, wyłamali!

Bystro spojrział na parobczaka, który, nieumiejąc czy nie chcąc kłamać, oczy spuścił i zmieszał się. Korciło go, żeby był zmuszonym się wygadać. Uśmiezek zaledwie dojrzany zdradzał, że on coś wie o tém.

Bogusław zbliżył się do niego.

— Gadaj-że mi zaraz — krzyknął. — Wiesz, co było?

Iwanek, spodziewając się nagrody, a nie myśląc wcale kryć się ze swym udziałem w sprawie

tak ważnej, nie potrzebował nawet zbyt ostrego natarcia, aby wszystko wyśpiewał.

— Wiesz co to było? — powtórzył pan groźnie.

— A jużci co wiem, proszę jaśnie pana — skrobiąc się po głowie rzekł Iwanek, podniósłszy oczy. My z Martynem jużśmy się spać pokładli, bo już pierwsze kury piałły, gdy pan Jakób przybiegli do nas. Wstawajta mi żywo... piorunem... złodziej się pod dom zakradnął, trzeba go tam juchę wziąć, aby się jaśnie państwo nie przestraszyło.

Bogusław zdumiony oczy wielkie otworzył.

— Co pleciesz?

— A, jak Boga kocham, co prawda — coraz mocniej się ożywiając rzekł Iwanek. — Przykazał pan Jakób, co bym ja jemu podszedłszy, na głowę wór rzucił, żeby ani krzyknął, Martyn mu miał w tył ręce związać, a pan Jakób na ziemię obalić.

No, i proszę Jaśnie pana, tak się rychtyg stało, słowo w słowo. Człek był nie ułomek, ale jak my się do niego wzieni, tak, ani Jezus nie miał czasu krzyknąć i już — brzdęk! leżał. Tylko, co prawda, że jak ja mu pięścią gębę zamknął, wedle

przykazania, tak mu i tchu nie stało, i wywalił się martwy jak kłoda.

Bogusław z coraz bardziej wyteżoną uwagą i zdumieniem większém słuchał.

— Cóż się z nim stało? — przerwał.

— Pan Jakób kazali go zanieść do ogrodowej chaty i tam my go położyli — jak martwego, ani drgnął...

Potem pan Jakób, obiecawszy nam po dwa złote i po półkwatku, cośma się dobrze sprawili, wziął ta i wypchnął nas precz, za drzwi. I więcej ja nie wiem...

Opowiadanie to zrobiło wrażenie dziwne na gospodarzu: zdumiony był, przelękły, ciekawy — tajemnica kazała się czegoś złego domyślać.

Cóż się stało z tym schwytanym i przyduszonym złodziejem? Czyby go miano gdzieś po cichu zagrzebać?

Ciekawość była podrażniona, obawa rozbudzona, miłość własna wreszcie oburzała się na to, że on tu przecie był panem i gospodarzem, a o wypadku tak ważnym nie dano mu znać, i rozporządzono się samowolnie bez jego wiedzy.

— Natychmiast mi szukać i sprowadzić Jakóba! — zawołał. — Rozstąp się ziemio, ażeby mi tu zaraz był. Biegaj ty, Martyn, posłać chłopów... a żywo,



Iwanek kopnął się z miejsca, rzucając grabie i pierzchnął w ogród jak strzała. Bogusław nie wiedział co robić z sobą. Do dworu powracać nie chciał, aby się nie wydać z tém przed żoną; czekał niespokojny przechadzając się po ścieżkach.

Parobcy, ogrodniczaki, kuchty, posługacze biegali tymczasem po sadach, ogrodzie, folwarku, około stajen, wołając i szukając Jakóba napróżno. Nigdzie go nie było ani śladu, nikt go od samego ranka nie widział.

Niecierpliwość Bogusława dochodziła do najwyższego stopnia. Nigdy on tego starego nie lubił, jakby w nim czuł nieprzyjaciela; teraz okrutnie się gniewał na niego. Jak on śmiał się tu tak rządzić?

Iwanek wypowiedawszy się ze wszystkiego przed panem, nie sądził już, aby do tajemnicy względem innych był obowiązany.

Martyn poszedł za jego przykładem, cały dwór wiedział już o nocnym wypadku i rozpowiadał o nim najdziwniejsze rzeczy. Gromadki czeladzi przychodziły oglądać ciekawie pozostałe ślady walki, i rozmaite z nich czynić wnioski.

Dowiedziała się klucznica, i poszła z tém co prędkiej do pani. Przestraszona Bogusławowa, poczęła pytać, co się z panem stało, i niespokojna wybiegła go szukać w ogrodzie.

Ekonom, pisarz, wójt, stajnia, oficyna — wszystko było poruszone, przestraszone. W kuchni zbiegały garnki, psy kradły mięso bezkarnie...

Głowy sobie łamano co się mogło stać z Jakóbem i złodziejem...

W tém wszystkiém było coś tak niezrozumiałego, zagadkowego, że, nie mogąc się powrotu doczekać, Bogusław formalną pogoń za nim wyprawił, pieszą i konną. Rozumie się, że na noc następną przedsięwzięte zostały nadzwyczajne ostrożności środki.

Zmierzchało już i słowik rozpoczynał prelude do wielkiego swego koncertu nocnego, gdy Iwanek do siedzącego w ganku pana nadbiegł zdyszany, oznajmując mu, że pan Jakób tylko co powrócili, ale się położyli chorzy w swojej chacie.

Nie czekając ażeby go przywołano, Bogusław sam wybiegł do ogrodu, otworzył drzwi, i w mroku ujrzał starego Jakóba na wznak leżącego na swém łóżku, z rękami pod głową.

Zobaczywszy pana podźwignął się trochę, ciężko dysząc i pokaszłując.

Człowiek był dobry i łagodny pan Bogusław, ale gorączka.

— Wytłumaczcież wy mnie — zawołał, obcesowo przystępując do chorego — kto tu z nas pan,

wy czy ja? co wy tu sobie tak samowolnie gospodarujecie? co to się tu stało? gdzieście się podzieli? gdzie ten człowiek?

— A! to jasnie pan już wie? — odparł Jakób obojętnie.

— A wiem, żeście jakiegoś złodzieja złapali! krzyczał unosząc się pan Bogusław. — Jakżeście się mogli bez mojej wiedzy rozporządzać? gdzie on jest?

Jakób, z głową na piersi spuszczoną, bynajmniej nie poruszony milczał bardzo długo.

— Raczycież mi choć odpowiedzieć! — wołał pan coraz gniewniej.

— Złodziej... uciekł — odparł krótko i chłodno Jakób, ruszając ramionami.

Bogusław aż podskoczył.

— Jakto! daliście mu ujść? — wołał — przecież związany był? Jakim sposobem! *Przekupił was* chyba...

Nieostrożne to słowo wyrwało się mimowolnie Bogusławowi i jak kamień padło na głowę starca, który drgnął, porwał się nagle, stanął na nogi tak groźny, tak straszny, że pan na krok się cofnął.

Zamiast odpowiedzi ironiczny, stłumiony śmiech

wyrwał się z ust starcowi i jękiem bolesnym zakończył.

Bogusław stał oczekując tłumaczenia—nadarownie. Żał mu już było obwinionego, i zaczynał się go obawiać.

Jakób, rozmyśliwszy się, po chwili mruczeć począł, nie podnosząc oczów.

— Uciekł. Winienem! Róbcie ze mną co chcecie! Oddajcie do sądu. Kaźńcie jak się wam podoba. Winienem. Zaspałem, rozplątał sznury i wyszedł po cichu... Poszedłem gonić za nim... nie napędziłem go... przepadł. Róbcie ze mną co chcecie... — Raz jeszcze powtórzył — róbcie co chcecie — i padł na łóżko.

Głos drżący, urywany, jękliwy, którym wy mówił te słowa, rezygnacya w nim brzmiała, nie dopuszczały już ani dalszego badania, ani dłuższej rozmowy.

Gniewny pan wyszedł drzwiami stukając.

We dworze przez cały wieczór rozprawiano o złodzieju, o Jakóbie, o tajemniczym tém zdarzeniu. Znano starego sługę, że jemu się z rąk wymknąć nie było łatwo, że nie zasypiał, ani się opuszczał;—nie pojmował nikt ucieczki złodzieja.

Niektórzy posądzali Jakóba o pijaństwo, ale nie upijał się przecie nigdy.

Pani domu obwinionego starego sługi żal się zrobiło; nazajutrz rano sama się wybrała do niego rozmówić się, rozpytać, pocieszyć. Z pocziwą tą myślą nie czekając śniadania, pośpieszyła do chaty ogrodowej.

Na progu odziany lichą sukmaną, z kijem w rękę, torbą przez plecy, w ubiorze przypominającym żebraka, stary Jakób właśnie stał, zabierając się do wyjścia.

Zobaczywszy panią, zdjął czapkę z głowy i odsłonił twarz, nagle pożółkłą, zwiędłą, pomarszczoną, na której straszna boleść się malowała.

— Mój Jakóbie—przemówiła, zbliżając się do niego, Bogusławowa. — Cóż to jest? wybieracie się? dokąd?

Stary potwierdził to skinieniem głowy.

— A cóż! — rzekł—czas pod kościół! za grzechy pokutować, Pana Boga chwalić, za dusze zmarłe się modlić!

Za dusze zmarłe!! — jęknął, zanosząc się od tłumionego płaczu.

I przystąpił pokornie do swój pani, w rękę ją pocałował, przeżegnał się, a gdy wzruszona kobieta chciała go wstrzymać, ruszył przyspieszonym krokiem, jakby uciekał w głąb ogrodu.

Na ścieżynce zabiegła mu drogę Klarcia...

Nie mógł uniknąć z nią spotkania, przykląkł przed wesołym dzieckiem, płacząc począł nóżką ją całować — porwał się i zniknął.

Razem z Jakóbem przepadł gdzieś stary wyżeł Tyras, którego posądzono o wściekliznę, bo wiadomo, że psy, dotknięte tą chorobą z miejsc, w których żyły, uciekać zwykły.

Tyrasa nikt już nie widział więcej, ale Jakóba spotykano potem długo jeszcze siedzącego pod kościołem, z różańcem w ręku i z oczyma spuszczonej odmawiającego modlitwy. Tylko ani Bogusławowej, ani Klarci nawet nie poznawał i gdy mu jałmużnę rzucały, oczu nie podnosił.

Z DZIENNIKA.

„....Czerwiec.

Żyję więc jeszcze i skazany jestem na życie.

Stary ten, prostego serca i rozumu człowiek, wskazał mi tam obowiązek, gdzie ja tylko rozpacz widziałem. Mogę poświęcając siebie, zdala, niepostrzeżony, nieznany czuwać nad moim dziećciem. Któż wie, czy ono opieki potrzebować nie będzie? Kto przewidzi przyszłość?

Straszne brzemień to życie, lecz, z wyjątkiem

kilku błysków jasnych, czémże inném jest z nich każde?

Tych błysków kilka i ja mam w moich wspomnieniach—a teraz?

Położenie moje zda mi się podobném do zamurowanego *in pace* mnicha, który wśród świata, słysząc jego gwary, czując jego poruszenia, oddzielony grubemi mury od ludzi, sam dogorywa niewidziany w ciemnościach z myślami tylko swojemi.

Dokoła mnie te miejsca zasiane pamiątkami młodości na każdym kroku; dokoła ludzie, którzy mnie znali i których ja znałem niegdyś, a dziś im poznać się dać i przypomnieć nie mogę.

Wszystko to znajome, ukochane, a ja nawet do muru, który bym oblać chciał łzami, zbliżyć się nie potrafię, abym się nie zdradził.

Chodziłem na grób rodziców, i musiałem wybierać chwilę, aby mnie tam nikt nie widział, bo modlitwa i łzy wydały by mnie.

W uliczkach miasteczka spotykam prawie co chwila kogoś z prastarych czasów tak pamiętnego, którego bym chciał uściskać i drżę aby oko jego nie poznało we mnie tego umarłego, który już nie powinien chodzić po tym świecie.

Zaprawdę, gdym złamany i przekonany prośbami starego sługi, postanowił żyć — nie obliczyłem jaki ciężar brałem na ramiona moje... Muszę się okryć twardą skorupą nieczułości, nauczyć się kłamać nieustannie...

Czém mi się to wynagrodzi i czy mi się wynagrodzi?

Szczęściem dla mnie, te lata próby które przebyłem na wygnaniu, zmieniły mnie do niepoznanania.

Tylko oczy tego starego pocziwego sługi, który mnie nosił na rękę, mogły w szczątkach dawnego człowieka rozpoznać swojego wychowanka. Zarost twarzy, cera jój, strój, ruchy, do których w nowém życiu nawykłem, czynią mnie zupełnie innym niż byłem. Głos staram się też uczynić odmiennym.

Młodzi nie pamiętają mnie wcale, starzy wszyscy prawie wzrok, słuch i pamięć mają oschłą. Jednakże codzień prawie nabawia mię trwogą spotkanie z jaką znajomą twarzą, a jeżeli kto się we mnie baczniej trochę wpatruje, czuję jak blednę i dreszcz po mnie przebiega...

Nie! nie! zwierzyć się nie mogę nikomu, nikomu przyznać—dla niej, dla siebie... muszę uchodzić za umarłego i trupem chodzić po świecie...

Kto nie był takim, jak ja dziś jestem upiorem powstałym z grobu, ten nigdy nie pojmie, ile gorczy, ile bóleści, ile męczarni może się w sercu ludzkim zmieścić, nie rozsadzając go.

Papiery po zmarłym przyjacielu Maryanie Ciesielskim, pozwalają mi bezpiecznie stosunkowo żyć w jego pożyczanej skórze...

Szczęściem nie był on z tych stron, nie miał tu nigdy rodziny, ani znajomych. Stan jego służby umożliwia mi tutaj staranie o umieszczenie.

Nie będzie to jednak łatwem i tylko umiejętności języka nabytej na wygnaniu, zawdzięczać będę może jakiegokolwiek zajęcie. W kancelaryach przyjęto mnie niedowierzająco, niechętnie—ubogi mój strój i zbiedzona postać nie mówiły za mną. Ale też człowiek tak wynędzniały nie może być wymagającym — to może przemówi na korzyść moję. Mój zapas grosza jest nadzwyczaj mały i nie starczy na długo...

Tymczasem umieściłem się w nędznej stancji u żyda, który też nie miał zrazu wielkiej ochoty dać mi gościny. Wyglądam jak się здаje, na bardzo podejrzanego.

Ale p. Simson przekonawszy się, że nie piję, nie krzyczę, cicho siedzę i daję z sobą robić co chce—toleruje mnie u siebie.

W ciągu ostatnich miesięcy tyle doświadczyłem, miałem do zwalczenia takie prywacye, tyle nędz, głodu i niewygód, że dzisiejsze położenie stosunkowo mi się wydaje znośném...

Myśli tylko dręczą mnie i jedzą wewnątrz... Nie oswoilem się jeszcze z tém codzienném potrącaniem o przeszłość, o przypomnienia—o pamiętki szczęścia...

Lecz jak od pracy twardnieją ręce, tak od bólu nagniotki muszą na sercu wyrosnąć—i ono się zahartuje... Głupie serce..."

„29 czerwca.

Nie mogę jeszcze przyjść do siebie.

Naraziłem się dobrowolnie na niepotrzebną próbę. Czułem się wczoraj niezdrów. Stołuję się dotąd u mojego gospodarza Simsona, którego żydowska kuchnia, zaprawna cebulą, czosnkiem i pieprzem, stała mi się nieznośną. Dlaczegoż nie ograniczyłem się suchym chleba kawałkiem? Niedarowana to słabość.

Poszedłem w mieście szukać gdzieś jakiegó restauracyjki, w której bym znalazł łyżkę znośnej strawy.

Za moich czasów nigdy tu nie było nic podobnego. Myśmy wszyscy z sobą w drodze mieswali i zapasy i kuchtę, który gotował.

Wskazano mi blisko katedry dworek, tak zwanéj pani Marcinowéj, gdzie się kanceliści sto-
 łują. Nie spodziewałem się tam znaleźć nikogo,
 gdy wchodząc już spostrzegłem starego mecena-
 sa Petrowicza, niegdyś rodzicom moim i mnie
 blisko znajomego... Nie wypadało mi się co-
 fnąć—zająłem więc miejsce w kątku jaknajdalej
 od niego, pewny, że nie zwróci na mnie uwagi
 i nie dostrzeże...

Siedział sam jeden na uboczu, gospodarując tu
 i głośno rozmawiając z panią Marcinową, którą
 dnia tego zaszczycił na nieszczęście moje odwie-
 dzinami, własną kucharkę na odpust odprawiwszy.
 Stary gaduła nie mogąc chwili zmilczeć, zaczepił ją,
 młodych kancelistów, a naostatek moja nieznana
 tu figura zaintrygowała go...

Jadłem nie podnosząc oczu i starając się za-
 czepki unikać.

Tymczasem młodzież się porozchodziła, me-
 cenas jedzenia chudéj kury dokończył i wcale nie
 myślał wracać do pustego domu.

Drżałem ze strachu, gdy zacząwszy przecha-
 dzać się po izbie, przesunął się koło mnie parę
 razy, a na ostatku, zatrzymując, pozdrowił.

— Pan tu obcy — zapytał stając.

— Tak—odpowiedziałem mu złamanym umy-

ślnie językiem, krótko i w sposób do rozmowy niezachęcający.

Nie odszedł jednak Petrowicz, wykałał zęby patrząc na mnie, wziął krzesło, siadł naprzeciw i wpatrywać się we mnie począł, oparłszy na stole.

— Pewnie interesa jakie... odezwał się po chwili.

Nie podnosząc oczów, odpowiedziałem zbywająco, ale właśnie to moje bronienie się od rozmowy, podrażniło go. Nie odchodził.

Głos ten znany czynił na mnie wrażenie nadzwyczajne. Zdaje mi się że łyżka musiała drzeć w mém ręku.

— Cóż pana tu do nas sprowadza, jeżeli pytać wolno? — począł stary.

W kilku słowach, nie tając, bo mi nie wypadło, odparłem zimno, że szukam urzędowego zajęcia...

Petrowiczowi to wyznanie starczyło za temat do bardzo długiej, acz z pewnemi ostrożnościami wygłoszonej rozprawy o trudnościach umieszczenia się bez protekcji, w miejscu nieznaném.

Musiałem, broniąc się, wyłuszczyć mu, że pewne prawa nadawała mi służba już dawniejsza, którą dla tego tylko porzuciłem, żem zatęsknił do kraju.

Milczał słuchając a nie spuszczał mię z oka.

— Dziwna rzecz—odezwał się po długim prze-
stanku—prawdziwie niepojęta rzecz... Oto, po-
wiem acanu dobrodziejowi, że choć niema między
nim a nieboszczykiem moim niegdyś znajomym,
obywatelem z tych stron—którego ja rodziców
i jego kochałem wielce—najmniejszego podobień-
stwa... jednak, Pan Bóg wie czém, tak mi go pan
żywo przypominasz!!

Podniosłem oczy aby dowieść, że mnie to
niespodziane wyznanie wcale nie zmieszało, ale
twarz mi się krwią oblała...

Petrowicz szczęściem patrzył na stół i cią-
gnął dalej:

— Nieszczęśliwy los miał ten biedny czło-
wiek — a na inny zasługiwał!!

Nie śmiałem go pytać, milczałem cały drżący.

Patrząc mi w oczy, cicho, jakby mimowoli
wysylabizował nazwisko moje dawne. Musia-
łem mu się przedstawić jako Maryan Ciesielski.

Po chwili mecenas, wiedząc już że długi czas na
służbie spędziłem w oddalonych prowincjach,
powtórzył nazwisko moje i zapytał czy nie sły-
szałem co... czym nie spotkał tego nieboszczyka??

Straciłem na chwilę przytomność niemal ze
wzruszenia. Zdawało mi się, że najlepij będzie

przyznać, żem o smutnym losie wygnańca sły-
szał coś dawniej i śmierć jego potwierdzić.

— Powiadam panu — dodał wysłuchawszy
mnie Petrowicz — że to coś dla mnie niepojętego
jest. Ani głosem, ani twarzą go pan nie przy-
pominasz, jesteś pewnie starszym niż on, a pomi-
mo-to sam nie wiem co czyni go do mego niebo-
szczyka podobnym.

— Biedny człek — mówił dalej — zostawił
tu żonę, córeczkę... Jójmość była zmuszoną
wyjść zamąż, aby mieć opiekuna. Wzięła bar-
dzo zacnego człowieka, ale on jej nie dorósł ani
sercem ani głową, a porównanie z tym które-
go straciła, musi jój życie czynić nieznośnem. Ale
to zacna, pocziwa niewiasta... poświęciła się dla
dziecka.

Słuchałem własnej historyi z ust starego tak
wzruszony, iż wistocie zdradzić się obawiałem.
Szczęściem Petrowicz, powziąwszy dla mnie ja-
kąś sympatyą, zmienił treść rozmowy i począł mi
po cichu dawać informacye co do umieszczenia
się mojego...

Zna on tu wszystkich i odkrył mi wiele taje-
mnic, z których może będę mógł korzystać. Mu-
sialem mu podziękować.

Nie wypadało mi niegrzecznie tak odejść,

choć siedziałem już jak na żarzących węglach, pragnąc uciec conajprędzej. Petrowiczowi szło widocznie o zabicie czasu i rad był, że mnie mógł ku temu wziąć w pomoc. Trzymał więc przykuto do krzesła, choć skromny mój obiad, złożony z krupniku i kawałka mięsa, dawno skończyłem.

Spytał naostatek gdzieś się ja umieścił na kwaterze. Nie mogłem kłamać, bo w tak małej mieścinie łatwo by się odkrył fałsz, powiedziałem że u Simsona.

— Nie najgorszy to człowiek — rzekł — ale zawsze na czas dłuższy u żyda siedzieć komornem dokuczy, a oczekiwanie na zajęcie potrwać może...

Wytrzymał mnie pocziwy stary tak, żem spotniał ze strachu, i drugi raz, choćbym o suchym chlebie miał pościć, nie pójde do Marcinowój."

„1-go lipca.

Wychodząc z mojej izdebki, spostrzegłem już zdaleka w bramie, przez którą przechodzić byłem zmuszony, Petrowicza stojącego i starym obyczajem trzymającego się pod boki. Gotowym był się wrócić, gdyby mnie nie dostrzegł. Uciekać nie mogłem.

Sądziłem, że przechodząc zbędę go ukłonem, ale stary gaduła zaczepił mnie.

— Cóż to pan do Marcinowój nie chodzi? — zapytał. Pytałem tam o niego?

— Jém w domu, bom niewybredny—rzekłem, a nawykłem się żywić czém Bóg da...

Chciałem iść dalej, gdy mnie za rękę pochwycił.

— U nas to we zwyczaju—rzekł—a ja sam jeden jedząc apetytu nie mam. Przychodź pan na obiad do mnie. Jak Boga kocham, łaskę mi zrobisz... Gawędka nieoceniona rzecz...

Ścisnąłem go za rękę.

— Z duszy dziękuję—rzekłem—ale, Bóg wi-
dzi, łaski téj przyjąć nie mogę. Nie mogę.

Stary jeszcze coś wołał, gdym się pośpiesznie wyśliznął.

Miałżeby się czego domyślać? poznać?? Ogar-
nia mnie trwoga niewysłowiona...

Byłbym zmuszony naówczas opuścić Ł. i udać się gdzieindziej. Nierozumem się to nazwać może z mojej strony, że koniecznie tu chcę pozostać, gdzie mi codzień coś zagraża, ale nie mam siły iść dalej. Tu karmię się goryczą wspomnień, ale ona jest zarazem balsamem jakimś, co życie czyni znośnem.

Wygnany gdzieś dalej, gdzieby mi może było bezpieczniej—nie wyżyłbym... *Sunt lacrymae rerum*—przywiązują miejsca, wiążą groby, ciągnie powietrze i ten *dulcis fumus patriae*, który ja czuję we wszystkich wyziewach tej ziemi.

Gdym powracając, w gorączkowej podróży posłyszał po raz pierwszy nocą skrzeczenie żab, o których niedarmo powiedział poeta, że żadne nie śpiewają tak jak nasze—rozplakałem się.

Przyszły mi na pamięć owe wieczory i noce młodości, nieraz w marzeniach i dumaniach spędzone, którym żabki razem ze słowikami przygrywały. Na tle majestatycznego milczenia naszej nocy wiejskiej ten koncert był czémś dziwnie uroczém... Odzywa mi się on dziś w duszy, wszystkiemi tęsknotami żywota, co nigdy nakarmione być nie mogą...

Dulcis fumus! a, śmiejcie się ze mnie i z tego sentymentalizmu... Woń naszych dymów, pól, lasów, łąk, jakże mi zupełnie inną się wydała niż ta, którą tam daleko wziewając szukałem w niej domowej woni...

Kiedym już wkroczył w te obszary nasze, a odechnął tém powietrzem, zdawało mi się, że niém odżyłem... Każda cząsteczka tych wyziewów na skrzydłach niosła coś z przeszłości.

Dziwna rzecz, jak wspomnienia życia do wszystkiego przylegają. W pierwszej wsi zapach razowego chleba naszego — u ogniska pastuszków woniejące pieczone ich kartofle tak mi mówiły do duszy, jak pieśń, jak poezya...

Zrywałem dawno niewidziane zioła i kwiaty i witałem się z niemi jak z przyjaciółmi.

Nie męzka to czułość, chorobliwe to może uczucie? — prawda, ale ludzkie, a po wielkiem męczeństwie wolno w tych małych, dziecinnych ulgach szukać pociechy.

Cóżby mi pomogło stwardnieć i zapomnieć? byłąby to śmierć.

Na co by się zdało życie to nowe bez przyszłości."

„3-go lipca.

Nieznośném staje się granie téj komedyi... Smutny w duszy, muszę w przybranéj roli udawać człowieka zobojętniałego, myślącego tylko o kawałku chleba.

Naczelnik powiatu, któremu podobno potrzeba sekretarza, chętnie by się mną posłużył, ale widzę, że wprzód chciałby zbadać o ile posłuszne, giętkie, niewolniczo sobie poddane znajdzie narzędzie we mnie. Służba moja dawniejsza (właściwie Cie-

sielskiego nie moja), ranga zdobyta, dają mu do myślenia.

I ja też wolałbym coś mniej zawisłego od osoby; choćby lichszą posadę, a mniej od fantazyi osobistych zależną.

Pan Żurow daje mi do zrozumienia, że z wielką powolnością—może umieszczenie się przy nim być bardzo obiecującym na przyszłość.

Musiałem mu się wytłumaczyć niezdrowiem i przyznać, że wolałbym lichszą posadę, a mniej kłopotliwą.

Grosz wychodzi przerażająco... widzę już gdy się wyczerpie. Cóż potem? Zaprząłem się już do prostego przepisywania i tłumaczeń, ale to daje tak mało, że na kawałek chleba najbiedniejszy nie starczy.

Simson domyślający się mojego położenia i odgadujący je, usiłuje mnie przekonać, że mógłbym nie zaprzęgając się w żadne obowiązki, pełnić dorywczo funkcją doradcy i pośrednika w sądach i urzędach. Dowodzi on że z tego można mieć wcale tłusty chleba kawałek; lecz, nie czuję w sobie najmniejszego usposobienia do takich wyrobków, potajemnych zabiegów, do których czło-
 ło mieć potrzeba wytarte i charakter wytrzymalszy na nikczemności, jakich się ludzie dopuszczają.

Znam siebie, oburza mnie niesprawiedliwość i w kompromisy z nią wchodzić nie umiem wcale.

W dodatku byłbym na tém stanowisku, nie-określoném, niepewném, solą w oku tym, którym bym ich chleba kawałek odbierał. Pierwszym więc skutkiem byłoby zjednanie sobie nieprzyjaciół.

Co począć! mam zegarek do zastawienia lub sprzedania, ale wart niewiele, a gdy przyjdzie odkryć się z nagłą potrzebą, zechcą mnie naturalnie wyzyskać."

„10-go lipca.

Nic dotąd.

Petrowicz powziął chyba albo jakieś podejrzenie, lub szczególną dla mnie sympatyą. Uciekam od niego skryć się nie mogąc.

Zmuszony byłem raz dać mu się zaprowadzić wieczorem do jego dworku, gdzie mnie nakarmił, napoił i wymęczył ciągle opowiadając rzeczy, które do głębi wzruszały. Musiałem udawać obojętnego—co mi z trudnością przychodziło.

Nie posądzam go aby się czego domyslał, nie, nie może to być; poprostu starowina się nudzi, gadać lubi, a mówi najchętniej o przeszłości i zaczyna ciągle o jakąś boleśnie mi brzmiącą strunę...

Dał mi do tłumaczenia dokumenta, i uratował na czas jakiś od głodu. Do pracy téj, pomimo znajomości obu języków, nie mam wprawy, przychodzi mi ona trudno, zabiera tyle godzin, że ledwie na najskromniejszy chleb starczy, ale dzięki Bogu i za to.

Suknie w najopłakańszym stanie, co mi w oczach ludzi szkodzi. Na to ratunku niema.

Simson mi proponuje uczenie syna języka urzędowego. Płaca mała, albo raczej żadna, ale mieszkanie będzie darmo. Godzina na dzień. Chłopiec pojętny.

Właściwie prawa nauczania nie mam, jest to nadużycie, ale żyd powiada, że nikt o tém wiedzieć nie będzie. Muszę się ratować na wszelki sposób, bo miejsca niezależnego nie dostanę, a sumienia nie poświęcę. Téj ofiary nic na mnie nie wymoże.

Wszystko to jeszcze znośne.

Jakiegolwiek najzmudniejsze zajęcie lepsze jest dla moralnie cierpiącego człowieka, niż próżnowanie, które go na łup myślom oddaje.

Cały dzień pracując zapominam czasem, że serce boli. Wspomnienie odpędza znużenie.

Po nocach tylko wracają one napastniczo i osiadają mnie, nie dając spoczynku.

A, noc ta majowa, to wejrzenie rzucone w jęj życie, to dziecię które mi się mignęło, a ja go w ramiona spragnione nie mogłem pochwycić, ten głos jęj, który jeszcze słyszę... ta modlitwa... ten pokój sypialny... ten smutny wizerunek zmarłego podartą krepą okryty!...

Naówczas sądziłem że będę miał siłę,—przebywszy tę próbę ognia — umrzeć, Bóg chciał i zrządził inaczej.

Żyję.

Mnie samemu to życie pogrobowem się wydaje, dziwném, śmieszném, lecz któż wie?!...”

„15-go lipca.

Gdy dziś papiery odnosił Petrowiczowi, jak zawsze, usiłował mnie zatrzymać na gawędę. Na próżnom mu się wymawiał, że mam w domu zajęcie.

Dowiedziałem się od niego rzeczy, która mnie żywo obeszła.

Rodzony stryj mój Ignacy był właśnie w miasteczku.

Obawy abym przez niego poznanym nie był, niema najmniejszej, bo dobrze wprzód, nim dorosłem i żenić się miałem, zerwał zupełnie z rodzicami. Chciwy i pieniacz namiętny, poróżnił się z ojcem o jakąś do niego niesłuszną pretensją,

wytoczył mu proces, przegrał i nigdy tego nam przebaczyć nie mógł.

Ledwie go sobie przypominam z dzieciństwa, a on mnie wcale pamiętać nie może. Jesteśmy tak jak obcy sobie, a jednak ten węzeł krwi i nazwiska nie został zerwany: czuję, że radbym go widział choć zdaleka. Brat ojca, coś z nim powinowatego, coś przypominającego mieć musi.

Przybył tu dla sprawy jakiejś, bo nigdy mu na nich nie zbywa. Petrowicz powiada że gdyby mu zabrakło przeciwników, sam by siebie zapozwał, byle się po sądach rozbijać i mieć jakieś zajęcie.

Wdowiec, bezdzietny, niewiadomo komu przekaze znaczny majątek, lecz pewno nie mojemu dziecku, bo niechęć i żal do rodziców moich, ja po nich i córka dostanie w spadku.

Z opowiadania Petrowicza dowiaduję się że bardzo się posunął, zdziecinniał, ale ta namiętność jego dawna do pieniactwa nie tylko nie osłabła, lecz jeszcze go nierozumnięj opanowała. Przypląca ją ciągle przegrywając i apelując do najwyższych instancyj. Ogłuchł, niedowidzi, kaszle, chory na nogi, ale proces go odżywia."

„16-go lipca.

Zakradłem się pod zajezdny dom, aby widzieć

stryja zdaleka, i żał mi się go zrobiło zobaczywszy starca przygniecionego wiekiem, stąpającego z trudnością, spartego na ramionach starych jak on sam sług.

Był to także jakby z grobu powstały człowiek nie należący do świata, wśród którego błąkać się był skazany. Wszystko w nim, począwszy od stroju i twarzy, aż do téj namiętności pieniaczój, owocu innego wieku i obyczaju — wskazywało anachronizm.

Ani on ludzi, ani oni jego rozumieć nie mogli. Rozlana, pofałdowana twarz jego zdala wydała mi się smutną i gniewną, jak gdyby czynił wyrzuty przeznaczeniu, że go za długo na scenie zatrzymało, z której spółaktorowie dawno odeszli.

O związkach krwi można sądzić każdemu jak się podoba. Dawniej przypisywano im siłę tajemniczą, dziś nie przyznają żadnej, a jednak na człowieku ta spólność pochodzenia czyni wrażenie i może ona nawet bez świadomości pokrewieństwa działać jako siła powinowactwa. Jeśli w chemii łączą się z sobą pierwiastki pokrewne, czemuż by w życiu siły téj nie miały.

Czułem się litością jakąś pociągniętym ku starcowi, choć w nim nie było nic dla obcych, coby ją obudzać mogło. Naprawdę musiał się

im ze swém skąpstwem, drażliwością, jurysteryą, wydawać śmiesznym—jam go pożalował.”

„20-lipca.

Pobyt w małym miasteczku, gdzie wszyscy się znają aż do uliczników, a życie każdego musi być jawném, i stosunki wzajemne są nieuniknione, naraża mnie na ciągle nowe znajomości. Niepożądane mi są one, ale nieuniknione.

Wygodniój doprawdy byłoby mi w Ż., ale po upływie pewnego czasu miałbym toż samo, na nieco większą tylko skalę.

Prawdziwie ukrytym i zapomnianym, zupełnie swobodnym może być człowiek tylko w tych olbrzymich stolicach, liczących mieszkańców na miliony, wśród których jednostka tonie jak kropelka w morzu.

Ale ja, uczyniwszy raz ofiarę z niepotrzebnych mi życia, nie mogłem go gdzieindziej przenieść tylko tutaj, bo ztąd tylko mogę spojrzeć ku moim, coś się o nich dowiedzieć, a poczciwy stary, który dla mnie siadł pod kościołem i służbę porzucił, obiecał mi przychodzić i przynosić czasem wiadomości o nich.

Dotąd go jeszcze nie było.

W rozmowach z Petrowiczem kilka razy potrącił stary o nich, ale rozpytywać go nie śmiałem.

To podobieństwo, o którym wspomniał mecenas, nakazuje mi być ostrożnym i unikać wszystkiego, coby jakie podejrzenie obudzić mogło.

Oswajać się ze mną zaczynają w miasteczku. Czułem, że wszyscy, poczynawszy od naczelnika powiatu, który nęcił mnie posadą sekretarza przy sobie, widząc w przybyszu coś zagadkowego, bacznie każdy mój ruch i cały sposób życia śledzili.

Byłem dla nich czémś niezrozumiałém. Teraz zdaje się przemagać przekonanie, iż jestem rodzajem dziwaka, ceniącego wysoko niezależność, a umiającego się obchodzić małym.

W dzisiejszych czasach charaktery takie są wistocie rzadkie, bo wszyscy wogóle i pną się do góry, i zamiast ograniczać potrzeby i nawyknięcia, rozszerzają żądze nabycia i wyzyskania życia. Każdy więc jak ja, nie pożądający wiele, zowie się dziwakiem!

Sądzę, że nim się ta opinia ustaliła o mnie, najdziwaczniejsze przypuszczenia krążyły o powodach przybycia mojego tutaj, umieszczenia się i zamieszkania... Posądzano mnie o jakieś cele tajemne, urzędnicy obawiali się wysłańca, szpiega, inni politycznego jakiegoś spiskowca.

Czułem to w obejściu się ze mną, w podglą-

daniu—jestem prawie pewien, że w niebytności mojej, za wiedzą Simsona, który się temu oprzeć nie mógł, przetrząsano moje papiery, które umyślnie łatwo dostępnymi czynię.

Jedynie ten mój dzienniczek noszę przy sobie. Domyślając się tego wszystkiego musiałem baczny być na każde słowo.

Teraz gdy zostałem uznany dziwakiem, po odmówieniu posady sekretarza, chociaż w danym razie chętnie naczelnikowi usługi moje ofiaruję gratis, zdaje mi się, że spokojnym być mogę.

Lekcje dawane Simsonczakowi, przepisywanie i tłumaczenia starczą na bardzo biedne utrzymanie. Więcej nie żądam ani się spodziewam.”

„25 lipca.

Drzę jeszcze cały.

Miałem wyjść z domu, aby odnieść przepisywane papiery, gdy we wrotach spostrzegłem i poznałem zdala poczciwego Jakóba.

Stał na kiju oparty, ze spuszczoną głową, przebrany już za żebraka, z workiem na plecach. Instynkt jakiś czy wyśledzenie wskazało mu gdzie mnie ma szukać.

Chociaż serce biło mi do niego i niecierpliwy byłem rozmówić się z nim conajprędzej, niepodobieństwem było, nie ściągając podejrzenia, wdać

się z nim w dłuższą rozmowę tu, gdzieby ona oczu ludzkich nie uszła.

Namyśliłem się co zrobić.

Dzień był mimo lipca nie skwarny, po burzy i deszczu. Przechodząc około Jakóba, szepnąłem mu tylko, na pozór dając jałmużnę, aby na mnie czekał za mostem na Styrze pod Zaborolem.

Conajprędzej pozbyłem się papierów, i wyszedłem jakby na przechadzkę. Serce mi biło, czułem, że się zdradzałem pośpiechem. Zarazem wyjście z mieściny, w której mi było duszno, znowu na gościniec, w pola, do których mnie długa włóczęga przyzwyczaiła... piersi mojej dało oddech wolniejszy.

W człowieku wszystko niemal jest nałogiem. Można się tak dobrze do zamknięcia i niewoli przyzwyczaić, jak do poruszania się i ciągłego przenoszenia z miejsca na miejsce.

Odbywszy tysiącami mil mierzącą się drogę, niejedną raz w gorszych odpoczywałem chałupach i szatrach, niż dzisiejsza moja u Simsona izdebka, przecież jest mi ona tak na dłuższy pobyt nieznośną, że uwolnienie się od niej na kilka godzin powitałem jak coś upragnionego.

Czekał na mnie stary poczciwy Jakób, zastosowawszy się ściśle do żądania, na drugim końcu

mostu. Razem potem, idąc z wolna pustym gościńcem puściliśmy się do Zaborola.

Stary długo wpatrywał się tylko we mnie, nie mówiąc nic prawie. Wierzył widać więcej swym oczom niż temu, co miał usłyszeć ode mnie.

Zacząłem go rozpytywać o nich.

Nie dał się badać.

— Najprzód-no, mówcie, paneczku mój o sobie. A! Bóg świadek, marłem z niepokoju. Nie poznał was nikt? co myślicie robić? z czego żyć?

Począłem go uspokajać. Nie tałem jednak tego, że się z Petrowiczem spotkałem i że stary choć mówił, iż wcale nie jestem do pana Karola nieboszczyka podobny, przypominam mu jego.

Zafrasował się Jakób mocno.

Opowiedziałem potem, że spotkałem stryja, ale o tego żadnej nie było obawy.

— Wszystko to nic—odezwał się Jakób—ja się jednego tylko boję, to żebyś paneczku nie zszedł się gdzie z panem Bolesławem...

— Alboż Bolesław powrócił z wygnania? — odparłem mocno zdziwiony. Mieszka tu? gdzie?

Z Bolkiem tym jednolatki, poprzyjażnieni jak bracia, jednych przekonań, równych doznaliśmy losów. Miałem go za straconego.

— Powrócił już dawno—począł mówić Jakób, a winien to pani sędzinie. Takięj matki jak ona, choć każda matka dziecko swe kocha, nie znaleźć może drugieję na świecie.

— U nas, Jakóbie—przerwałem mu—było ich wiele.

— Stara, chora, złamana — mówił dalej Jakób—jeździła, błagała, do nóg padała, zmiękczyła skały i dokazała cudu. Odzyskała Bolka... Siedzi na wsi teraz, ożenił się.

— Z kim?

— Z panną Wandą.

— Była dzieckiem gdyśmy ztąd zniknęli...

Wiadomość o Bolku poruszyła we mnie najgłębiej zagrzebane wspomnienia. Wszyscy tu mogli mnie nie poznać, ale on!... Cudem jakimś dotąd nie słyszałem o nim i nie zetknąłem się z nim, gdyż mieszkał o półtoręj mili od miasteczka.

Zaniepokoiło mnie to. Choć zdaleka rad byłem go zobaczyć, a nikogom się tak nie lękał jak jego, bo nie jestem pewny czybym widząc miał siłę przemódz się i nie zdradzić.

Aby rozmowę odwrócić pytałem o swoich. Jakób odpowiadał skąpo.

— Co chcesz, paneczku — rzekł — widzia-

leś na swoje oczy jój życie, wiesz najlepiej jakie ono jest.

Pan Bogusław złym człowiekiem nie jest, no i dla niej dobry i powolny, ale natury swój nie przerobi. Ona delikatna i stworzona na panią, a on na parobka. Kocha ją, dla dziecka dobry jest, domu pilnuje i zbytnikiem nie można go nazwać — ale gdzie jemu do naszej pani!! On jak się dobrze, smaczno najé, napije, a zapali sobie to cygaro co je na klucz zamyka, siądzie w krzesle i patrzy na żonę—to mu już więcej nic na świecie nie potrzeba.

Jak wesołym jest, to pani się coraz rumieni, bo plecie nie do rzeczy; jak się znudzi i zniecierpliwi, to też nieznośny. Prawdę rzekłszy, tyle dla niej spokoju gdy sama z dzieckiem zostanie, a on na polowanie lub do gospodarstwa pójdzie.

Wówczas się jej czoło rozjaśnia. Ile to ja razy widziałem gdy po wyjeździe Bogusława, podnosi z pańskiego portretu krepę i wpatrzy się a płacze.

Siedliśmy z Jakóbem w zaroślach spocząc, naprzeciw austeryi w Zaborolu... Mówił dużo, a nie było mi nigdy dosyć.

Musiałem mu nawzajem opowiedzieć jak się urządzałem w miasteczku. Stary tymczasem

dłubał coś w torbie, wyciągnął węzelek, trzymał go długo w rękach drżących i począł nieśmiało.

Dreszcz przeszedł po mnie, gdy mi niemal do nóg padając, począł zaklinać i prosić abym od niego wziął, co on sobie przez długie życie zaoszczędził. Zaklinał się bijąc w piersi, że tego wcale nie potrzebował.

Musiałem się prawie do gniewu uciec, aby się od natarczywości Jakóba obronić.

Widząc że mnie nie skłoni niczém do przyjęcia téj ofiary, począł wmawiać abym ją wziął, chociażby do schowania tylko; ale zaprawdę łatwo mi było go przekonać, że pieniądze te u mnie mniejby jeszcze niż w jego torbie były bezpieczne.

Uściskałem go ze łzami.

A! są jeszcze wielkie serca na świecie, tylko ich w piersiach ludzi wyschłych szukać nie trzeba.

Siedzieliśmy tak aż do mroku prawie, wreszcie musiałem do miasta powracać. Stojący przed austeryą pocztylion, który jechał w tę samą stronę, za kieliszek wódki podjął się mnie podwieźć aż za most. Pożegnałem Jakóba. Wiozłem z sobą zapas myśli, któremi mogłem się karcić długo.

Stary przyrzekł mi, gdyby coś nowego za-

szło, lub choćby dla uspokojenia mnie, przywlec się znowu.

Duszną komórka moja po powrocie wydała mi się ciaśniejszą, powietrze cięższe, nędza moja więcej doskwierającą.

Nie trzeba nadto wspomnień rozbudzać...”

„29 lipca.

Położenie staje się coraz nieznośniejszém, potrzeba myśleć o jakiś zmianie. W mieście tej jestem nieustannie narażony. Gdybym najskromniejsze jakieś zatrudnienie znalazł gdzie niedaleko na wsi, przeniósłbym się chętnie.

Wczoraj pan naczelnik, któremu chętnie posługuję, nie przyjmując od niego żadnego za to wynagrodzenia, czuł się w obowiązku zapłacenia mi grzecznością. Nie mogłem odmówić zaproszenia na herbatę, w tém przekonaniu że będziemy sami. Włożyłem najlepsze suknie i poszedłem.

Zastałem go wistocie odpoczywającego po nużącym objeździe powiatu, w dobrém usposobieniu i samym. Niepotrzebując się przede mną kryć z niczém, satyrycznie i złośliwie opisywał przyjęcia jakich doznał.

Podano herbatę, gdy służący oznajmił pana Bolesława.

Usłyszawszy to nazwisko porwałem za czap-

kę jak piorunem rażony, chcąc się wynieść natychmiast, ale gospodarz nakazująco zmusił mnie pozostać.

Trwoga mnie ogarnęła i jakieś wzruszenie, którego opisać niepodobna. Wcisnąłem się w kąt przyciemniony, zamierzając milczeć i unikać wzroku bystrego Bolka.

Gdy się ukazał w progu, trochę postarzały, zmężniały, ale z tą pocziwą swą otwartą, wesołą i pogodną twarzą, której nie zachmurzyła przeszłość przebyta, mimo najmocniejszego postanowienia musiałem zadać gwałt sobie, aby się nie rzucić ku niemu.

Nie spojrzał na mnie zrazu, witając pana naczelnika, aż dopiero gdy mnie jako Maryana Iwanowicza Ciesielskiego mu przedstawił, skłoniłem się zdaleka.

Bolek usiadł; czułem, że ciekawemi oczyma mnie mierzy.

Wszystko dopóty szło dobrze, dopóki naczelnik zapytaniem wprost do mnie wystosowaném nie zmusił do odpowiedzi. Wyjąknąłem ją, jak mi się zdawało głosem zmienionym, lecz spostrzegłem zaraz, że Bolek drgnął, wlepił oczy we mnie i na chwilę oniemiał.

Zdawał się wzrokowi swemu i słuchowi nie wierzyć.

Był jednak tak ostrożnym iż natychmiast odzyskał dawną swobodę, ale oka ze mnie nie spuszczał, a gdym był przymuszony coś mówić, słuchał z natężoną uwagą.

Postrzegłem potem, że zachodził z różnych stron, niby przypadkowo, aby twarz moję widzieć lepiej. Kryłem się umyślnie w cieniu.

Zdawało mi się po upływie pewnego czasu, że trzeba było nadrobić zuchwalstwem... Bądźco-bądź, chociażby mnie poznał, nie mogłem ja ani się przyznać do siebie, ani wydać z sobą.

Byłem w najprzykrzejszém w świecie położeniu, na mękach niewysłowionych.

Na ostatek udało mi się naczelnika pożegnać i wymknąć.

Biegłem jak oszalały przez most do mojej gospody, sądząc, że się na tém skończy... Pot mi ciekł po skroni, głowa była w ogniu.

A, jakbym tego pocziwego Bolka chciał pochwycić w ramiona, objąć, uściskać, ucałować i pierś mu moję zranioną otworzyć! Alem tego uczynić nie mógł.

Jeszcze do mojej izdebki nie doszedłem, gdym

śpieszne kroki posłyszał za sobą i pytanie o mnie, o Ciesielskiego.

Poznałem Bolka głos.

Nie zapalając świecy w izdebce wyszedłem, całe siły moje na bardzo chłodne przyjęcie gotując.

Po ciemku za rękę mnie pochwycił—nie mógł mówić.

— Czém panu służyć mogę?—odezwałem się zimno.

Milczał długo.

— Miałebym się omylić? — zawołał pociachu głosem drżącym. Na Boga, miałebym stracić zaufanie?

— Nie rozumiem pana — odparłem zmuszając się.

— Niepojęta rzecz—zawołał odstępując parę kroków.

— I dla mnie—dodałem. Gdybyś mi pan raczył ją wytłumaczyć.

Bolek westchnął.

— Nie pozostaje mi więc nic, tylko przeprosić pana za omyłkę—rzekł zmieszany. Proszę mi ją darować; nadzwyczajne podobieństwo, przypomnienie przyjaciela, którego kochałem jak brata...

— Posądziłeś więc mnie pan — odezwałem się głos zmieniając o ile mogłem—iż nie jestem tym za kogo chcę tu uchodzić. Daruj mi pan, ale w mojem położeniu takie przypuszczenie mogło by się stać groźném—jest dla mnie uwłaczającym... Pan to łatwo pojmujesz.

Głos mój poruszył go, porwał mnie za rękę.

— Zmiłuj się pan, nie miej mi tego za złe—począł gorąco. — Przecież czuć musisz, że mnie tylko miłość dla tego człowieka mogła pociągnąć, pan mi go tak przypominasz.

— Jest to pochlebném bardzo — rzekłem — ale w danym razie, dla mnie... Cóż się stało z tym... przyjacielem jego?

— Możesz pan sobie wystawić i wzruszenie moje i podziwienie—począł Bolek—gdy mu powiem, że człowieka tego najnieszczęśliwszy los spotkał... Zginął śmiercią gwałtowną. Mamy go, wedle urzędowych doniesień, za zabitego.

— Słuchałem drżący. Szczęściem po ciemku ani twarzy mojej, ani jej zmian widzieć nie mogli: staliśmy w bramie.

Bolka rozgrzało wspomnienie.

— Wierz mi pan — rzekł po chwili—iż tak człowieka tego kochałem, że samo przypomnienie

jego, które winienem panu, czyni mnie przyjacielem jego.

Pytałem naczelnika—mówił mi, że nie znalazłeś pan tu zajęcia. Może ja mogę mu być w czém pomocnym.

Podziękowałem zapewniając, że położenie moje wcale jest znośne a wymagania skromne. Poczciwy Bolek tak miał myśl i serce przepełnione wspomnieniem, które w nim rozbudziłem, iż odejść i rozstać się nie mógł ze mną.

— Służyłeś pan, jak mi mówił naczelnik, w głębi kraju, daleko...

Ani mógł, ani chciałem kłamać, musiałem się do papierów Maryana stosować.

— Bardzo daleko—odpowiedziałem. Zapełdziło mnie tam złudzenie, że się rychléj mógł dorobić czegoś. Nadzieje te zawiodły mnie. W czasie pobytu mego w odległych guberniach, obijały się o uszy moje nieraz historye ziomków, mogłem więc słyszeć i o przyjacielu pańskim. Jak się nazywał?

Śmiałością tą chciałem go zbić z drogi; z westchnieniem powiedział moje nazwisko.

Powtórzyłem je niby przypomnieć coś sobie usiłując. Nie bardzo nawykły dogrania takiej tragi-komedyi, zdaje się, że musiałem zapomnieć

głos mój zmodyfikować. Za pierwszemi słowy, które wyrzekłem, porwał mnie znowu za rękę i krzyknął:

— Na Boga! to ty, to jego głos!

Zmusiłem się do uśmiechu. Bolek cofnął się.

— Wistocie przypominam sobie—począłem—żem o ś. p. Karolu słyszał... Nie ulega wątpliwości, że został zabity... Znajdowałem się naówczas bardzo daleko od smutnego teatru téj historyi bolesnej, lecz wiele o nim rozpowiadano... Nikt jednak z tych co go znali, między mną a nim nie znajdował podobieństwa...

— Boś się pan z nikim, coby z nim żył poufale, nie spotkał—przerwał Bolek. To nie jest podobieństwo, to coś takiego co niema wyrazu... Złudzenie dla mnie jest nadzwyczajne.. Czynisz pan wrażenie takie, jakbyś się silił być innym.

Przerwałem sucho:

— Ale—panie...

Zaczął mnie przepraszać.

Rozmowa zdawała się skończona, gdy niespodzianie Bolek dodał:

— Stoję ztąd o trzy kroki. Zrób mi pan tę łaskę, zajdź do mnie, zjemy razem moję podróżną wieczerzę. Będzie mi się zdawało, że odyskałem tego, któregom tak kochał. Nie może

to być, abyście przy takim podobieństwie nie mieli w charakterach coś wspólnego... Biedny Karol!

Podziękowałem tłumacząc się zajęciem. Nie odstąpił jednak.

— Mieszkam ztąd niedaleko—odezwał się—pan zajęcia nie masz, odwiedź mnie. Jestem natarczywym! prawda! śmiesznym, lecz gdybyś pan wiedział ile z tym drogim zmarłym węzłów mnie łączyło...

Ledwieśmy się rozstali—pobiegłem do mojej izdebki dysząc, rozgorączkowany. Nie zapalałem świecy, nie kładłem się spać. Walka ta mnie zmogła i wyczerpała.

Potrzeba myśleć o tém czy mogę i powinienem tu pozostać. Niebezpieczeństwo jest wielkie, groźne. Nie jestem samego siebie pewnym. Raz udało mi się oprzeć — czy potrafię zawsze?

Iść—ale dokąd?"

„30 lipca.

Ułożyłem się tak z mojami zatrudnieniami i czasem, aby nazajutrz spotkania z Bolkiem uniknąć. Po dniu byłoby ono stokroć niebezpieczniejszém: oczy, rumieniec, ruchy, zakłopotanie zdradzić by mnie mogły...

Uciekłem do dnia za miasto—nie powróciłem

z Kiwirzec aż pod wieczór. Simson spotkał mnie w progu z tém, iż pan Bolesław dwa razy był, szukając i dopytując.

— Szkoda, że pana nie zastał — dodał — to jest bardzo zacny obywatel... On by mógł panu się zdać... Mieszka niedaleko, człowiek majątny...

Zbyłem gospodarza trochę szorstko tém, że ja nikogo nie potrzebuję.

Pokiwał głową.

Zapytałem potem, czy ten pan wyjechał z miasteczka; otrzymałem uspokajającą odpowiedź że musiał powracać do domu.

— Ale on tu częsty gość — rzekł żyd — niema tygodnia żeby nie był czasem dwa razy... Skoro w domu jest... nie obejdzie się bez miasteczka... Jakiś czas go tu nie było widać, bo siedział w Ż. za interesami. Teraz, gdy powrócił, zaglądać będzie co dni kilka, to się panowie zobaczycie.

Zapowiedź ta groźna dała mi do myślenia. Z jednej strony Petrowicz, który już dopatrywał we mnie starego człowieka, z drugiej Bolek, ciągły niepokój i przymus, aby się mieć na baczności i nie zdradzić mimowolnie... wszystko to zmusza mnie ponyszczyć na seryo o przeniesieniu się gdzieindziej. Dokąd? ani wiem...

Petrowicz i Bolek zaprawdę nie zdradzili by

mnie, tego jestem najpewniejszym, ale jakimżem okiem patrzyliby na tę nieszczęśliwą kobietę, żyjącą z drugim mężem? Dla niej ja muszę, choć nie umiałem umrzeć, uchodzić za umarłego...”

„1 sierpnia.

Prędzej niż się mogłem spodziewać, przybył stary Jakób. Zląkłem się zobaczywszy go, bo nie mógł się przywlec tu bez powodu...

Umówiliśmy się ostatnim razem w Zaborolu, że przyszedłszy do miasteczka nie będzie mnie szukał u Simsona, coby mogło wzbudzić podejrzenie, ale siądzie pod kościołem przy zamku... Ja codzień prawie przechodząc do sądów z papierami, łatwom go mógł pod kruchtą siedzącego zobaczyć.

Przestrach, którego doznałem zobaczywszy Jakóba, ustąpił, gdy się rozjaśnioną twarz jego przypatrzył. Udawał żebraka, wyciągał rękę, ale dawał mi jakieś znaki żywe, których znaczenia nie mogłem się domyśleć.

Zbliżyłem się z groszem jałmużny.

— Paniunciu—szepnął—koło spalonego kościoła dominikańskiego będę czekał... Mam coś ważnego powiedzieć...

Ważnego?? Nie umiając pojąć, co dla mnie ważnem a wnosząc z twarzy Jakóba, niegroźnego stać się mogło—poszedłem na zamek oddać pa-

piery: wziąłem nowe i z nimi pośpieszyłem do ruiny tego kościoła, dziś pustej i smutnej, który pamiętałem w młodości jaśniejącym światłem i kwiatami, rozlegającym się pieśnią i muzyką.

Obszedłem walące się, okopcone ściany, nie znajdując Jakóba, który w cieniu, torbę zdjawszy z ramienia, chleb w szczypcie soli maczając pożywał. Wstał zobaczywszy mnie, a twarz par-gaminowa uśmiechać mu się zaczęła. Ścisnął mnie za kolana, dokoła się bacznie oglądając, i węzełek swój na ziemi porzuciwszy, zbliżył prawie do ucha.

— Paniunciu — rzekł — paniunciu, ja mam lepszą pamięć od was, choć stary.

Widząc żem zdziwioną twarz zrobił, Jakób pożałował zaraz, że mnie na próbę wystawił.

— Co to długo gadać — dodał — pamiętacie gdyście ostatni raz z domu wyjeżdżali i kazaliście mi z sobą na pasiekę? — i co my tam zakopali??

— Papiery, które pewnie pogniły — odpowiedziałem — choć w skóręśmy je zawinęli. Tem lepij...

— A tysiąc rubli karbowanych zapomnieliście? — uderzając w ręce podchwycił Jakób. Te

zgnić przecie nie mogły, ja je dobyłem i przywiozłem... Wskazał na torbę.

— Dobrze mi zaciążyły niosąc...

Gdy to mówił, przypominałem sobie na wszelki wypadek, zachowane pieniądze. Lecz coś z niemi dziś było robić...

Jakób spojrzał mi w oczy.

— To jakaś łaska Boża widoczna, że przypominałem sobie ruble—począł śmiejąc się—bo i ja wiekuiściem o nich był zapomniał; aż powracając z Zaborola od was, gdym w karczmie stanął na nocleg i położył się odpocząć—we śnie mi, jakby wczoraj, przypomniało się kopanie, chowanie i te worki... Wprost pobiegłem do pasieki, modląc się tylko na tę intencją, żeby tam kto ich nie natrafił i nie wykradł, bo właśnie za pasieką ogródek zakładali. Ale Bóg łaskaw... z papierów to tam ino gnój — a pieniądze się ostały...

Słuchałem ucieszony i niedowierzający, a naostatek niepewien co ja tu zrobię z tym groszem, nie mając go gdzie schować.

Stary zdawał się myśl moję odgadywać.

— Oddajcie na schowanie Petrowiczowi, to człowiek uczciwy — dodał — u niego będą bezpieczne.

To powiedziawszy i rękami drżącemi wydobywając dwa worki, które ja musiałem razem z papierami w chustkę zawinąć, tak aby węzełek nie zdradzał nic innego nad urzędową bibułę, Jakób odetchnął wolniej, torbę na plecy zarzucił i wesoło prawie do nóg mi się pokłonił.

— Do Petrowicza—rzekł—póki czas, do Petrowicza. Na kwaterę do Simsona z tém nie zachodźcie.

Uśluchałem dobrej jego rady.

Wistocie ta niewielka sumka, okruch dawniej zamożności wracała mi się z łaski Jakóba bardzo w porę. Nim doszedłem do Petrowicza roilem już, że z tą odrobiną mógłbym wziąć jaką małą dzierżawę, na ustroniu, i usunąć się z miasteczka, w którym ciągle jakieś niebezpieczeństwo groziło, niepokój nieustanny odetchnąć nie dawał.

Mecenasa zastałem na konferencyi prawnej z kimś, i z moją prośbą czekać trochę musiałem...

W pół godziny dopiero przyszedł, wyciągając do mnie ogromną swą dłoń nabrzękłą, i poczynając przywitanie od drażliwego wykrzykniku:

— Bóg widzi! — ale jak wy mi tego naszego nieszczęśliwego Karola przypominacie...

Zebrałem się na mężtwo i wesołość.

— Korzystam też z tego, jak widzicie, panie mienasie — rzekłem udając swobodę, której nie miałem — bo przychodzę do was z prośbą wielką.

— No, co? co? gadaj — odparł stary siadając.

— Spotkało mnie wcale niespodziane szczęście — począłem ciszej — dłużnik, od którego się wcale nie spodziewałem odebrać należności, wypłacił mi ją, a ja nie mam w tej chwili ani co z nią zrobić, ani mogę trzymać przy sobie...

Petrowicz się zmarszczył.

— A cóż ja na to poradzić mogę? — odparł chmurny.

— Wprost przyjmijcie tę sumkę jako depozyt — rzekłem — nie mówiąc o niej nikomu.

Stary poskrobał się po łysinie.

— Hm, ale bo to, widzicie — odezwał się — ja mam z okładem lat siedmdziesiąt... a po mnie, będzie rwetes, zamięszanie... ja pieniędzy cudzych trzymać nie lubię...

— Uczynicie to dla mnie — przerwałem.

— A wiele tam tego jest? — zapytał.

— Mizernych tysiąc rubli — rzekłem.

Petrowicz się krzywił.

— Gdybym gdzie maluteńką znalazł dzierżawkę — dodałem — chętnie bym ich na nią użył...

Potrząsnął głową.

— Gdzie, gdzie!—wybąknął—służyliście tyle lat za światem, a teraz wam się gospodarstwa uczyć zachciało...

Dał się uprosić mecenas o przyjęcie pieniędzy i zaprowadził mnie z sobą do alkierza, dla policzenia ich. Teraz dopiero dobywając worki, opieczętowane moją niegdyś herbową a znajomą Petrowiczowi pieczętką, i rozrywając ją—zmiejszałem się mocno. Staralem się ją w palcach zgnieść do niepoznania, ale sama fizyognomia worków zwilgotniałych i przegniłych, była podejrzana i dziwna.

Petrowicz przypatrywał się im i mnie na przemiany, w milczeniu osobliwém. Nie mówił nic, ale z nową jakąś a zaostrzoną ciekawością badał twarz moję. Ręce mi się trzęsły okrutnie...

Mecenas zadumał się.

Jeden z worków wziął od niechcienia w rękę, czego mu zabronić nie mogłem, poszedł z nim do okna, począł mu się bacznie przypatrywać, położył go na stole, spojrzał mi w oczy, odchrząknął znacząco i słowa nie mówiąc, ruble liczył.

Świadczyły one także zaśniedzeniem swoim, że w ziemi leżały długo, na co mecenas nie zda-

wał się zwracać uwagi, choć głową pokręcał. Nie mówił nic.

Wzrok jego tylko dziwnie napastliwie tkwił w méj twarzy...

Gdyśmy skończyli rachunek, siadł pisać pokwitowanie, spytawszy o moje imię, imię ojca, tytuł i t. p. Przyłożył pieczętkę... i podając mi papier, dodał cicho:

— Mało to jest, bo co dziś z tysiącem rubli począć można. Dawniej była to suma znaczna, a z jakimi sześcią tysiącami złotych brały się niezgorsze posesye — a dziś!!

Ramionami poruszył.

— Powiem panu jednak — kończył — że do prawdy lepiej może na wsi gospodarzyć, choćby i niebardzo szczęśliwie, niż tu w téj mieścinie siedzieć, u żyda... i tak... tego...

Masz pan słuszność — lepiej na wieś... lepiej na wieś...

Nagle zdawał się zmieniać przekonanie.

— Ja może małą dzierżawkę napytam, niedaleko — rzekł po namyśle — a nie na gościńcu, na ustroniu... Pan dosyć nażyłeś się z ludźmi i napatrzyłeś ich, pewnie tęsknić nie będziesz za nimi. W kąciku, spokojnie, najlepiej, najlepiej...

Uderzyła mnie nie tylko zmiana myśli w Petrowiczu, ale i ton różny i głos inny i obejście się jego ze mną jakieś dziwne — zdradzające niepokój.

Był czulszym, poufalszym, a razem zdawał się przymus sobie zadawać jakiś. Strach mnie przejął na samo przypuszczenie, że mógł znowu powziąć podejrzenie, lub się w niem utwierdzić.

Gdyśmy z alkierza powrócili do pierwszej izby, obejrzał się bacznie, wprowadzając mnie do niej — chociaż nikogo naówczas tu nie było. Powtórzył jeszcze, że w miasteczku stale mi się osiedlać nie radzi.

Rozstaliśmy się; ze szczególną troskliwością odprowadziwszy mię aż do ganku — powtórzył jeszcze:

— Mała dzierżawka, gdzieś na uboczu... Słowo daję najlepsza... najbezpieczniejsza..."

„2 sierpnia.

Stanęło mi na myśli teraz postępowanie moje wczorajsze; nie mogę sobie przebaczyć popełnionych błędów i nieoględności mojej. Całe obejście się ze mną Petrowicza dowodzi, że powziął jakieś podejrzenie...

Nie chciał mi tego dać poznać po sobie — ale...

Trudno naprawić co się stało... Obie pieczętki przy workach połamałem do niepoznania, pogniotłem — lecz nie jestem pewnym... Nie lękam się starego mecenasa, ufam mu, lecz za nic w świecie ani jemu, ni komukolwiek się zwierzę...

Myślę już tylko o dzierżawie, ale w najlepszym razie, gdyby się ona znalazła, nie pora ją obejmować, muszę czekać do marca lub do przyszłego Św. Jana. Są to zwykłe termina.

Ośm miesięcy pozostaje co najmniej do spędzenia w miasteczku. Trybu życia wcale zmieniać nie myślę—daję lekcye Simsonczakowi, papiery przepisuję i tłumaczę."

„5 sierpnia.

Bolek nie zapomniał wrażenia przy pierwszym spotkaniu. Gospodarz mi przyszedł zwiastować, że był w miasteczku i dwa razy się dowiadywał o mnie.

— Czemu pan z tego nie korzysta, że się z nim poznał u p. sprawnika?—dodał. Sprawnik pewnie dał dobre słowo za panem, a p. Bolesław jakby do swoich interesów chciał pana wziąć, czy może co lepszego być!!

Zgromiłem Simsona, że ja się nie chcę niczém wiązać i powiedziałem mu iż pewnie się nawet

z miasteczka wyniosę, bo tu dla siebie nic stosownego nie znajduję.

— A czegoż by pan chciał?—zapytał praktyczny izraelita. Nieznajomy przybywszy do obcego miejsca—pan myśli że odrazu może do czego dojść? Wszędzie ludzi dosyć, nowego się więcej obawiają niż sobie żyćzą.

Mało to czasu trzeba póki kamień na miejscu obrośnie??

Nie chciałem rozprawiać z nim, i zbyłem go milczeniem. Natarczywość ta Bolka pocziwego wprawiała mnie w niepokój coraz większy, tem bardziej, iż z obejścia się ze mną Petrowicza przekonywałem się, iż co najmniej silne miał podejrzenie.

Nie zaczepił mnie jednak o to, ale z rozmowy nawet, z toku jój, ze wspomnień przeszłości obawa moja rosnąć musiała.

Nieznośne, straszne to moje życie pośmiertne! Gdybym wszystkich łez nie wypłakał, pomimo wieku, mimo zahartowania próbami ciężkimi, zdaje się, iż rozłzawił bym się jak dziecię...

Noce i sny mam straszne...

Zrywam się jakby mnie ścigano, sceny dawno przebyte, zatarte latami, we śnie wracają z żywo-

ścią taką, jakbym je raz jeszcze za pokutę jakąś musiał przecierpieć?

Nadto widziałem i przeżyłem, ażebym los miał o niesprawiedliwość względem mnie obwiniać. Wiem to, że człowiek miarą maleńką, powszednią, losów swoich, sprzężonych z losami ogółu rozmiarzać nie ma prawa, ani się skarżyć na nie. Mimowoli jednak egoizm, z którego się nikt otrząsnąć nie może, budzi się i szepcze: com ja zawinił??

Jedna tylko chrześcijańska wiara ma na to odpowiedź. Żadna filozofia nie rozwiązuje tego pytania inaczej jak topiąc go w ogromie niezrozumiałych kataklizmów, w chaosie atomów...

Katechizm poprostu odpowiada: Bóg cierpieniem próbuje człowieka i zsyła je nawet wybranym; walczyć z niemi—zadanie nasze...

Sięgając dalej widzimy, że u pogan stoicyzm także rozwiązywał kwestyą boleści w życiu niepokonanem męstwem, charakterem niezłomnym, pogardą męki i śmierci.

Samobójstwo, o którym w pierwszej chwili pomyślałem, dla wyswobodzenia żony, nie byłoby jak każde inne ucieczką z placu i słabością.

Wymaga ono tylko jednej chwili natężonej

energii; gdy życie i walka mężna niezawodnie więcej dowodzą odwagi.

Nie wiem czy kiedy człowiek znajdował się w mojem położeniu — bez ratunku, bez wyjścia. Patrząc na tę ukochaną istotę w rękach innego, zrezygnowaną ale nieszczęśliwą... na to dziecię...

W podaniach ludu o upiorach są takie wymysły o duchach krążących, skazanych na powrót do dawnych siedzib — bez głosu, bez siły — nie mogących się objawić ukochanym.

I ja takim jestem upiorem...!”

„6 sierpnia.

Petrowicz, któremu musi być pilno się pozbyć i mnie i moich pieniędzy, przyszedł dziś do Simsona gdy mnie nie było, żądając abym się z nim widział.

Wieczorem znalazłem go oczekującego na mnie w domu... Wstał, postrzegłszy że wchodzę i uściskawszy za rękę, wpatrując się w oczy, posadził przy sobie.

— Znalazłem coś — rzekł. Ale pieniędzy nam trochę zabraknie — a te ja pożyczę...

Zaprotestowałem ruchem ręki, ale mi mówić nie dał.

— Pożyczę na skromny procent, to nie żadna łaska—dodał—co u licha... Nie trzeba być tak

łaskotliwym... Parę set rubli u mnie zawsze leży. Dzierżawa nieosobliwa—ale położenie niezgorsze. W Olsz... częśćka...

— Częstka — przerwałem — pan mecenas wiesz, co to znaczy w jednej wsi kilku gospodarzy...

— Myślisz pan że tego nie wziął w rachubę — dodał Petrowicz — ale tam dwóch tylko jest sąsiadów. Wdowa Boleska, biedna kobieta, pracowita, trusia, spokojna, i Segatyński, też mnie obowiązany, człek niezły... Dzierżawę objąć można zaraz, bo dawny posesor zmarł, a sukcesorowie sami gospodarować nie mogą.

Jedź pan zobaczyć—ja radzę...

Petrowicz szeroko i długo się rozwiódł o tę częśćkę, polecając ją.

Gdyśmy rozmowę skończyli, ujął mnie za rękę i przycisnął ją do piersi.

— Jedź pan, bierz pan—dodał—w tej dziurze, na kwaterze u żyda... dalipan niezdrowo... Lepiej w Olsz... coś stracić nawet, niż żyć tutaj... Życzę, proszę.

Mówił to tak wzruszony, jakby go los mój najżywiej obchodził."

„7 sierpnia.

Nająłem żydka do Olsz... Oczekiwał tam już

na mnie jeden z sukcesorów, zamożny szlachcic z Podola, któremu się widocznie pozbyć chce schedy. Ma on więcéj z nią kłopotu niż pożytku.

Zamaszystą figurą, uprzejmie, choć dając mi czuć moje podrzędne stanowisko społeczne, przyjął w lichym dworku, nastawiając się i usiłując imponować.

Ruina. Coś tak smutnego jak ten kawałek ziemi, wykąszony z dużej niegdyś wsi, ściśnięty zewsząd, zapuszczony, spustoszony, z dworkiem ledwie mieszkalnym, coś tak smutnego w naszym pięknym kraju nie wyobrażałem sobie...

Ci co tu mieszkali i gospodarowali nie mieli czasu z oddartego kawałka zrobić zaokrąglonej całości.

Podolak, który wszystkie strony ujemne widział tak dobrze jak ja (patrzyło mu to z oczów), upierał się i wmawiał we mnie, że na téj dzierzawce wiele ślicznych rzeczy zrobić było można.

Ja znowu musiałem wskazywać ile niewygód i wydatków mnie tu czeka... Szlachcic w końcu uciekł się aż do ponczyku, którym mnie chciał częstować, aby mi się oczy lepiej otworzyły na korzyści.

Zniecierpliwił się w końcu moją oziębłością i wahaniem.

— Wóz lub przewóz—rzekł żywo—bierzesz pan, czy nie?

— W pewnych warunkach — odpowiedziałem — p. Petrowicz będzie między nami rozjemcą.

Żądał szlachcic bez niczyjego pośrednictwa, kończyć natychmiast; obawiał się mecenasa. Ja stanowczo uparłem się przy swoim. Niechętnie przystał i na to. Pożegnaliśmy się dosyć grzecznie. Jutro prawdopodobnie skończymy. Wielką wagę do tego przywiązuje podolak że mi oddaje zaraz wszystko i krescencyą już na pół nawet zebraną...

W razie gdyby to było korzystnem, nic na świecie smutniejszego wymyślić nie było podobna.

Stworzonem to było dla mnie.

Jedno pociesza tylko, najprzód, że miasteczko opuszczę i usunę się z oczów ludzi, powtóre, że bezpiecznie mogę tu do siebie wziąć Jakóba, tak jakbym każdego innego starego człeka najął sobie do dozoru.

Nie powinno to i nie może przecie obudzać żadnego podejrzenia, a dla mnie będzie nieopłaconą pociechą. Z nim jednym mówić, jemu się zwierzyć mogę. Nie wątpię że się zgodzi zostać u mnie."

„10 sierpnia.

Podolakowi tak było pilno powracać do swoich jarów i pszenicy, iż nie miał pokoju, tchnąć mi nie dał pókim, łap, cap, nie objął dzierżawy... Musiałem w pomoc mecenasa prosić i starego ciągnąć na grunt.

Sprawiedliwość oddać trzeba szlachcicowi, że zbyt drobnostkowym nudziarzem nie jest. Odebrawszy pieniądze za dzierżawę, podpisawszy kontrakt, gdyśmy wszyscy, to jest on, ja i Petrowicz, za stół siedli do herbaty z rumem, po pierwszej szklance się zdradził.

— Jabym tu, na tém wygnaniu, w téj pustce — rozśmiał się — za żadne skarby w świecie nie mieszkał...

Na mnie moja sadyba, na lat sześć kontraktem ze mną związana, nie lepsze czyniła wrażenie. Wiele ten czyni co musi.

Po odjeździe podolaka, który natychmiast wyruszył, nas z Petrowiczem zostawiając samych, w istnej pustce takiej, że kawałka chleba, łyżki ani miski w niej nie było — mecenas, obojętnie się i plunawszy, rzekł kładąc rękę na mojej dłoni.

— Dobrześ asindziej wziął. Nieładne to. W ogrodzie oprócz bzu dzikiego, bziku i wiszni

karłowatych niema nic, izba gościnna psu na budę się nie zdała—ale... na to zważać nie trzeba... He! *Macte animo!!*, a ze wszystkiego najlepsze, iż w miasteczku się żyć nie będzie...”

„II sierpnia.

Musiałem jednak z Petrowiczem do niego powrócić, aby o pierwszych pomyśleć potrzebach. Urządzić się muszę jak najskromniej, najbiedniej, tak, aby na wszelki przypadek nie było czego żałować, gdyby odbiedz przyszło; lecz pierwsze potrzeby życia muszą być zaspokojone.

Nikogo u siebie przyjmować nie będę, bo i stary mecenas niełatwo się porusza, ale łóżka, stołka, stołu i garnka mi potrzeba.

Stręczę mi już starą babę do gotowania. Wszystko to niczém przy daleko trudniejszym wyekwipowaniu gospodarstwa. Nabyłem wprawdzie jakiś remanent miejscowy, lecz tak znędzniały, lichy i mały, że z nim nic począć nie można.

Jakób choć stary i bezsilny, byłby mi pomocą wielką, a nie wiem gdzie go mam szukać i czy on potrafi mnie znaleźć. Musiałem dziadowi siedzącemu pod katedrą polecić, aby jeżeli się Jakób zjawi, posłał go do Olsz... Żebrak nic się w tém,

oprócz miłosierdzia nad biednym, domyslać nie może!

O, niewysłowione dobrodziejstwo pracy!! Jakże błogosławię to, żem teraz zmuszony do niej. Natrętne myśli ustępują przed nią, nie mam czasu dręczyć się niemi.

W miasteczku już się przez Simsona wieść rozeszła, że się wynoszę na małą dzierżawę. Naczelnik spotkawszy się ze mną w ulicy, z uśmiechem mnie powitawszy winszował, złośliwie nieco dając do zrozumienia, że nie potrzebowałem posady widać, mając oszczędności...

Rozpytywał ciekawie dokąd się wynoszę i zagadywał różnie, chcąc się więcej niż drudzy dowiedzieć.

Odpowiedziałem mu otwarcie, że mi niespodzianie dłużnik oddał trochę pieniędzy, że ich mam niewiele i z biedy idę na dzierżawę.

Z tém rozstaliśmy się.

Simson, mój gospodarz, ma mi za złe, że mu się nie przyznałem do posiadania kapitału, i bez jego pośrednictwa nim rozporządziłem.

— Jabym był panu lepszą rzecz znalazł, niż tę kiepską częśćkę w Olsz..., którą stary Petrowicz nastroczył. To jest bardzo dobry człowiek, ale on bardzo postarzał... Pan sobie kupił biedę...

Tam wszystko trzeba chyba na nowo klecić, łątać, gnoić... Pola zajałowiałe, zaperzone, nigdzie płota całego, dachy poobdzierane... Mało sześciu lat na to, żeby tam rodzić zaczęło...

Wszyscy w ogóle, oprócz mecenasa, straszą mnie tą dzierzawą, Petrowicz jój też nie chwali, ale powtarza:

— Niechaj sobie będzie co chce, a lepiej, że się ztąd wyniesiecie. Wam w téj mieścinie było niezdrowo..."

„12 sierpnia.

Przeniosłem się z węzełkami mojemu do dworku. Sam ekonom, włodarz, dozorca, mam wiele do czynienia, dopóki Jakób, na którego rachuję wiele, w pomoc mi nie przyjdzie. Miejscowi ludzie widocznie studjują mnie, podpatrują, radzi by odkryć słabe strony, aby je wyzyskać. Idzie o to wielce, ażeby w pierwszych chwilach nie okazać się niezręcznym... nieudolnym i ślepym.

Wziąłem się gorąco do wszystkiego—a jednak nie tak zapalczywie by ludzie wnosić z tego mieli, że po jakimś czasie ustać będę musiał i osłabnąć.

Wistocie nędza niewypowiedziana: niedbalstwo niewysłowione, ruina straszna. Mój Boże, po tém mojem gospodarstwie wielkiem, porzą-

dném, dobrze uregulowaném, które mi się tu co chwila przypomina—ten kawałeczek ziemi zająłowiałej śmiesznym mi się wydaje. Ale powrót do dawnego zajęcia ma swój urok... to ta sama gleba na której wzrosłem, też same powietrze, którym oddychałem... Wszystko tu pokrewne z niedaleką wsią, gdzie one, dwie mojenajdroższe istoty, żyją i płaczą...”

„20 sierpnia.

Przeszło tydzień nie zaglądałem do tych kartek. Nie było co zapisywać i czasu nie miałem na to.

Dzień cały spędzam w polu. Kawałek owsa był do skoszenia, który już w czasie bezkrólewia gęsi mojej sąsiadki mocno wytlukły. Dalej trzeba już myśleć o siejbie, która jest pilną, a i pole niebardzo przygotowane i ziarna dobrego postarać się trzeba. Do późnego wieczora muszę być na polu a powróciwszy czuję się tak znużonym, iż rzucam się na łóżko aby spocząć trochę, bo o świcie wstawać muszę.

Wyglądam napróżno Jakóba. Stary ani się domyśla co ze mną się stało, bo pewnie by pośpieszył. Posyłać po niego nie mogę.

Chciałbym z sąsiedniem miasteczkiem zupełnie zerwać stosunki—na nieszczęście dotąd pra-

wie to jest niepodobieństwem. Potrzebuję tysiąca drobnych rzeczy, nie mam posłać kogo, biorę więc chudą szkapę fornalską, i siodło nabyte w sąsiedniej części od ekonoma, zrzucam pychę z serca i jadę sam po sprawunki...

Ograniczają się one bardzo skromnymi sprzętami i drobnostkami.

Zajęcia moje zdrowo mi podziały na umysł i duszę, mroki, które mnie otaczały, rozstępują się powoli. W téj baśni starój o Anteuszu, który dotknąwszy matki ziemi osłabły, sił nowych nabierał—jest wielka i głęboka prawda.

Tak — powrót do zagonu tego, związek z tą rolą z której pokolenia wyrosły, żyły — jest uzdrawiającym... jest leczącym.

Smutek mój i ból, tak jak prószyna piasku zapadła w muszlę zranioną, zwolna się obleka perłową powłoką. Dźwigam z rezygnacją ciężar bezprzykładnej niedoli...

Dziwne są ludzkiego serca władze i ruchy—kochałem ją i dziecię moje całą potęgą jedyne go w życiu przywiązania. Zdawało mi się, że więcej, że goręcej kochać niepodobna... Jednakże teraz, gdy się zbliżył do nich, gdy wiem i czuję, że ich niewielka odemnie przestrzeń dzieli — ta

miłość, przez lat tyle nie ostygła, wzrosła, zolbrzymiała, roznamiętniła się.

Prawda, że ta noc majowa z popiołów ogień wznieciła."

„21 sierpnia.

Powracałem z pola, gdy mi parobczak oznajmił, że od południa już czeka na mnie pod dwor-kiem jakiś stary człek.

Uradowałem się niezmiernie domyślając Jakóba i przyśpieszyłem kroku. Wistocie on to był. Siedział w ganku, nie na ławce ale na schodku, i z torby dobywszy chleb pożywał go spokojnie, wyglądając mnie.

Nikt go tu nie znał, choć z mowy i odzieży, łatwo się domyślali ludzie, że nie przychodził zdaleka.

— A co stary—zawołałem, witając go—ja na ciebie rachowałem... Widzisz... wziąłem dzierżawę i musisz pozostać ze mną.

Całując mię w rękę, bełkotał coś niezmiernie wzruszony.

— Juścić, juścić—choć ja i za kawełek chleba, jaki zjem, nie wiem czy odśluzę, bom nie dużo...

Weszliśmy do izby, oglądał się z boleścią po pustych kątach, po sprzętach, po tém gospodar-

stwie, które mu strasznym kontrastem przeszłość przypominało. Rozpłakał się.

Nie mówił nic, bo spojrzawszy na moją twarz posępną nie chciał mnie drażnić i rozrzewniać.

Począłem żartować z téj biedy.

Oba wiedzieliśmy, że gdy nazajutrz ludzie się przekonają, iż biedaka tego starego, obdartego, wyglądającego na żebraka, zatrzymałem sobie na oficjalistę—szydzić będą i powiedzą: jaki pan taki kram.

Nie boli to, że sąsiedzi mają mnie za ubogiego przybłędę. Zmuszony byłem, niestety, dla nadania sobie choć trochę powagi i wymożenia pewnego uszanowania, rozgłosić, że jestem dymisyonowanym urzędnikiem.

Nie wiele mi to pomaga, bo dymisyonowany urzędnik biedny, daje wiele do myślenia o sobie, ale przynajmniej wiedzieć będą, że w razie napaści bronić bym się potrafił.

Jakób zaraz objął swe nieokreślone funkcyje około dworu i gospodarstwa, ale ponieważ mu to dawnym obyczajem najmocniej na sercu leżało, pierwszego dnia zabrał się do zaprowadzenia porządku we dworku.

Wymiótł, wyszorował, z pomocą staréj Jaryny, podłogi, drzwi, stoły i stołki...

Kredens mój wydać mu się musiał dziwnym, gdyż cztery talerze, miska, para nożów i szklanka cały składają.

Zastałem go pogrążonego w rozmyślaniu posępném nad stołem na którym wszystko było rozstawione. Nie mówił mi nic, oprócz, że musi jutro pójść do miasteczka.

— O jak ta baba gotuje!! — zamruczał pod nosem.

— Mój Jakóbie—odparłem wesoło—powinneś pamiętać, że ja już i suchym chlebem spleśniałym i borówkami a grzybami w lasach i zgniłą rybą, a śmierdzącém mięsem żywić się nawykł... Wszystko mi teraz dobre.

Otarł łzę stary i odszedł milczący...”

„23 sierpnia.

Musimy się kłócić z Jakóbem... Wyprawa jego do Łucka nie była daremną, przyniósł z niej całą torbę skorup, bez których, jak utrzymywał, on sam nawet obejść się nie mógł. Pogniiewaliśmy się prawie, gdyż zapowiedziałem, że podobnych sprawunków na przyszłość zabraniam. Jednego grosza szkoda na to, dodałem, przyjemności w życiu szukać nie myślę.

Rozmowa ta dobyła z niego, bo się stary roz-

grzał nią i był podrażniony—to, czego by mi może nie powiedział inaczej.

Zapomniał się trochę.

— Jak ja to mogę znieść—zawołał—żebyście wy tu taką biedę i niedostatek cierpieli, kiedy tam pan Bogusław coraz sobie więcej pozwala i buszuje.

Mam ja dobre oczy, a i dobrych przyjaciół starych, do których chodziłem, aby się dowiedzieć jak tam idzie.

Zamachnął ręką.

— Daj Boże aby ino gorzej nie było — dodał—pani po kątach płacze, a on coraz mniej domu pilnuje i szuka sobie innych rozrywek. Snadź czuje, że nasza pani do niego się nigdy nie może przywiązać. Zawsze życie lubił, i za kołnierz nie wylewał, i kuchnia musiała być delikatna, i wino najprzedniejsze, i cygara... i różne wymysły, ale teraz o niczym nie myśli, nic nie robi, gospodarstwa nie pilnuje, w domu coraz mniej siedzi, a z dobrymi towarzyszami poluje, pije i gra.

Nasza pani na to by się nie skarżyła pewnie, bo ja wiem, że ona najszcześliwsza gdy w domu z dzieckiem zostanie a jego i czułości grubiańskich się pozbędzie—ale ona rozum ma i wie, że dalej, dalej pójdzie wszystko na te hulanki i na karty...

Może tam i więcej co jest—szepnął Jakób ciszej—ale, źle, źle...

— Majątku żony przecie zadłużyć nie może ani stracić tego co do dziecka należy — przerwałem.

— Ja tam tego nie wiem — zamruczał Jakób—ale pani nasza dobra, jak długów narobi, zapłaci... a jak on zacznie je robić—końca im nie będzie...

Spostrzegłszy, że się wygadał zbyt, gdy począł go badać i nastawać o szczegóły — Jakób się cofnął i nie chciał mówić więcej.

Ogarnęła mnie trwoga—ale w mojem położeniu, cóż ja mogę... Muszę bezsilny patrzeć, cierpieć—i nie wolno mi się zbliżyć. Życie bym dał, a ofiara ta na nic by się nie przydała.

Po wielu rozmyślach sędzę, że... może—nie zdradzając się — z Petrowicza nieznacznie coś o pożyciu Bogusława z żoną i interesach ich dobędę."

„24 sierpnia.

Stary, ile razy przybywam do niego, krzywi się i prawie mi nie jest rad.

— Poco to się tu ludziom na oczy nawijać—mruczy, jak gdyby — ale niepodobna żeby się domyślał, choć to wygląda jak gdyby...

— Ja bo — dodał zaraz — miałem sam na kwaśne mleko przyjechać do Olsz... A co u was słychać?

Obróciłem w żart moje biedne gospodarstwo i powiedziałem mu w dodatku, że mój rodzaj żebraka starego przyjął za oficjalistę...

Począł rozpytywać skwapliwie.

— Jak to można brać ludzi nie znając, tak pierwszego z brzegu! — zawołał. Włóczęgów różnych dosyć, to jeszcze okradnie albo i co gorszego może być.

Zaniepokoił się mocno.

— Cóż to za człek? ma jakie świadectwa?

Dla uspokojenia go powiedziałem, że po dworach służywał.

— Gdzie? u kogo? po jakich dworach?

Od niechcenia rzuciłem, że właśnie u tego nieboszczyka p. Karola, o którym mecenas wspominał tyle razy.

Petrowicz ręce załamał.

Spojrzał mi w oczy tak że mój się uląkł — ale słowa nie rzekł długo.

— Żeby tak samemu biedy szukać — rzekł w końcu znacząco — to trzeba...

Nie dokończył. Odwróciłem rozmowę. Jedliśmy z nim razem: milczący był i zadumany.

- Nagle ni z tego ni z owego zagaił o stryju moim, niby z téj racyi że do niego wzywany był dla spisania testamentu. Wlepiwszy we mnie oczy począł rozpowiadać, jak stary pieniacz i skąpiec bolał, że majątek się na kolateralnych rozdrobi.

— Radziłem mu—rzekł—ażeby spadek przekazał wnuczce po synowcu... ale stary ojczyma jój nie lubi — i ma może racyą...

Petrowicz dalej ciągnął, jak gdyby na tortury wziąć mię zamierzył.

— Ubzdrzyło się staremu — bo to człowiek skwaśniały, podejrzliwy, że ten synowiec, nieboszczyk Karol, o którym niby urzędownie doniesiono, że zabitym został—żyć może... Mówił mi, że choć z bratem był zawsze źle, ale do syna jego nie miał nic, i byłby mu pewnie majątek przekazał... Kto to wie? powtarzał—ten nieboszczyk jeszcze może kiedy zmartwychwstać.

Rozśmiałem się gorzko i śmiało w oczy patrząc Petrowiczowi, rzekłem:

— Powinieneś mu być pan wybić z głowy to śmieszne przypuszczenie! przecież nie byłaby wyszła za mąż żona jego, gdyby pewności nie miała, że pierwszy mąż jój nie żył.

— Kobieta słaba, pan Bogusław był natar-

czywy, dziecko potrzebowało opiekuna — rzekł. Albo się to nie trafiało, że rozbitki po wielu latach wracały i dawno umarli zjawiali się.

Nie dałem mu ciągnąć dalej: mógł z rozdrażnienia mojego wniesć, że mnie ta rozmowa nie bawiła wcale. Ledwie mógł mu zamknąć usta; skorzystałem jednak ze zwrotu tego, aby o pana Bogusława zapytać i o życie jego...

Petrowicz trochę pomyślawszy, jakby ważył czy ma mi całą prawdę powiedzieć, czy nie — bąknął:

— Nie jest to zły człowiek—Boże uchwaj, dużo gorszych od niego, ale jak w domu szczęścia nie znajdzie, będzie go szukać za domem. Człek lekki, młody, żyć lubi.. ona osoba poważniejsza, temperamenta różne, trudno przyszłość odgadnąć.

Urwał potem nagle, zapewniając, że nie wie o Bogusławie tak jak nic..."

„I września.

Powracam z pola, nie wiem co mi jest — dreszcze przebiegają po ciele, głowa gorąca. Czuję się niedobrze... Jakób każe mi iść do łóżka.

Znam z doświadczenia, że się zbiera na ciężką i długą chorobę. Jeżeli zwiastuje wyzwolenie, powitam ją z radością. Kazałem staremu

w razie wypadku, aby dziennik ten spalił. Zabroniłem posyłać po lekarza. Nie mogę pisać... Niepokój mnie ogarnia. Sam nie wiem czego się obawiam."

"3 grudnia.

Po długiej przerwie powracam do tych kartek, aby na nich zapisać co się ze mną stało i jak położenie moje niespodzianym uległo zmianom...

Od pierwszego września, gdym poczuł gorączkę w sobie, nie wiem już co się ze mną działo przez dni i tygodni wiele. Jakób mi powiada, że gorączka tyfoidalna była tak groźną, iż mnie przy życiu utrzymać nie spodziewał się lekarz, Braunowski stary, którego na trzeci dzień Petrowicz przysłał.

Łaska to Boża, iż w gorączce mówiąc od rzeczy, a pełną mając głowę bolesnych wspomnień, imion, wypadków, nie zdradziłem się. Braunowski też dawniej mnie nie znał i domyśleć się nic nie mógł.

Gdym, po drugiem już przesileniu oprzytomniał i otworzył oczy, sądziłem, że jeszcze marzę gorączkowo.

Ujrzałem przy łóżku siedzącego Bolka, który rękę moję trzymał w dłoniach. Pojąć nie mogłem zkąd się on tu mógł wziąć, i z trwogą, milcząc,

w poczwiwie uśmiechniętą twarz jego wpatrywałem się zdumiony.

Położył palec na ustach...

Dowiedziałem się później, iż od Petrowicza usłyszawszy o chorobie Ciesielskiego, który mu jego Karola tak przypominał, uparł się koniecznie, opuszczonego wśród obcych odwiedzić i chciał mu być pomocą.

Pocziwy Bolek wistocie od razu poznał mnie, tłumaczył sobie moje postępowanie, za złe nie miał, że nie mogłem mu się zwierzyć—ale o ciężkiej chorobie dowiadując się nie wytrzymał, aby nie przybiedz do Olsz.

Nie dawał Jakóbowi poznać, że był panem mojej tajemnicy; gdyby najmniejszą miał wątpliwość Bolek, byłaby się rozproszyć musiała czasu choroby, bom z gorączki plótł, zdradzając się co chwila. Pilnował mnie, spełniając niby dobry uczynek względem obcego, zachowując wszelką ostrożność, aby to oczów nie zwracało, w czém mu Jakób, nie mówiąc nic, doskonale w pomoc przychodził.

Powracając do zmysłów, zobaczywszy go przy sobie, czując uścisk jego dłoni, kłamać nie mogłem, ani próbować się zapierać. Byłem tak wzruszony i osłabły, że w pierwszej chwili, słowa

nie rzekłszy, zamknąłem oczy, cały zanurzyłem się w duszy własnej.

Los znowu w poplątane pasmo życia mojego rzucił nowy pocisk, gmatwając je gorzej jeszcze.

Petrowicz domyślał się, Bolek był pewnym, Jakób wiedział wszystko.

Położenie moje nie dla mnie jednego groźnym się stawało, ale dla tych wszystkich, którzy znając mnie, współwinni byli tajemnicy, jaką się otaczałem.

Oslabiony byłem tak w pierwszych dniach długo ciągnąć się mającej rekonwalescencji, że nawet z Bolkiem, z którym tyle było do mówienia, nie mógł się otwarciej rozgadać. Lekarz zakazywał wszelki wysiłek i wzruszenie. Bolek musiał odjechać.

Obiecywał powrócić, gdy będę silniejszym. Zostawał przy mnie stary Jakób, przysłana przez Bolka kobieta nieznana, nawykła do pilnowania chorych, dziwnie milcząca, niema prawie, i Braunowski, który mnie nawiedzał często.

W mroku, który mię otaczał, gdy się z nim oczy oswoiły dostrzegłem wielkie zmiany około mnie: poprzywożone sprzęty, naczynia, opony, kobierce... rzeczy zbytkowne, które przykre wrażenie czyniły na mnie.

Jakób na uczynioną uwagę odpowiedział, że wszystko to doktor uznał nieodzownie potrzebném. Gdyśmy zostali sami, szepnąłem mu na ucho, że ta troskliwość Bolka i Petrowicza o zupełnie obcego człowieka mogła ściągnąć podejrzenia.

— Niech-no pan będzie spokojny—rzekł—inaczej być nie mogło.

O tém się pamięta. To się wie—a co potrzeba było zrobić—uczyniono, aby ludzie w to nosa nie wtykali.

Kto zna kraj nasz i najpocziwszych jego mieszkańców, wpośród których żadna nigdy tajemnica, choćby ona najświętszemą była obwarowana obowiązkami milczenia—utrzymać się nie może, ten pojmie niepokój jakiego doznawałem.

Jesteśmy rzeczywiście tak sami szlachetni, tak ufni w uczciwość drugich, że nam się najczęściej zachowywanie sekretu wydaje zbyteczném. Któżby mógł i śmiał go zdradzić?

Nie szło mi o siebie, lecz o cześć i spokój téj biednej a ukochanej kobiety... o drugich... o skandal — o rozgłos... To co mnie osobiście spotkać mogło, nie przerażało wcale.

Bolek przyjechał, gdym już cokolwiek sił odzyskał—rozmowa była możliwą. Nie dał mi jej

jednak rozpocząć od przeszłości, której może był najciekawszym, aby mię nie poruszyć zbyt; sam zagaił tém, abym był całkiem spokojnym.

— Dla wszystkich — rzekł — tłumaczy się to moje postępowanie tém, że ja jestem z Ciesielskimi spokrewniony... tego dosyć...

Spytałem go cicho o Petrowicza.

— Stary poczciwy lis — rzekł z uśmiechem. Nie mówi nic z nikim, jak gdyby ignorował wszystko, nie domyślał się niczego... Jesteś dla niego Ciesielskim, ale od pierwszego wejrzenia cię poznał... Ze mną nawet nigdy otwarcie się nie rozmówił w tym przedmiocie. Dozwala mi sądzić co chcę, ale niema zeznania z jego strony.

Bolek śmiać się począł.

— Bądź spokojnym — dodał — o ile jest w mocy ludzkiej zawarować bezpieczeństwo, przewidzieć niespodzianą jakąś grozę — wszystkośmy spełnili... Przychodź tylko jak najprędzej do zdrowia, bo mi pilno cię wyciągnąć z téj chaty odrapanéj i nędznój.

Odparłem mu że się z niej nie dam wziąć; nakazał mi milczenie...

Pierwsze te dni po odzyskaniu przytomności i powrocie do życia, były dla mnie istotnie jakby przyjściem na świat, jakby odrodzeniem niewy-

słownienie rozkoszném, któremu przypomnienie niebezpieczeństwa i położenie moje dodawały niemal ceny i uroku.

Po latach tylu odzyskać przyjaciela — módz wylać mu całą duszę, znaleźć się znowu wśród żywego, rzeczywistego świata, gdy tak długo chodziło się upiorem — było wielką rozkoszą, którą choćby życiem opłacić nie znajdowałem za drogiem.

Gdy Braunowski więcej mi mówić dozwolił, choć Bolek unikał dotykania najdrażliwszych wspomnień, ja sam począłem z nim mówić o niej i o dziecku.

To com już słyszał od Jakóba, czyniło mnie o żonę nad wyraz niespokojnym, i o poźycie jój z tym, którego mężem nazywała.

Bolek milczał znacząco, kłamałby był dla uspokojenia mnie, gdyby się nie dowiedział, że jestem już uwiadomiony przez Jakóba. Zakląłem go na wszystko w świecie, aby szczerym był ze mną.

— Wierz mi—rzekłem—nie jestem już tym miękkim, wrażliwym człowiekiem, który widoku strasznego i przykrego nie znosi. Przebyłem tyle, że mogę w oczy zajrzeć największej grozie — i tać przedemną byłoby kazać mi się domyślać

najgorszego, a dręczyć więcej jeszcze. Mów mężko, otwarcie... prawdę całą. Pożycie ich jest męczeństwem dla biednej kobiety, Bogusław nie wart jej był, a ona zapanować nad nim nie umiała. Szukajmy środków, aby tego człowieka wyciągnąć z towarzystwa w którym się psuje... Radźmy.

— Powiedziałeś to sam — rzekł Bolek — zapanować nad nim nie umiała, a była powinna. Znam ją dobrze i tłumaczę to sobie — nie mogła kłamać dla niego miłości, której nie miała, a tylko nią mogła go uczynić sobie posłusznym. Zrażony jej oziębłością, przekonany, że kochać go nie może i nigdy nie będzie — rzucił się szukać roztargnienia i rozrywek.

Dotąd jednak, o ile wiem, w domu panował spokój, ona ma dosyć swobody, zajęta jest wychowaniem dziecka... Bogusław jej nie naprzykrza się, nie czyni wyrzutów, żyje poza domem — no, i traci.

Wspomniałeś o tém, że możnaby postarać się o to, aby na Bogusława wpłynąć i wyrwać go z pośrodku ludzi, którzy go rozpajają, zgrywają i wyzyskują. Ja jeden mógłbym coś podobnego próbować, bom z nim dawniej był dosyć dobrze, ale przekonany jestem, że na Bogusława nie podziałam, że usiłowanie byłoby próżném. W jego

charakterze i temperamencie wypisane było przeznaczenie — albo musiał być zawojowanym przez kobietę, lub pociągniętym przez ludzi, bo o swéj mocy i sam sobą nigdy by nie wyżył.

Na to co dziś jest — niema ratunku; czuwajmy tylko, a ja ci przyrzec mogę, iż spełnię ten obowiązek i nie dopuszczę, aby Bogusław przyszłość twojego dziecka i spokój biednej kobiety postępowaniem swém miał zachwiać.

Bądź pewnym, że powolna we wszystkiém, matka w obronie dziecka znajdzie siłę i mężstwo, gdyby mu co zagrozić miało.”

Na tym urywku kończy się dziennik zmarłych Karola, który mieliśmy w ręku. Dalsze dzieje opowiedzieć musimy, według wiarygodnych danych, czerpanych z ust naocznych świadków.

W czasie gdy chory Karol leżał jeszcze w Olsz..., niedając się ztamtąd wyciągnąć Bolkowi, który napróżno starał się go skłonić aby się przeniósł do niego, ofiarując mu na osobności dworek i zapewniając zupełne bezpieczeństwo, najtroskliwszą opiekę — we dworze tym, w którym teraz panował pan Bogusław,

życie stawało się coraz cięższém dla obojga małżonków.

Zakochany niegdyś namiętnie w pięknej wdowie, terażniejszy mąż jój nie mógł przebaczyć, że pamiętała o tym którego straciła, że portretu jego nie dozwalała wynieść z sypialnego pokoju, że córce o ojcu mówiła codzień, z cieniem i wspomnieniem tego człowieka żyła ciągle.

Drażniło go wszystko. W ogrodzie naprzykład chciał małe poczynić zmiany—żona oparła się im gwałtownie, stanowczo, nie tając z tém, że chciała aby tu wszystko pozostało tak jak było gdy żył Karol.

Pierwsza gwałtowniejsza sprzeczka i kłótnia niemal wybuchła z tego powodu. Bogusław zapomniał się, uniósł i począł wyrzucać, że on tu wcale nie jest panem i gra rolę upokarzającą.

Odpowiedziano mu iż się zgodził na te warunki, które wcześniej były umówione.

— Nie żądam od was więcej nic nad to, co mam przyrzeczone...

Bogusław dla powagi swój, jako pana domu, domagał się, aby rozkaz wydany przez niego został spełniony. Żona stanowczo się temu oparła.

Rozeszli się w ogrodzie milczący, oboje gnie-

wni, a przy obiedzie nie mówili do siebie, i dziewczę płakało.

Od stołu wstawszy pan Bogusław poszedł do stajni, zaprzęgać kazał i wyjechał.

Kilka dni nie było go w domu, a żona dowiedziała się przypadkowo od ludzi, że siedział w swojej wiosce, i tam się tak urządził ażeby przyjaciół mógł przyjmować. Po tygodniu przyjechał na chwilę rano, jawnie, dlatego tylko, aby należące do niego rzeczy, papiery i sprzęty pozabierać.

Żona dowiedziawszy się o jego przybyciu nie wyszła pierwsza do niego, z dumą jakąś czekała aby się ukazał. W godzinie obiadu zjawił się wistocie, w myśliwskim ubraniu, zimno, zdaleka z żoną się przywitał, do stołu siadł, pił dużo, milczał uparcie; potem dziecku kazał wyjść do ogrodu i rozpoczął rozmawiać z żoną.

— Życie takie jest niemożliwem — odezwał się otwarcie — ja we troje z tym nieboszczykiem wytrwać tu nie potrafię. Ustępuję mu.

Przenoszę się do Borku.

Nie mówiąc słowa pani Józefa przyjęła to oświadczenie zimno, skłoniła głowę. Sądził, że wywoła tłumaczenie jakie, uniewinnienie się — milczała.

— Co ludzie na to powiedzą—dodał—ja nie wiem, ale mnie obwiniać nie mogą. Czyniłem co było w méj mocy, aby zyskać choć trochę względów... w końcu cierpliwości zabrakło. Zostawiam panią swobodną i do niczego się tu mięszać nie chcę! gdy najmniejszej nie mam władzy...

Po namyśle żona odpowiedziała mu głosem drżącym.

— Oboje popełniliśmy niedarowany błąd: ja żem sądziła, iż pan żal mój poszanujesz i ocenisz ofiarę jaką uczyniłam dla dziecka — wy panie Bogusławie, iż spodziewaliście się z serca mojego najdroższe wyrugować wspomnienie. Karę za mój błąd zniosę cierpliwie, ale niewierną pamięci tego któregoś kochała... nie stanę się nigdy.

Z tym warunkiem podałam mu rękę do ołtarza.

— A jam był tak głupi—wtrącił Bogusław—że warunek, który z małżeństwem się pogodzić nie może, przyjąłem. Teraz otwarcie pani powiadam, albo tu mężem i panem będę lub ustąpię. Co ludzie powiedzą?

— Co ludzie powiedzą, nie wiem, ale w sumieniu jestem czystą—odezwała się żona. Mnie czy was obwinia, zniosę konsekwencyą fałszywego kroku.

Zawiedziony w nadziei nastraszenia żony i wy-

możenia na niej uległości, Bogusław porwał się z gniewem, z hałasem i prawie nie żegnając wypadł, nakazując zaprzęgać. Odjechał natychmiast do swój wioski.

Tym sposobem stosunki zerwane zostały, a że w sąsiedztwie nic się utaić nie może, i pan Bogusław w kole swych przyjaciół wcale się nie tuił, ale chwalił z tém co uczynił i odgrażał przeciw żonie — wiadomość szybko się rozniosła.

Bolek dowiedział się o tém, z wielką przykrością i choć z Bogusławem dawno nie miał bliższych stosunków, pojechał do niego, starając się odwiedziny uczynić niby. przypadkowemi.

Cudem jakimś, a może dobrze obrachowaną i wybraną godziną zastał pana Bogusława samego w domu, który się dopiero urządzał na kawalerskie wygodne mieszkanie.

Wchodząc udał, że nie wie o niczém.

— Co to ja widzę—odezwał się w progu—wygląda jakbyś w Borku myśliwską jakąś kwatere sobie sztyftował??

Bogusław spojrzał mu w oczy cynicznie, śmiejąc się.

— Cóż to ty udajesz naiwnego?—odparł—albo to już nie trąbią po okolicy, że my się z żoną rozstaliśmy??

— Gdybym słyszał, nie uwierzyłbym—rzekł Bolek.

— Tak jest; baba uparta a ja też nie jestem stworzony pod pantofel—dodał pan Bogusław.— Jak się mamy jeść i kłócić codzień, wołałem zejść z oczów...

Po chwili, wszedłszy do pokoju, namiętnie począł żale przed gościem rozwodzić.

— Niech mnie kto chce sądzi—zawołał—życia takiego dłużej znieść nie było podobna. Do stołu siadałem z nieboszczykiem Karolem, kładłem się z nim do łóżka, miałem go w ogrodzie, na każdej ławce, w każdym krzaku, mówiła o nim dziecku po dniach całych... a ja musiałem tam grać rolę jakąś płaczka i żałobnika.

Sprzyskrzyło mi się...

— Sam przecie mówiłeś mi niegdyś że na wszystkie warunki przystałeś, byle się z nią ożenić?—wtrącił Bolek.

Bogusław rzucił się w gniewie.

— Niema o czém mówić... — zakończył — zadługo byłem cierpliwy!

Przybyłemu gościowi więcej szło o to, aby się naocznie przekonał jak tu rzeczy stały, niż oskłonienie Bogusława, aby się z żoną przejednał.

Uczył mu uwagę kilka chłodnych, na które

gospodarz odpowiedział namiętnie, i niedługo zabawiwszy w Borku, pojechał do pani Józefy, aby, jako przyjaciel najlepszy nieboszczyka Karola, pomówić z nią otwarcie o teraźniejszém położeniu.

Gość w tym samotnym dworze był teraz tak rzadkim, tak czémś niespodziewaném, że Bolek długo musiał czekać w saloniku nim pani domu wyszła do niego z córeczką.

Wiedziała już kto przyjechał, a ten przyjaciel i towarzysz nieboszczyka był dla niej przypomnieniem jego; rada mu była. Mimo nigdy z twarzy nieschodzącego smutku, przyjęła go z uśmiechem, wyciągając ręce obie, białe i wychudłe. Potem postawiła przed nim córkę, jakby się nią pyszniła;—całując ją w główkę, rzekła poruszona:

— Patrz pan... jak ona go przypomina!!

Bolek także wzruszonym był witając ją.

— Pewna jestem — szepnęła, małą swą odprawiając do zabawy, że odgadnę co pana Boleśława tu sprowadza.

Spojrzała mu w oczy, a gość wejrzeniem odpowiedział potakująco.

— Wiesz pan już—dodała smutnie... Moje-

mu losowi brakło tego, ażebym za nierozważną ofiarę ukaraną została. Stało się.

— Jest-że to nieodwołalném? — zapytał Bolek.

Ruszyła ramionami tylko.

— Tak może lepiej — odpowiedziała zniżając głos — dla mnie, dla dziecka, a nawet dla pana Bogusława. Nie było sposobu zgodzić się na życie jakiego ja wymagałam, a on dla siebie potrzebował. Mnie miłą była cisza i samotność, jemu wrzawa i roztargnienia. Cierpiałam ja lub on...

— Najgorszém w tém wszystkiém—otwarcie począł gość—że Bogusław puszczony tak bez dozoru, oddany sam sobie, może nadużyć samowoli, ma towarzyszków płochych, jest pocziwy, ale nierozważny i namiętny.

— Cóż ja na to poradzić mogę, gdym siły nie miała zatrzymać go przy sobie?—rzekła kobieta. — Żądał ode mnie kłamstwa, zaparcia się tego, co mi jest i pozostanie drogiém. Najsmutniejszém z tego wszystkiego, że przed mojem dzieckiem nie umiem tłumaczyć tego rozbratu; Bogusław kochał ją, ona dopytuje o niego — jak mogę go uniewinniam i osłaniam.

Spuściła oczy.

Smutna rozmowa przedłużyła się aż do obia-

du. Wróciło dziewczę, potrzeba było rozmowę zmienić a uczynić weselszą, obojętną.

Przed pożegnaniem Bolek pocichu zapytał gospodyni, czy mąż jój miał pełnomocnictwo do rozporządzania jój majątkiem.

— Niestety — szepnęła pani — dałam mu je, a teraz nie śmiem i nie mogę odbierać.

Spojrzała w oczy gościowi. — Byłoby jakie niebezpieczeństwo? — spytała.

— Nie wiem o tém — rzekł Bolek — ale Bogusław jest dosyć nieogłębny, stratny, lubi grę a nie umie się rachować. Choćby dziś nie groziło nic, jeżeli się przedłuży takie życie w rozłące...

Zadumała się pani Józefa.

— Co mi pan radzisz? — zapytała. — Nie chciałabym zbyt surowo się obchodzić z nim, ani jawném wystąpieniem krzywdę mu uczynić. Przecież tak prędko ruina grozić nam nie może?

Bolek nie nalegał. Na wyjezdném tylko szepnął, że teraz czuje się w obowiązku ofiarować jój swe usługi, i że prosi aby w każdym razie chciała się zwracać do niego.

Z wycieczki téj powróciwszy, wprost się udał Bolek do Olsz..., w którym Karol jeszcze się znajdował. Znacznie już do sił przyszedłszy, prze-

chadzał się po izbie i niecierpliwił, że mu niedozwalano niczém się zajmować. Błady był, wychudły i strasznie zmizerowany, lecz dziwnym fenomenem jakimś twarz jego teraz, jakby odmłodzona, dawną fizyognomią więcej przypominała niżeli przed przebytą chorobą.

W przedwcześnie zestarzałym odżywał młody człowiek.

Uderzyło to w progu zaraz przybywającego Bolka, ale nie przyznał się do tego wrażenia, tak jak nie chciał przyznać do wycieczki, którą uczynił:

Szło mu o jedno—o skłonienie przyjaciela, aby się wyniósł z Olsz..., gdzie był zbytecznie na widoku, i przesiedlił do dworku, który on mu na ustroniu, w jednej z wiosek swych przygotował i urządził.

Uparty Karol nie byłby pewnie nigdy się zgodził na przyjęcie téj gościny, gdyby nie jedna ciągnąca do niéj ponęta: była ona bliżej wioski w której mieszkały najdroższe mu istoty. W duchu, nie przyznając się do tego, roił, że ztamtąd będzie może mógł podkraść się kiedy i zobaczyć ich zdaleka.

Była to pociecha bolesna, było to coś straszego dlań, ale pociągającego. Nie wyznał

przed Bolkiem, że go to nęciło. Ten nalegał na opuszczenie Olsz..., znalazłszy kogoś co dzierżawę miał przyjąć i żądając tego dla bezpieczeństwa, dla spokoju.

Karol o tém, co zaszło pomiędzy Bogusławem a żoną, nie wiedział—a przyjaciel nie chciał mówić mu, nie przewidując jakie to na nim wrażenie uczynić może.

Ale składają się czasem rzeczy dziwnie. Jakób stary, który się dowiadywał ciągle, co się działo z jego panią i z ukochaném dzieckiem, puścił się na zwiady, dopytał co zaszło, i powróciwszy tegoż dnia wieczór wszystko przed Karolem wyśpiewał.

Bolek nocował tego dnia w Olsz... Położył się już był, gdy z drugiej izby wszedł z zarumienionemi policzkami Karol i przystąpił do jego łóżka.

— Nic nie wiesz?—odezwał się głosem drżącym—ten łotr, ten... niegodziwiec, po jakiejś kłótni z nią... On! śmieź z nią się spierać!! Porzucił ją i wyniósł się do swojej wioski!

Postawa i głos Karola przeraziły Bolka.

— Zkąd o tém wiesz?—zapytał surowo—kto ci powiedział?

— Jakób ztamtąd powraca...

Spojrzeli na siebie.

— Obchodzi cię to tak mocno...? — przerwał Bolek; mnie się zdaje, że to może najszcześniejszym jest... jeżeli na tém się skończy.

— Ale to jęć uwłacza! Ona cierpi na tém! — począł Karol.

— Uspokój się, mówmy z krwią chłodną o tém — przerwał Bolek. To co ci Jakób niepotrzebnie przyniósł, było mi wiadomém... Nie powiem, żebym się ucieszył tém, lecz, gdy raz na tém się skończyć musiało, lepiej że się prędkiej stało. Ona jest swobodniejszą.

Karol nie zdawał sobie może jasno sprawy z tego, jakie skutki pociągnąć za sobą mogło rozłączenie się; gniewał się razem i cieszył, oburzał na człowieka i rad był, że się go pozbyto. Najdziwniejsze myśli i marzenia zaczęły mu chodzić po głowie, lecz do nich nawet się przed Bolkiem nie przyznał.

Nazajutrz tylko, gdy znowu gość nalegać począł, aby chory conajprędkiej się ztąd wynosił, Karol, opierający się dotąd, zgodził się milcząco i obiecał pod pewnemi warunkami przyjąć gościenną w przeznaczonym dla niego dworku.

Tymczasem kończyła się zima, nadchodziła druga wiosna. Pierwszych ciepłych dni kwie-

tniowych Bolek zajechał wygodnym powozem do Olsz..., aby zabrać przyjaciela.

Przeznaczony dla niego dworek, nieopodal od wsi, w gaju brzozowym, miał swą historią. Był niegdyś pobudowanym przez ojca Bolka, dla krewnego, który z nogą zeschłą, o kuli z legionów powrócił, a zamieszkać u swoich nie chciał inaczej jak w osobnym domku, w którymby mógł sobie gospodarzyć.

Ów pan Major, co całą Europę z Napoleońskimi wojskami przewędrował i wrócił na śmieć domowe z krzyżem ale bez grosza, był w swoim rodzaju dziwakiem. Nie wymagał wiele dla siebie, ale życie prowadził wedle fantazyi, nie umiając i nie chcąc się zastosować do ludzi. Miał chleb swój, który jadł—a innego nie mógł; potrawy różne, bez których się nie obchodził, godziny powyznaczane na różne zajęcia i t. p. Potrzeba mu więc było pobudować dworek wedle jego pomysłu, dobrać służbę, zaopatrzyć spiżarnią: tak dożył po żołniersku ostatnich lat skołatane go żywota.

Po śmierci pana Majora dworek jego stał pustką, potem wyprosił go sobie gracyalista, a teraz Bolek dla powinowatego swego Ciesielskiego oczyścić i wypořządzić kazał. Jechał z nim

stary Jakób, a gospodyni i stróż czekali na nowego pana.

Domek ze stajenką i szopkami, bo Major trzymał konia i namiętnie się zajmował hodowlą kur i gołębi, oparkaniony, otoczony ogródkiem, składał się z trzech izdebek, kuchni, spiżarni i komory dla sługi.

Wszystko tu wyglądało świeżo, wesoło, a drzewa, cień, bliskość lasu czyniły ten kątek po smutnym Olsz... czémś nadzwyczaj ponętném. Bolek zawczasu zaopatrzył pustelnię we wszystko, nawet w książki.

Wczesna wiosna podjęła się, zielonością... wsząd wytryskującą, przystroić murawę ogródka i lasku. Gdy wysiedli a Karol spojrzał na śmiejący się dworek, łzy zakręciły się w oczach biednemu i rzucił się na szyję Bolkowi. Zdało mu się to nadto piękném i miłém na gniazdo takiej boleści, jaką on nosił z sobą; miejsce to miało urok nadzwyczajny, świat przejść mógł człowiek a tak wybitnie napiętnowanego charakterem kraju kątku drugiego by nie znalazł.

Las, brzozy, płoty, szopki, budowa domu, krajobraz, nigdzie indziej takimi być nie mogły. W Olsz... była cała nędza biednego kraju widomą i rażącą, tu cały jego wdzięk poetyczny...

Od wioski dosyć oddalonéj nie dochodziła wrzawa, a widok jéj ożywiał okolicę. Słowem, było to coś idealnego...

— A! jakże by tu dobrze było umierać — zawołał Karol — na wiosnę przy piosence słowika.

Bolek chciał zrazu odpowiedzieć, lecz po namyśle ruszył tylko ramionami.

Przy obejrzeniu dworku i wszystkiego w co on był zaopatrzony, biedny zmartwychwstaniec uniósł się takim uczuciem wdzięczności dla przyjaciela, że mówić nie mogąc, ścisnął go tylko i całował.

— Bolku mój—rzekł w końcu—wszystko to cudowne jak marzenie, ale zapomniałeś o jedném, że na tém tle jasném czarna moja boleść leżeć będzie jak plama... i straszniej jeszcze odbijać od niego. Ja, com już tak zwątpił o ludziach, w tobie znalazłem takiego brata, przyjaciela, wybawcę, że mi się czasem zdaje, jakby to wszystko snem było!! A, jakże ja ci wdzięczność moję okażę...

— Tém, gdy zobaczę, że mniej cierpisz i przejechałeś się z życiem.

Dworek oddany Karolowi, zwany pospolicie Pustelnią, położony był tak szczęśliwie, że w bliz-

kości jego żadna większa droga nie przechodziła. Nikt tu, oprócz oficyalistów Bolka, nie zaglądał. Oddalenie od wsi, w której mieszkał dziedzic, nie wynosiło mili; do dawniej posiadłości Karola, gdzie teraz samą została żona jego, na wprost lasami liczono dwie milki.

Miasto powiatowe leżało o trzy mile, i urzędnicy, przejeżdżający po okolicy, nigdy nie mieli powodu tu zaglądać. Osiedlenie się Karola w Pustelni dla sąsiedniej wioski nie było niczém nadzwyczajném, bo pamiętano we dworku pobyt legionisty, którego on wydawał się naturalnym spadkobiercą.

Samotność ta ze starym Jakóbem, gospodynią i przychodzącym stróżem, dla Karola była raczój dobrodziejstwem niż przykrością. W Olsz... ciążyło mu to, że nieustannie bliskość miasteczka narażała na różne odwiedziny i urzędowe wymagania, które na małych właścicieli najczęściej spadają. Tu miał ciszę i spokój zupełny.

W stosunkach z Bolesławem jedna tylko okoliczność pozostawała do załatwienia: nie mógł on ukryć tego przed żoną, co zrobił dla jakiegoś powinowatego Ciesielskiego. Wprawdzie zapowiedział jój z góry, że to był człowiek nieszczęśliwy, stroniący od ludzi, uciekający od towarzystwa,

którego widywać nie będą — niepodobna jednak było aby choć raz Karol się tam nie zaprezentował, nie pokazał. Młoda pani była nadzwyczaj ciekawą. Karol, który ją dzieckiem widywał, nie obawiał się, aby go poznała lub domysleć się mogła, było to niepodobieństwem, ale musiał unikać domu w którym każdego dnia mógł się z kimś spotkać.

Bolek zapowiedział mu, że go sam zawiezie do żony, takiego dnia i o takiej porze, gdy z pewnością żadnych się odwiedzin lękać nie będzie potrzeba. Ostrożności te niezupełnie były zbyteczne... W miasteczku pobyt owego pana Maryana Ciesielskiego, jego starania o posadę, stosunki z naczelnikiem powiatu, życie późniejsze, potem wzięta dzierżawa, zainteresowanie się nim Bolka, przenosiny, choroba... obudzały ciekawość i rodziły podejrzenia.

Urzędnicy miejscowi widzieli w tém coś dwuznacznego. Czasy były w których na każdego nowego a nieznanego człowieka baczne zwracano oko. Chociaż ów Ciesielski legitymował się papierami służbowymi, świadectwy i t. p., przybycie jego tu, pobyt i łatwo pozawiazywane stosunki, ludziom szukającym tajemnic do odkrycia dawały do myślenia.

Karol w czasie pobytu w miasteczku ani widział, ani sobie przypomniał z dawnych czasów figury, która niebezpieczną dla niego być mogła. Był nią niejaki Suraż, człowiek niemłody, który różne a różne przechodził koleje; znanym był z opilstwa, a razem z tego, że najnikczemniejsza czynność nic go nie kosztowała, byle w niej korzyść znalazł.

Był to niegdyś oficjalista, wypędzony przez ojca Karola; tułał się po świecie, wrócił potem na pierwszą sadybę do miasteczka, i pomimo że się zapijał, użytym był przy kancelaryi naczelnika powiatu, bo nikt nad niego nie śledził pilniej tych wszystkich drobnych wykroczeń i wypadczków, z których urząd mógł korzystać.

Znał w okolicy wszystkich, położenie, stosunki, charakter, zajęcia, a śledzenie potajemne tych, do których się za coś można było przyczepić, było jego powołaniem.

Wysyłano go gdy było potrzeba czegoś się pocichu dobadać. Suraż nie wahał się jawnie potem stawać jako oskarżyciel, znosił że mu w oczy plwano, ale drżeli przed nim wszyscy, choć był bardzo małą figurką. Potrzebowano go, pogardzano nim ale się posługiwano.

W miasteczku żydzi, przekupnie, opłacali mu się, poili go; zdradzał czasem swoich zwierzchni-

ków, ale gdy szło o znaczniejszy kąsek podawał go, aby się zasłużyć. Stary ale silny, ogromny chłop; wytrzymały na zimno, na niewczasy, czerwony, bo zawsze na pół lub całkiem pijany, pomimo oszołomienia zachowywał zupełną przytomność, i na trzeźwo nawet siły nie tracił.

Obserwowanie nowo przybywających, oraz przebywających w mieście i okolicy, należało do jego atrybucyi. Jak tylko się Karol pod imieniem Ciesielskiego tu zjawił, Suraż przeczuił w nim coś podejrzanego i nie spuszczał go już z oka.

Zbiło go trochę z tropu to, że pan Maryan z naczelnikiem powiatu zawiązał stosunki, jednakże nie zaufał zupełnie temu kandydatowi do posady... Zaczął chodzić do Simsona, podpatrywać wszystkie ruchy i czynności przybysza. Uderzało go zaznajomienie się poufałe z Petrowiczem. Podpatrzył schadzki, podsłuchiwał rozmowy z żebrakiem, a, jako przebiegły bardzo postrzegacz, uderzony został tém, że ów Ciesielski, obcy człowiek, który tu nigdy nie bywał, tak w miasteczku i okolicy chodził, nikogo nie pytając, jakby z miejscowością był doskonale obeznany.

Na ostatek, obdarzony pamięcią wielką, Suraż począł w fizyognomii i ruchach tego przybysza wynajdować podobieństwo, ale nadzwyczajne,

uderzające do ojca Karola i do niego samego... Wiek zgadzał się doskonale z latami nieboszczyka.

O podejrzeniu, które powziął Suraż, nikomu nie powiedział ani słowa, ale postanowił bacznie śledzić dalej co pocnie ów Ciesielski.

Gdy drugim razem Jakób w postaci żebraka zjawił się pod katedrą, Suraż, który widział go rozmawiającym z owym przybyszem, napadł na starego żądając legitymacyi.

Jakób dobył w płachtę owinięte świadectwo ze dworu, a Suraż się dowiedział z niego, że to był stary sługa domu pana Karola. Nie dał poznać po sobie, jak go to uradowało; dumny był przenikliwością swoją, chociaż jeszcze nie śmiał przypuszczać ażeby istotnie, miany za umarłego, Karol ukrywał się pod przybraném imieniem.

Ale... a nuż?? a nuż by tak było!

Naówczas, rozumował sobie, jedno z dwojga, albo go wydać, albo go obedrzeć. Jedno z dwojga, korzystniejsze wybierać było potrzeba, lecz na-przód dowodnie się przekonać, iż tak jest a nie inaczej.

Suraż cały się oddał temu zadaniu do tego stopnia, że odbierał bury i szturchańce za zaniebdywanie innych obowiązków i poleceń.

Wzięcie dzierżawy, z pomocą Petrowicza

w Olsz..., gdzie było kilka małych cząstek i mnóstwo pretekstów zaglądania do nich — na rękę było Surazowi.

Prawie nie wyjeżdżał z karczmy w Olsz.... Przybycie w czasie choroby Bolka i starania jakimi otoczył obcego tu Ciesielskiego, pod pozorem jakiegoś pokrewieństwa, nie złudziły Suraza, który doskonale wiedział jaka przyjaźń, stosunki i jedność losów łączyły Karola i jego.

Potwierdzał się jego domysł. Stary opój był prawie pewien, że ogromny połów w garści trzyma.

Sumienie jego nie czyniło mu najmniejszej trudności z tém, że miał uczynić kogoś nieszcześliwym, a nawet bodaj nie jednego — choćby wielu. Szło tylko o to, co było korzystniejszym, czy wprost zagrozić Bolesławowi i kazać sobie dać okup ogromny, czy wydać to czego się domyślał i czekać urzędowej nagrody.

Suraz nie był nowicyuszem, miał własne i cudze doświadczenie, które uczyło go, że zwykle wyżsi urzędnicy biorą nagrody, a podrzędne narzędzia ich zbywają się lada czém.

Wszystko więc przemawiało za tém, aby rozmówić się albo z samym Ciesielskim, w którym się domyślał Karola, lub z przyjacielem Bolkiem, dającym mu schronienie.

Wahał się stary nicpoń jeszcze co pocznie, gdy nadeszła wiosna i przesiedlenie się dzierżawcy z Olsz... do Pustelni.

Obawiał się, aby gratka mu się nie wysliznęła; lecz z drugiej strony potrzeba było działać nadzwyczaj ostrożnie i być swego pewnym...

Suraż prawdopodobieństwa miał przekonanie, ale niedowierzał sobie. Nuż by się omylił? Nuż by Ciesielski... opatrzony w świadectwa, był prawdziwym Ciesielskim?

Tymczasem pił namyślając się zdrajca, pił, jeździł, podglądał, podsłuchiwał, zasiadał się w zaroślach pod Pustelnią i jednego wieczoru na własne uszy posłyszał, jak chodząc po ogródku Bolek, nazwał towarzysza po imieniu—Karolem!

Więcej już Surażowi nie było potrzeba, miał pewność, iż się nie mylił. Poszedł pić do karczmy, i tu obrachował, że najkorzystniej będzie naprzód obedrzeć Bolka i Karola—a potem obu ich wydać.

Przygotowując się do stanowczego kroku, Suraż powrócił do miasteczka i tu, tłumacząc swoje wycieczki tajemnicze przed swym zwierzchnikiem, otwarcie już oświadczył mu, że musi śledzić tego przybysza co się nazywa Ciesielskim, bo ma wielkie podejrzenie, że to jest bardzo niebezpieczny człowiek i że nazwisko nosi przybrane.

Odkrycie to uczyniło nadzwyczajne wrażenie; przynaglano Suraża aby wszystko odkrył co wiedział, lecz stary tyle tylko dał z siebie dobyć, iż ma poszlaki i musi je zaraz sprawdzić.

Dano mu odprawę, chciano nawet dodać kogoś w pomoc, lecz oparł się, wziął na siebie wszystko i téjże nocy z miasteczka wyjechał.

Wprost puścił się wiadomemi sobie drogami do wsi najbliższej przy Pustelni, do której przybył nad ranem, i w karczmie się rozgościł. Bił jeszcze w palce do kogo naprzód się uda, czy do Bolka, czy do Karola. Wypadło w końcu iż bezpiecniej było poczynać od Pustelni.

Pokrzepiwszy się paru kieliszkami wódki, pieczo, powoli, rozglądając się dokoła, Suraż mierzył do dworku. Ranek był piękny, a Karol stał właśnie w progu. Zbliżenie się nieznajomego, niepozornie wyglądającego na włóczęgę człeka, nie spłoszyło go. Suraż otworzył sobie wrota, zdjął czapkę, skłonił się, obejrzał i przystąpił bliżej.

Nikogo nie było.

Karol przypatrywał się przychodzącemu ciekawie, wcale sobie nie mogąc go przypomnieć.

— A czego to acan żądasz?—zapytał.

Z nowym ukłonem i uśmiechem stary wyga przystąpił bliżej i szepnął:

— Jaśnie pan nie poznaje mnie?

— Ja! ale ja wcale acana nie znam!

— Ale! rozśmiał się Suraż, oglądając dokoła.

W téj chwili dopiero Karolowi przyszło na pamięć mgliste wspomnienie, gdzieś, niegdyś widzianej postaci podobnej, i strach go ogarnął.

Przybyły pilno się wpatrywał w niego i uśmiechał.

— Ja, jaśnie pana jeszcze w mieście poznałem zaraz—rzekł cicho. Stary sługa ojca jego...

Uderzyła Karolowi krew do głowy.

— Nie rozumiem!—zawołał.—Za kogóż mnie bierzesz? co to jest?

Suraż w piersi się uderzył.

— Co wiem to wiem. Mnie się jaśnie pan obawiać nie potrzebuje.

— Ja się nie obawiam nikogo! — wybuchnął Karol. Szalony jesteś, czy co?

Widząc, że sprawa idzie ciężko, Suraż podumał chwilę i rzekł zimno:

— Jaśnie pan pozwoli na chwilkę do izby, to byśmy się rozmówili.

— Ale ja z wami nie mam o czém mówić —

trochę porywczo odparł Karol, zdradzając się niepokojem.

Gdy się to działo niepostrzeżony Jakób, uchylwszy drzwi od czeladnej izby, przyglądał się Surazowi i poznał w nim tego, który go o pasport pod kościołem zagadnął.

Jakóbowi krew się w żyłach zagotowała, domyślił się już, albo raczej przeczuł, co się święciło.

Tymczasem napastliwy Suraz za uchodzącym do izby Karolem się wcisnął.

Niecierpliwiło go to, że nic od razu nie wskórał; zmienił ton wszedłszy na próg i widząc się sam na sam ze swą ofiarą.

— Co tu długo bałakać—rzekł zuchwale—ja pana poznałem. Mógłbym zaraz donieść kto pan jesteś. Jestem biednym człowiekiem, nie wydam was, stracę chleba kawałek, bo kto inny doniesie. Niech pan z panem Bolesławem pomówi: abyście mi czém gębę zatknęli — to będę milczał i precz ztąd pójdę. A nie — to co mam robić!!

Karol stał osłupiały.

Przyznać się i okupić temu człowiekowi nie chciał zanic w świecie; burzyło się w nim wszyst-

ko, zbladł, zarumienił się, usta ściął i nierychło zawołał:

— Precz-że mi ztąd! waryacie jakiś! Nie rozumiem co pleciesz... precz!!

Suraż stał nieporuszony.

— Niech się pan lepiej rozmyśli...

— Ale precz, bo zawołam ludzi... Co to jest za napaść...

Karol z gniewem urzędowym językiem łajac począł, Suraż stał i słuchał cierpliwie.

— Widzi pan, jak ja pójde tak ztąd z próżnemi rękami, kłopotu panom narobię. Ja nie chcę gubić nikogo, ale człek o swój skórze téż myśleć musi.

Karol pochwycił za kij stojący w kącie.

— Precz mi!

Na widok kija stary chwycił za klamkę, odwrócił się raz jeszcze i zawołał:

— Bieda będzie!! jak Boga kocham...

Na to nie odpowiedział nawet zmarszczony groźnie gospodarz, Suraż powoli ociągając się wysunął na próg, do ganku. Nałożył czapkę na uszy, obejrzał dokoła i począł iść ku wrotom.

Pozostawało mu jedno jeszcze, rozmówić się z panem Bolesławem.

Karol, gdy się drzwi za odchodzącym zam-

knęły, długo przyjść do siebie nie mógł. Wiły mu się w głowie myśli czarne, straszne, z których najgroźniejszą była ta, że Bolesława mógł narażić. Sam postanowił uchodzić natychmiast.

Począł wołać Jakóba, ale nie było go nigdzie. Gospodyni z przeciwka zamruczała tylko zapytana, że stary z kołka zdjawszy strzelbę, nabił ją i poszedł na polowanie.

Na polowanie? bez oznajmienia o tém Karolowi, a oprócz tego Jakób, choć myśliwy, zdawna już wyrzekł się téj namiętności; pora roku zresztą i dnia nie nadawała się do myśliwstwa.

Tknęło to Karola.

Jakóba wołano i szukano dokoła napróżno, nigdzie go nie było.

Schwyciwszy kij i czapkę, Karol nie tracąc chwili, na wprost przez lasy puścił się do Bolesława, aby go uprzedzić i naradzić się z nim. Dobry kawał drogi zrobić należało pieszo, ale konia szukać na wsi nie było czasu, a w Pustelni siedzieć nie znajdował bezpiecznóm.

Nie bardzo pewien czy Bolka w domu zastanie, nie rad że się tam w biały dzień pokazać musi, Karol nie miał nic do wyboru — musiał uchodzić, skryć się, a przyjaciela ostrzedz.

Rozpacz go ogarniała, nie o siebie lecz o tego,

który tyle dla niego uczynił. I znowu groziło wygnanie, ucieczka, pogoń—oddalenie z tych miejsc w których mu lżej było cierpieć.

W tych myślach biedny zbieg nie dziw że w lesie zabłąkał się, stracił drożynę znaną i w końcu wysilony padł bez tchu prawie pod drzewem.

W téjże chwili nadjeżdżający leśniczy, który znał z widzenia gościa swego pana, zbliżył się do osłabłego i po wymianie słów kilku ofiarował się go do dworu przeprowadzić. Dźwignął się natchmian Karol, choć chwiał na nogach. Leśniczy widząc go znużonym, zsiadł z konia, zapraszając aby jechał i trochę spoczął na siodle.

— Do dworu niedaleko—rzekł—będzie parę wiorst tylko.

Ofiarę jego przyjąwszy zaledwie konia dosiadł Karol, gdy w głębi lasu głucho strzał się rozległ.

Leśniczy drgnął zdumiony.

— Niech pan jedzie wprost tą drożyną, koń sam pana zaprowadzi—zawołał—ja muszę w las. Któż tu mógł strzelić! To kłusownik chyba!

I dając mu znak ręką, zniknął. Koń leśnika wistocie spełnił co po nim sobie pan obiecywał, rwał się do domu. Wkrótce przerzedziły się zarosła i dwór ze wsią ukazał w dolinie. Karol nie bardzo chciał być widzianym; myślał jak Bolesła-

wa wywoła na rozmowę, gdy spostrzegł go konno jadącego przez pole, które właśnie zasiewano.

Dał mu znak zdaleka. Nie poznając go Bolesław podjechał żywo i zadziwił się mocno widząc bladego jak trup, drżącego jeszcze ze wzruszenia przyjaciela.

Zsiedli z koni, Bolkowi łatwo się było domyśleć, że nadzwyczajnego coś sprowadziło Karola; strwożył się nieco. W kilku słowach opowiedział przybywający co się stało.

— Muszę uchodzić—dodał w końcu Karol—ale ty, ale z tobą co będzie? co poczniesz?

— Ja? bądź spokojny, dam sobie radę—rzekł Bolesław. Tymczasowo ukryję cię gdzieś bezpiecznie, a sam natychmiast jadę do miasta, uprzedzić zdradę i zapobiedz jej. Nie wątpię, że mi się to uda.

Nie trzeba nigdy tracić krwi zimnej. Są środki... Wypadek niebezprzykładny.

Najpilniejsza rzecz, żebyś cię przechował nim się to wszystko załatwi. Potarł ręką po czole.

— Na wszystko damy rady.

Teraz dopiero Bolek poznał konia swojego leśnika i zapytał przyjaciela jak go dostał. Rozmawiali jeszcze stojąc w polu i energiczny gospo-

darz już ważył a obmyślał, gdzie ma najbezpieczniej umieścić zbiega swego, gdy z lasu wybiegający pokazał się leśniczy, właściciel konia.

Karol go wskazał.

— Czekajmy—rzekł—niech swoją szkapę odbierze, potem rób ze mną co chcesz, ale w żadnym razie u ciebie nie zostanę, bo tu mnie najprędzej szukać będą.

Obaj zdala spoglądali na śpieszącego ku nim leśnika i pierwszy Bolesław poznał z jego biegu i twarzy, że chyba niósł z sobą coś—jakąś wiadomość, bo pośpieszał zdyszany i rękami mimowolnie dawał znaki.

Przypadł do pana, zdejmując czapkę i począł szybko:

— Strzał posłyszałem w lesie — proszę jaśnie pana... Myślałem że kto nam zwierzynę bije, a tu dopiero zwierzyna!... kłopot będzie i bieda, toż to trup jeszcze ciepły leży w lesie... A tak go ktoś dobrze na cel wziął, że mucały nabój w pierśsi wpakował.

— Trup! jaki! co?—krzyknął Bolek.

— Kto go wie—począł leśniczy—niemłody człowiek, włóczęga, czy ja wiem, budnik może... Ale co on tu robił w lesie?

Karol i Bolesław spojrzeli po sobie.

— Daleko ztąd?—zapytał Karol.

— Nie tak to... ot tam w gąszczy, na drożynie co z drugiejsi wsi prowadzi wprost do dworu.

— Jedźmy — odezwał się Karol, siadając na konia leśniczego—prowadź nas.

W milczeniu, słuchając opowiadania przerażonego tym wypadkiem człowieka, przebyli kawał drogi.

— Ot tu — pod sosną! — krzyknął prowadzący.

Bolek, który się pierwszy przybliżył, nie poznał trupa; Karol ze zdumieniem tylko co widzianego Suraza w nim zobaczywszy, krzyknął z podziwienia.

Po francuzku powiedział towarzyszowi kto był zabity. Dla Karola nie ulegało wątpliwości kto był tym mścicielem. Niedarmo Jakób porwał strzelbę swoją z kołka.

Stali milczący, leśniczy łamał ręce lamentując.

— Śledztwo będzie... trzeba zaraz dawać znać do powiatu. Za pamięci ludzkiej u nas nic się podobnego nie trafiło, krom téj baby żebraczki, co ją znaleźli na gościńcu zastygłą.

Bolesław podumał chwilę.

— Postaw mi tu kogo na warcie — rzekł do leśniczego—ja sam pojedę dać znać.

Razem z Karolem usunęli się na stronę.

— Słuchaj—odezwał się energicznie Bolek— w takich wypadkach zuchwalstwem trzeba nadrabiać. Okazać obawę i niepewność siebie prowadzi do najgorszych następstw. Zaufaj mi, wracaj do Pustelni, siedź w niej spokojnie — ja natychmiast ruszam, śledztwo sprowadzę i gdyby nawet było już jakie doniesienie, musimy bez trwogi się bronić—i obronimy.

Gdybyś uszedł lub skrył się, podał byś siebie i mnie w podejrzenie.

Karol nie namyślał się długo—ścisnęli się za ręce.

— Weź konia leśniczego i jedź do domu — dodał Bolek. Bądź spokojny.

W pół godziny potem Karol przybył do swego domku, który opuścił niedawno, nie spodziewając się tu już może powrócić. Pierwszym którego ujrzał w ganku, był stary Jakób, siedzący z głową w dłonie zanurzoną. Połysawszy tętent konia podniósł ją i wstał, starając się przybrać postawę spokojną i wyraz twarzy powszedni, ale wszystkie mięśnie jęj drgały mimowolnie i ręce mu dygotały.

Zobaczywszy przybywającego pana na cudzym

koniui, pośpieszył go odebrać, i zbladłe, obłąkane oczy wlepił w niego, nie mówiąc słowa.

Karol nie śmiał go pytać. Po chwili Jakób mruczeć zaczął coś i tłumaczyć, że tylko kilkadziesiąt kroków odszedł był od domu, aby strzelić do jastrzębia, który kurczęta napastował.

— Tego starego łotra, co tu dziś był rano— odezwał się Karol — ktoś w lesie zastrzelił.

Jakób ruszył ramionami nic nie odpowiadając i z koniem poszedł do stajni. Karol zamknął się w izdebce. W jakim stanie ducha spędził ten dzień cały — łatwo wyobrazić sobie. Przejrzał papiery, wyszedł do lasu, aby dziennik swój gdzieś ukryć bezpiecznie. Z Jakóbem nie mówili nic.

Późnym wieczorem Karol spytał go o strzelbę; nie odpowiadając na pytanie stary ręką zamachnął—i wskazał ku lasowi. Na kołku w izbie już jój nie było.

Cały dzień następny upłynął w oczekiwaniu śledztwa, ale do Pustelni nikt nie przybył. Dopiero trzeciego dnia Bolek nadjechał tu ze sprawnikiem, który był w najlepszej z gospodarzem komitywie.

Przybywających Karol przyjął w ganku, stając się okazać spokojnym.

Przybyły przywitał się z nim jak z dobrym dawnym znajomym.

— No — rzekł śmiejąc się — nie spodziewaliście się pewnie mieć mnie tu gościem... Słowo daję, bardzo miłą macie daczę! No, a wiecie co mnie tu sprowadziło? słyszeliście...

— Domyślam się, odparł Karol — że pewnie to zabójstwo, popełnione w lesie, pana majora tu sprowadza.

— A juściż! — zawołał — ale ani ja, ani podobno nikt w téj sprawie nie dojdzie kłębka. Ta bestya Suraz miał tylu nieprzyjaciół, że nie wiadomo kogo posądzać, bo wszyscy się go radzi byli pozbyć.

Wiecie co wam powiem, że nawet na was chciał rzucić jakieś podejrzenie i czepiał się już.

— Do mnie? — odparł szybko Karol — ale pan major znasz moje papiery i legitymacją? Patrzysz na mnie od czasu gdym tu przybył. Zachowuję się spokojnie. Cóż on na mnie mógł zmyśleć?

— Zachcieliście... — śmiejąc się, rzekł dobrodusznie — on próbował wszędzie nosa wścibić. No! i doigrał się naostatek.

Na prawdę — dodał — ja się domyślam kto mu sprawił to... Nieochybnie konnokrady, których

on właśnie śledził i miał połapać. To szajka takich zuchwałych ludzi, że im tu bliżej granicy nikt rady nie da.

Nie myślę też śledztwa rozmazywać i darmo ludzi ciągać.

— I ja tak sędzę — wtrącił Bolek — moi leśnicy strzegli dokoła bór i okolice... nigdzie śladu najmniejszego.

Sprawnik ręką zamachnął. Podano skromne śniadanie, którego części składowe znalazły się w bryczce gospodarza. Dzień był piękny bardzo, siedziano długo w ganku przy kieliszkach i cygarach, na rozmowie zajmującej, naostatek sprawnik pożegnał pana Karola i razem z przeprowadzającym go Bolkiem odjechał.

W czasie bytności urzędnika, stary Jakób z powagą i zimną krwią pełnił służbę, przysłuchiwał się rozmowom, nie okazał najmniejszego wzruszenia, był całkowicie panem siebie.

Karol tylko dostrzedz mógł w nim zmianę pewną, zadumę i jakiś niepokój chwilowo go ogarniający, tak że stawał nagle i zatopiony w myślach zdawał się zapominać gdzie był i co robił.

W ten sposób groźne bardzo zawikłanie — szczęśliwiej niż się spodziewać było można — zostało usunięte.

Karol jednak rozmyślał nad tém, czy mu tu nadal godziło się pozostać, narażając zawsze przyjaciela na podobne pierwszemu niebezpieczeństwo... Lecz okolica ta ciągnęła go i przykuwała do siebie, a Bolek, który umiał tak dobrze dać sobie radę z trupem Suraża, żaręczał przyjacielowi, iż obawiać się niema czego.

— Oddalenie się twoje teraz miałoby raczej znaczenie obawy — mówił mu — a nie przydałoby się zresztą na nic. Siedź spokojnie... im dłużej pozostaniesz, tem możesz być bezpieczniejszym.

Ze starym Jakóbem Karol unikał rozmowy o wypadku, nie dał mu poznać nawet iż wiedział jego tajemnicę, a sługa też nigdy nie wspominał o morderstwie i śledztwie.

W kilka tylko dni po odwiedzinach majora, nieśmiało raz przyszedł Jakób do pana i oświadczył mu, że radby był pojechać do kościoła i spowiedzi.

— Tak się jakoś zaciągnęło — rzekł — że ja blisko roku nie byłem u konfesyonału, proszę jaśnie pana. Człek stary, chciałbym sumienie oczyścić...

Karol naturalnie nic nie miał przeciwko temu. Usługi prawie nie potrzebował, bo nawykł był sam służyć sobie.

— Idź, idź—odpowiedział wzruszony—a pomódl się tam i za mnie.

I uściskał go milcząco...

Przez dni dziesięć potem starego Jakóba nie było, Karol o niego niespokojnym już być zaczął, gdy dnia jednego zjawił się rano, i rozpoczął milczący dawną służbę. Smutny był, ale spokojny. O spowiedzi swój i nabożeństwie nie rozповідаł wcale, raz tylko nawiasowo wspomniał, że wprędce znowu do kościoła pójść będzie musiał.

Trzy dni w tygodniu suszył teraz, nic prawie nie jedząc, i wieczorami długo klęczał na modlitwie.

Rok właśnie upływał od pamiętnej majowej nocy... Wspomnienie jój odżywił czas i Karol dręczył się potajemnie myślą, pokusą niewysłowioną, owładającą nim coraz silniej, zobaczenia znowu tych miejsc, w których najdroższe mu istoty przebywały.

Nie zwierzył się z tém Bolkowi, który by był nieochybnie odwiódł go od tego kroku, mogącego rozdrażnić i boleść ukołysaną obudzić. Sam w sobie nie znalazł ani dość siły aby się ważyć na ten krok, ani by się go wyrzec; w téj walce z pragnieniem coraz gorętszém, wieczorem raz

gdy sam na sam byli z Jakóbem, Karol odezwał się nagle zwracając do niego:

— Jakóbie, nie wytrwam!! Pójdę tam—wiesz... Pójdę tylko na chwilę, aby choć przez okno zobaczyć ją... Muszę, ciągnie mnie tam siła taka, że się jęj nie oprę. Pójdę.

Jakób słuchając złożył ręce.

— Na Rany Pańskie—zawołał—nie czyńcie tego!

Karol się oburzył.

— Dlaczego! — krzyknął niecierpliwie. — Znam przecie doskonale miejscowość. Cóż mi tam może grozić... Pójdę, niech się dzieje co chce...

— To i ja z wami, lub za wami — zamruczał Jakób.—Samego nie puszczę... Dziej się wola Boża. Ale co to pomoże? Spokojniejszy pan będziesz potem? nieprawda...

Rzucał się stary z nogi na nogę.

— Biedy i tak dosyć — szukać jęj nie potrzeba.

Karol nie odpowiedział, wszedł do sypialnego pokoju i rzucił się na łóżko... Nazajutrz Jakób krokiem go nie odstępował. Nie mówili już z sobą. Łatwo się z nachmurzonej twarzy biednego

wygnańca domysleć było, że nie wyrzekł się wcale raz powziętego zamiaru.

Do wsi i dawnego Karola dworu można było dojść prawie niedostrzeżonym, lasami, które się łączyły z sobą. Karol pieszo przebywszy ogromne przestrzenie, nawykły do chodzenia, wytrzymały, mógł małą tę dwumilową przechadzkę odbyć bez wielkiego wysiłku. Obrachowawszy ile ona czasu zabrać może, z południa dnia jednego w maju wyszedł nic nie mówiąc Jakóbowi, jak gdyby wieczorem miał powrócić. Stary jednak domyślił się, wyczytał mu z twarzy postanowienie—i powlókł się w ślad za nim.

Obejrzawszy się za siebie o dobre pół mili od Pustelni, Karol postrzegł starego sługę, który w pewnej odległości za nim podążał. Odprawić go nie było sposobu. Zwolnił kroku. Szli dalej razem: przodem Karol, Jakób o kilka kroków.

Nie spoczywając ani na chwilę, nieświadomie i mimowoli spiesząc coraz prędzej, nad wieczór znalazł się pan i sługa na znajomych polach, niedaleko od dworu.

Rok temu noc majowa była cicha i dżdżysta, teraz, po przedwczesnych skwarach zbierała się na zachodzie jedna z tych burz wiosennych, pierwszych zwiastunów nowój roku pory, które w na-

szym klimacie nadzwyczaj gwałtowne bywają i zwykle poprzedzają nowe chłody.

W czarnej ścianie posuwającej się zwolna szerokim pasem na niebie jasnym, błyskało już i grzmot rozlegał się głucho zrazu, coraz głośniej i gwałtowniej... Drzewa poruszały się chwilami, jakby trwogą miotane i stały potem milczące... Błyskawice oślepiały i mrok coraz większy czyliły czarniejszym jeszcze.

Nadejście burzy dla podkradających się właśnie pod ogród, którym dwór był otoczony, było prawie pomyślnem. Nie było nigdzie ludzi, co żyło chroniło się pod dachy. W ciemności nic dojrzeć nie było można, a zrywający się wichry nic posłyszeć nie dopuszczały.

Lękając się aby Karol w niecierpliwości i pośpiechu nie popełnił jakiej omyłki, nie zbił się z drogi, Jakób go wyprzedził i dał mu znak ręką, żeby szedł za nim. Otworzył znajomą furtkę, obejrzawszy się wkoło i oba weszli do ogrodu.

Karol musiał się zeprzeć u pierwszego drzewa, siły go opuszczały. Przytomniejszy Jakób, oglądając się niespokojnie, przekonał się z największym przerażeniem, że coraz jaskrawszy blask błyskawic mógł ich zdradzić. Następowały one

po sobie z szybkością wielką, a przy nich widno było jak we dnie.

Karol zdawał się nie zważać na to i postawszy krótko, wyprzedzając Jakóba posunął się ku dworowi, którego oświetlone okna przez drzew gałęzie widać już było.

Jakób strwożony, nie próbując go zatrzymać nadaremnie, podążył za nim.

W sypialni pani świeciło jak przed rokiem, ale dla burzy nadchodzącej, która już w ogrodzie staremi drzewami miotła, okna były pozamykane. Oprócz głosu wichru—cisza dokoła, pustka... nikogo w ogrodzie i przy domu. Nim Jakób się opatrzył, Karol już stał, przedarłszy się przez zarosła, niemal pod samymi oknami. W jedném z nich widać było białą, powoli się przesuającą postać kobiety. Zwrócona była właśnie ku ogrodowi i zdawała się wypatrywać zbliżania burzy.

Trochę głębiej można było dostrzedz klęczącą dziewczeczkę, z rękami złożonemi do modlitwy, z włosami rozpuszczonemi na ramionach, odmawiającą zapewne modlitwę przed burzą.

W sypialni nic się nie zmieniło, tylko dwa łóżka matki i córki stały teraz obok siebie. Na ścianie portret, dawniej krepą czarną przysłonię-

ty, odkryty był a zasłona ramy tylko jego obejmowała.

Zwróconą ku sobie twarzą — kobietę Karol mógł widzieć przez szyby czyste, z jój smutnym ale spokojnym wyrazem, półcieniem oblaną, bladą i piękną, boleścią zwyciężoną, rezygnacją męczeńską.

Oblicze to ciągnęło go ku sobie tak, że wszelką pamięć i władzę nad sobą utracił. Jakób przeleżkły ujrzał jak podbiegł pod samą ścianę domu, pod okno prawie, tak że czołem niemal mógł go dotknąć.

Błyskawica piorunu, który w téj chwili w jedno ze starych drzew ogrodu uderzył, zdradziła Karola. Kobieta, która w jój blasku ujrzała to widmo,—krzyknęła wielkim głosem, wyciągnęła ręce ku niemu, zachwiała się i padła...

Widać było nadbiegające na ratunek dziecię i kobiety służebne, gdy Jakób siłą i przemocą chwyciwszy pana, gwałtem go unosząc prawie, rzucił się z nim w gąszcze ogrodu.

Potrzeba była wistocie takiej mocy, jaką miłość dać może tylko, aby oszalałego Karola zmusić do ustąpienia. Jakób gniewał się i rozkazywał.

— Chcesz pan chyba zabić tę kobietę... Nuż ona postrzegła... Boże jedyny!

Z wielką trudnością nieszczęśliwy człowiek, zbolały, oszalały, dał się wyciągnąć z ogrodu. Deszcz gwałtowny lał jak z cebra, pioruny biły w stare topole i stawisko, burza szalała. Trzeba się było schronić gdziekolwiekbądź i Jakób, znając tu wszystkie kąty, znalazł szałas pastuszy stary, do którego zaciągnął pana.

Karol, płacząc, padł na ziemię.

Kilka razy potem zrywał się powracać pod dwór znowu, ale sługa stanął zuchwale z rozstawionymi rękami na drodze i przysięgł, że go nie puści...

Dotrwali tak w budzie, zmokli oba, aż do dnia brzasku. Jakób, który siedział na straży, dał znak powrotu. Jak wprzód wstrzymywał, tak teraz zmusił wstać i iść nazad do domu. Nie opierał się już Karol. Jedna chwila przeżyta złamała go zupełnie i uczyniła bezsilnym, bezprzytomnym. Jakób prowadzić go i podtrzymywać musiał.

Przed brzaskiem jeszcze szczęściem weszli do lasu, a że niebo się rozjaśniło i deszcz ustał, wlokąc się powoli, ku południowi naręszcie przyszli napowrót do Pustelni.

Karol dał się rozebrać z przemokłej odzieży i położyć do łóżka. Miał dreszcze silne, a wewnątrz go paliło. Chwytał się za głowę i jęczał.

Choroba z temi samemi symptomatami, które jój w Olsz... towarzyszyły, objawiła się tak dobitnie, że Jakób natychmiast wyprawił dać o tém znać Bolkowi.

Karol leżał w gorączce, gdy konno nadbiegł powołany przyjaciel. Jakób na niego czekał już w ganku.

Nie było dla niego tajemnic, stary sługa w kilku słowach opowiedział mu wszystko, uniewinniając siebie, iż oprzeć się nie mógł despotycznój woli nieszczęśliwego pana.

Trzeba było natychmiast wysłać po starego Braunowskiego.

Wejrzenie na chorego, który nie poznawał już otaczających go i dziwnie wykrzykiwał, a zrywał się chcąc biedz do żony, stąrczyło aby przekonać o niebezpieczeństwie. Szczęściem Jakób pamiętał, co w pierwszych chwilach zarządzono czynić z chorym w Olsz... i temiż samemi środkami go ratował.

Bolek nie odstępował od łóżka chorego...

Lekarz końmi rozstawionemi nie mógł przybyć przed wieczorem.

Choroba na długo zatrzymała Karola przykutym do łoża. Wątpiono nawet o życiu, ale długimi cierpieniami do walki nawykły organizm raz jeszcze niebezpieczeństwo zwyciężył.

Zwolna ku jesieni już Karol począł się podnosić, przechadzać i sił nabierać potroszę... Otoczony najtroskliwszą opieką, odżył raz jeszcze. Czekały go nowe próby i cierpienia.

W czasie słabości zapytywał Bolka niespokojnie o żonę i Bogusława. Odpowiadano mu, iż żadna zmiana w stosunkach ich nie zaszła. Prawdy wyznać przed nim ani było można, ani się ważyło—dobiła by go przedwcześnie.

Po widzeniu dziwném, cudowném, w burzliwej nocy majowej, pani Józefa, która utrzymywała, że w oknie ukazało się jój widmo nieboszczyka, przebyła też chorobę i tylko widok dziecięcia, miłość dla niego, utrzymały ją przy życiu.

Stała się nadzwyczaj pobożną i za duszę zmarłego nieustannie odprawiać kazała nabożeństwa, a sama z córką modliła się po dniach całych.

Napróżno starano się jój tłumaczyć, że widzenie było mrzonką wyobraźni, potrząsała głową i powtarzała:

— Widziałam go! widziałam. Wyciągał ręce ku mnie! Wzywa mnie do siebie...

I namiętnie przyciskała dziecię do piersi, łkając.

— A komu ja ciebie polecę, gdy odejść będę musiała do niego.

Czas, który wszystko łagodzi, zwolna zatarł nieco żywe wrażenie wypadku, ale pamięć jego pozostała.

Zdrowie biednej kobiety ucierpiało wiele, sił do życia brakło. Dziecię pozostać miało sierotą. Czuła to sama, bo się nie łudziła, i niepokój o los córki chorobę zwiększał.

Gdy się to działo, pan Bogusław prowadził życie kawalerskie, lecz w sercu obudziła się i litość dla kobiety, której los miał na sumieniu, i dawna ku niej miłość.

Znudzony, zmęczony, trapiiony zgryzotami, jednego dnia przyjechał do Bolka, żądając od niego, aby do zgody między nim a żoną pośredniczył. Było to zadaniem, którego ani odepchnąć umiał, ani rozwiązać się spodziewał Bolesław.

Począł od słów prawdy. Bogusław przyznawał się do winy, był skruszony, żądał litości, obiecywał poprawę.

Z trudnym poselstwem pojechał do chorągwej przyjacieli i z niezmiernymi ostrożnościami, oszczę-

dzając biedną, przyznał się z czém go tu wyprawiono.

Pani Józefa nie odpowiedziała nic. Siedziała milcząca i kilka łez spadło ze zmęczonych jej powiek.

— Zapóźno—westchnęła wreszcie—ja się żyć nie spodziewam, a dziecka mu powierzyć nie mogę. Was i żonę waszą uczyniłam opiekunami. Przebaczę mu, bo i ja potrzebuję przebaczenia. Niech przyjedzie, podam mu dłoń, ale niech nie wymaga więcej... Żyć już z sobą nie możemy... Ja idę tam, gdzie on na mnie czeka.

W kilka dni potem, w towarzystwie pośrednika, Bogusław pojechał do żony, przybył tu jak gość, jak obcy, a widok chorój tak go skruszył i zmiękczył, że i on sam litość mógł obudzić. Nie upominał się o nic, nie żądał nic nad przebaczenie... Chciał służyć tylko.

Jesień się zbliżała. Karol przechadzał się powoli i czuł silniejszym... Lekarz przestał już bывать w Pustelni, Jakób i Bolek czuwali nad nim.

Stary sługa miał wiadomości o swój pani, i znajdował środki dobadywania się o stanie jej zdrowia, o wszystkiém co się tam działo. Przed

Karolem zachowywano tajemnicę i strzeżono, aby się o chorobie coraz groźniejszej nie mógł dowiedzieć.

Baurowski, który tam jeździł, nie zwykł był mówić wiele, a gdy przybywał zawsze się ktoś znajdował na straży, aby z czém niepotrzebném się nie wygadał.

Przestrzedz zaś doktora nie było można, aby stosunku jaki łączył Karola z panią Bogusławową nie zdradzić. Nie obawiano się go, gdyż wcale wielomównym nie był, lecz nigdy wszystkiego przewidzieć niepodobna.

Wcale niespodzianie, gdy nikogo w Pustelni nie było, oprócz Karola, bo Jakób na wieś poszedł po jakieś zapasy spiżarniane, doktor Baurowski zajechał przed dworek. Od dawna go tu już nie było.

Karol wyszedł na spotkanie ze smutnym uśmiechem na ustach.

— Jakżeś ty dobry, że mnie odwiedzasz— zawołał rękę wyciągając ku niemu. Widzisz, żyję z twojej łaski...

— I przybyłem się właśnie tém pocieszyć— odparł doktor—bom jak noc smutny i znękany...

Małomówny zwykle Baurowski usiadł w gan-ku, podparł się na rękę i zadumał.

— Człowiekowi zdaje się—rzekł po chwili— iż częstym widokiem śmierci i chorób jest zahartowany, tymczasem są widoki, które poruszają do głębi. Chciałoby się mieć siłę, ratować—a nauka i starania wszelkie rozbijają się o jakąś fatalność.

Karol słuchał go ze współczuciem.

— Zkądże wracacie tak smutnie usposobionym?—zapytał.

Doktor, pomilczawszy trochę, wyjąknął niewyraźnie nazwanie wioski, w której mieszkała żona Karola. Usłyszawszy je biedny człek, musiał się oprzeć na stole, pobladł, usta mu się zatrzęsły, nie śmiał pytać.

Baurowski mówił dalej, powoli, jakby sam do siebie:

— Dawno ten smutny koniec przewidywałem. Strapienie, żal jakiś, pożerały powoli tę nieszczęśliwą kobietę, trzymało ją tylko na ziemi przywiązanie do dziecka. Dusza była w niej mężka, silna—ciało nie wytrzymało...

Nie było ratunku!

Doktor nie powiedział do kogo się to odnosiło, ale bijące serce Karola oznajmiło mu, że mówił o nieszczęśliwej żonie jego. Stał wryty, ska-

mieniały, a przed oczyma jego biegały światła i ciemności.

Baurowski spojrzał na niego...

— Co to? słabo panu?—zapytał.

Karol dał potakujący znak głową.

— Chodźmy do pokoju — rzekł doktor — połóż się...

Wielka boleść wlała chwilową energię w chorego.

— Pani Bogusławowa... jest źle, czy umarła? przebąknął jakby mimowoli.

Lekarz, ręką tylko w powietrzu zamachnąwszy, dodał smutnie:

— Umarła...

Weszli z Karolem do środka i Baurowski postrzegł wprowadziwszy go, że miał do czynienia z człowiekiem z bólu bezprzytomnym, a siłącym się aby nie okazać cierpienia. Nie przypisywał tego jednak wcale rozmowie, ale następstwom przebytéj choroby. Kazał natychmiast położyć się Karolowi, zawołał Jakóba, dał mu stosowne rozkazy co miał czynić, zalecając spokój — odjechał.

Zaledwie bryczka, która go wiozła, potoczyła się ku wiosce, gdy leżący dotąd nieruchomie Karol zerwał się nagle. Drżał cały... Począł szukać

ubrania, nie mogąc go znaleźć zawołał Jakóba z gniewem.

Sługa wbiegł przestraszony.

— Co pan robi! — krzyknął — doktor kazał w łóżku leżeć...

Z twarzą zmienioną tak, że Jakób cofnął się przerażony, Karol się obrócił ku niemu...

— Ona umarła!! — zawołał głosem bolesnym — ona umarła! Ja ją raz jeszcze widzieć muszę — ja...

I chwycił odzież gorączkowo, a co wziął z rąk mu wypadało.

Jakób z twarzą zakrytą rękami płakał. Zatętniało w ganku. Do dworku wbiegł Bolek. Przewidywał on coś, czy chciał zapobiedz, aby wiadomość nie doszła do Karola — odgadnąć było trudno. Wszedł z twarzą posępną.

— Co się tu dzieje? gdzie Karol? — zapytał.

Jakób ręką wskazał na łóżko, przy którym stał Karol. Na widok przyjaciela rzucił się płacząc ku niemu...

— Wiem o wszystkiém — wyjąknął. — Bóg sam chciał abym w porę się dowiedział, iż ją straciłem. Żadna ludzka siła mnie nie wstrzyma... muszę ją widzieć — niech mnie poznają, wezmą,

niech się dzieje co chce... ja muszę uklęknąć przy jej trumnie...

Bolek z początku nie mówił nic, rozumować z taką boleścią, chcieć odradzać — nie było sposobu... Myślał może raczej jak zapobiedz temu, aby biedny człowiek nie został tam poznanym.

— Jadę z tobą razem — rzekł — nie będę cię odwoził od tego co chcesz uczynić... nadto zajmuję i boleść i uczucia twoje. Pozwól mi tylko uczynić sobie jedną uwagę. Nieboszcza mnie i żonę moję uczyniła opiekunami dziecka twojego. Jeżeli się zdradzisz dobrowolnie — dogodzisz sercu ale wyrzeczysz się razem tego, co ci obowiązek nakazuje: czuwania nad dzieckiem... Pamiętaj o tém.

Karol opuścił ręce...

— Zastanów się — mówił Bolek dalej — po mężku staraj się zwyciężyć cierpienie i zapanować nad sobą. Pogrzeb odbędzie się jutro wieczorem w N... Zawiozę cię tam... Nie sądzę, aby cię kto mógł poznać, jeżeli się sam nie wydasz zbyt jawną boleścią.

Uśłuchaj mnie...

Karol padł na łóżko, przy którym stał.

— Dziecko nasze — wyjąknął — dziecko! Czyń ze mną co chcesz!! Tak, mam dla niego obowią-

ki. Będę posłusznym, ale zaklinam cię, błagam, proszę—pozwól mi widzieć ją, pożegnać... rzucić garść ziemi na jej mogiłę... Bolku miéj litość.

— Pojedziemy jutro wieczorem—odparł po namyśle Bolek. Okryjesz się o ile możności tak, aby twarzy twojej nie widziano. Będziesz iść przy mnie. Wmieszamy się w tłum... Spodziewam się, że dla dziecka potrafisz się poskromić...

Karol nie mówił nic.

— Czekaj na mnie—dodał Bolek—przyjadę po ciebie... uczynię co można będzie, abyś spełnił smutny obowiązek nie narażając się.

Łagodził o ile mógł rozpacz Karola, który jęczał, ręce łamał i zapominając co przyrzekł, zrywał się jakby chciał lecieć do téj trumny, w którą ją widział zapłakanemi oczyma.

Bolek pozostał dość długo w pustelni, zmusił Karola do dania słowa, iż na niego oczekiwać będzie, i późno w nocy odjechał do domu, zalecając Jakóbowi pocichu, aby na krok pana nie odstępował.

Noc to była bezsenna, straszna, spędzona w gorączce i widzeniach, we łzach i jękach.

Jakób klęczał i modlił się. Płakał z nim razem. W końcu osłabiony Karol padł bezsilny na łoże i wśród łkania i łez usnął tym przerywa-

nym, gorączkowym snem, który zamiast siły powracać, wyczerpuje. Przebudzenie było nowym wybuchem bólesci.

Z południa nadjechał nareszcie Bolek zamkniętym powozem i zastał już Karola gotowym do téj żałobnej podróży. Błady był jak trup, lecz siłą jakąś nadzwyczajną ożywił się i niecierpliwił.

Wszystko tak obrachowaném było, aby wprost na cmentarz i pogrzeb trafili—o mroku. W milczeniu odbyli całą drogę.

Gdy się ukazał oświetlony kościół, na cmentarzu gorejące pochodnie, stojący karawan, który miał trumnę przewieźć na miejsce ostatniego spoczynku, Karol począł się wyrwać i powstrzymać go nie było podobna. Bolek postrzegł dopiero że nie potrafi pokierować nim. Stracił przytomność i poczucie swojego położenia... Przyjaciół siłą musiał uchwycić go za rękę i trzymać przy sobie.

Była to chwila, gdy wynoszono trumnę. Tłum obywateli z sąsiedztwa ją otaczał. Tuż za nią szła Bolesławowa, wiodąc córkę zmarłej zanoszącą się od płaczu. Przy niej szedł z chustką na oczach łkając Bogusław, którego jeden z przyjaciół prowadził. Ścisk był wielki i Bolek z osło-

nionym płaszczem Karolem mógł się wmieścić w tłum nie zwracając oczów na siebie.

Zwolna cały orszak pogrzebowy począł się od kościoła ku cmentarzowi posuwać. Karol rwał się naprzód, lecz przyjaciel jeszcze go potrafił pohamować.

Jak długo trwało powolne przejście do przygotowanėj mogiły, wśród śpiewów żałobnych, Karol nie wiedział. Zdało mu się ono wiekiem... Patrzył i nie widział nic, oczyma szukał trumny...

Dokoła grobu ustawili się wszyscy, Bolek trzymając z całych sił przyjaciela, wcisnął się tam gdzie jaknajmniej było znajomych... coby o płaczącego namiętnie zapytać mogli. Ostatni śpiew brzmiał i modlitwa. Karol upadł na kolana i twarzą na ziemię. Słyszać było już sunięcie się trumny po sznurach do grobu — milczenia chwila—i grudki ziemi posypały się głucho, odbijając od wieka...

Gdy Bolek pochylił się aby dźwignąć z ziemi Karola, znalazł go omdlałym. Unikając zwrócenia uwagi na biednego przyjaciela starał się go ocucić przygotowanemi zawczasu solami. Pomimo to ciekawe oczy zwracały się ku nim — ludzie szeptali pytając, kto to mógł być taki.

Bogusław, mąż zmarłej, płakał także głośno,

lecz żal jego objawiał się inaczej... Czuć było w nim raczej wrażenie śmierci i ludzką słabość niż serdeczne rozbolenie.

Zwolna tłum się rozpływać począł... Pani Bolesławowa odciągnęła córkę do powozu, przyjaciele wzięli z sobą wdowca—Bolek tylko nie mógł skłonić Karola, aby się dał oderwać od tego grobu...

Szczęściem stali w miejscu, które wielki, stary świerk ocieniał spuszczone w dół gałęzmi, tak że cała ta scena w nocnych ginęła mrokach.

Grabarze już tylko sami zostali, rzucając ziemię łopatami w grób otwarty; gdy Karol podniósł się jak obłąkany, obejrzał wkoło i padł znowu na kolana.

Oburącz począł chwytać ziemię i przyczołgawszy się do grobu, sypać ją bezprzytomny. Składał ręce potem jak do modlitwy, padał płacząc na wilgotny piasek, a Bolek nie wiedział już sam co z nim pocznie... i oglądał się bojaźliwie do koła.

Czas upływał, ludzie się znowu poczęli skupiać ciekawie, nie można było nikogo wezwać na pomoc, i Bolek zmuszonym był, wpół ująwszy osłabłego, skinąwszy na jednego z grabarzy, pociągnąć przemocą do powozu.

Zarazem unikać musiał, aby się nie spotkać z kim, i nie być zniewolonym tłumaczyć kogo miał z sobą. Nie był i tak pewnym, czy płacz tego nieznanego nie zwrócił już czyjś uwagi i przemyślał nad tém, jakim kłamstwem potrafi podejrzenia usunąć.

Zdawało się Bolkowi, że bądźco bądź wszystko jeszcze stosunkowo szczęśliwie się odbyło, i że nikt Karola poznać nie mógł.

Przyjaciele owdowiałego Bogusława czuwali z równą troskliwością nad nim w czasie całego obrzędu, i zaraz potem uwieźli, nie do dworu w którym zmarła mieszkała, ale do jego własnej wioski.

Żał biednego człowieka, który poczuwał się do winy względem żony i kochał ją—był szczery i wielki, ale sam charakter i temperament jego wcale go niebezpiecznym nie czynił. Można było przewidzieć to, co jego znajomi na cmentarzu już na ucho sobie szeptali, że Bogusław wypłakawszy się—długo wdowcem nie pozostanie. Był raczej namiętym niż sentymentalnym, prostodusznym i lubiącym życie szlachcicem. Z boleścią w sercu wegetować, karmić się nią i wspomnieniami nie potrafiłby nigdy. Rzeczywistość go zbyt silnie

pociągała, bo więcéj krwią i ciałem żył zawsze niżeli sercem i duszą.

Wkrótce też po oddaleniu się od cmentarza z dwoma towarzyszami, pan Bogusław płakać przestał — wzdychał tylko. Przyjaciele starali się go rozerwać w sposób może nie najwłaściwszy, ale dobrze do ich i jego temperamentu zastosowany.

Przez całą drogę milczał zasepiony pan Bogusław.

W domu u niego czekano z wieczerzą, na którą zaprosiło się kilku najpoufalszych. Tu dopiero wysiadłszy pan Piotr Zbąski, najbliższy będący z Bogusławem, dostrzegł na jego twarzy niezwykłego osłupienia jakiegoś. Przypisywał go naturalnie żalowi, i tem goręcéj starał się rozerwać.

Wtem Bogusław pochwycił go pod rękę i odprowadził na stronę.

— Słuchaj-no — rzekł głosem stłumionym — mam ci coś takiego powiedzieć, że możesz posłyszawszy wziąć mnie za waryata.

Zatrzymał się chwilę i zawahał.

— Cóż to znowu takiego? — zapytał Piotr niespokojny.

— Wiesz kogo widziałem na pogrzebie? — odparł Bogusław, któremu oczy dziwnie zabłysły.

— Kogo? mówże raz? nie rozumiem.

— Myślisz, że ja sam rozumiem to... Słowo daję — szepnął cicho, oglądając się Bogusław — powiadam ci, że widział... nieboszczyka męża pierwszego mojej zony...

Piotr począł się śmiać, ale wejrzenie Bogusława śmiech ten w ustach mu ścięło.

— Mówiłem—dorzucił prędko—że ty mnie będziesz miał za waryata, ale jak Boga kocham, jam jego, albo widmo jego widział. Znam lepiej niż kto tę twarz, bom się na nią dzień w dzień patrzył na portrecie, którego nieboszczka nie pozwalała wynieść z pokoju.

— Co ci się śni!—surowo odparł Piotr.

— Nie śni mi się—gniewnie zawołał Bogusław. Stał z Bolkiem, który go trzymał pod rękę, bo się zachodził z płaczu i padał na ziemię.

Twarz zakrywana odsłoniła się, padło na nią światło... powiadam ci poznałem go. To on był.

— Nieboszczyk?—podchwycił Piotr.

Bogusław ręką otarł pot z czoła i westchnął.

— Niepojęta rzecz!! widmo — ja nie wiem... Oszaleć można...

— Poprostu ci się przywidziało! — zawołał przyjaciel. Zobaczysz, spytamy z kim był Bolek, to się wyjaśni... Porzuć-że te myśli jakieś nie-

dorzeczne, a nadewszystko nie spowiadaj się z nich nikomu, bo istotnie mogą cię wziąć za...

Bogusław ramionami ścisnął.

— Jedź jutro do Bolka i zapytaj go.

Pan Piotr Zbąski, któremu powierzone było dziwne owo, jak mu się zdawało, poselstwo do pana Bolesława, począł nazajutrz od tego, że między gośćmi pogrzebowemi pocichu zrobił śledztwo z kim widziano Bolka, kto mu towarzyszył.

Nikt nie mógł dokładnie oznaczyć zagadkowej postaci, ale wszyscy sobie przypominali, że wistocie mężczyzna jakiś szedł razem z Bolkiem i dotrwał przy nim do końca pogrzebu.

Chcąc Bogusława uspokoić coprędzej, bo się upierał przy tém, jak się Piotrowi zdawało dziwnym przywidzeniu, poseł pojechał wprost do Bolka.

Nie zastał go w domu. Dokąd pojechał nie umiano mu powiedzieć. Pani domu zajęta sierotą, oddaną jej w opiekę, nie mogła przyjąć gościa... Zbąski poczekawszy dobrą godzinę, podrażniony siadał już chcąc powracać z niczem, gdy Bolek nadjechał.

Piotr był z nim w dosyć dobrych stosunkach, nie sympatyzowali z sobą jednak zbyt. Zbąski był pocziwym lecz dość lekkomyślnym człowie-

kiem, trochę zawadyką, lubiącym żyć do zbytku i szukającym w życiu tylko przyjemności.

Bolek wziął gościa do swojego pokoju, bo żona była niewidzialną dnia tego.

Po pierwszém powitaniu Piotr począł się uśmiechać.

— Wiesz z czém ja przybywam tu do ciebie — rzekł. Słowo daję, wstyd mi powiedzieć, ale człowiekowi rozżalonemu wiele przebaczyć potrzeba.

— Cóż to takiego?

— Biednemu wdowcowi coś się takiego przywidziało, że...; tu Piotr uciał i ramionami ruszył.

— Z kim byłeś wczoraj na cmentarzu? — dodał nagle.

Niespodzianie rzucone to pytanie, tak gospodarza chwyciło nieprzygotowanym do odpowiedzi na nie, że, mimo całej swój przytomności umysłu, na chwilę stał rażony niém—osłupiały.

Nie uszło to oka Zbąskiego. Bolek już przyszedł był do siebie.

— Wziąłem z sobą bardzo niepotrzebnie — rzekł — dalekiego krewnego mojego, niejakiego Ciesielskiego, który tu u mnie chory przebywa. Jest to człowiek roznerwowany, drażliwy, a że nie tak dawno żonę stracił, pogrzeb mu przypo-

mniał ją—i tak mi się rozmazał. Musiało to zwrócić uwagę?

— To, nie — rzekł Piotr, słuchając ciekawie — ale ten wizjoner Bogusław... Wystaw sobie, iż mu się przywidziało, że zobaczył nieboszczyka Karola, pierwszego męża swojej żony...

Bolek zbladł i usta mu się zacięły.

— Cóż bo znowu! — zawołał z niechęcią. — Jeszcze tego brakło, aby biednemu Ciesielskiemu i mnie pokój zamącić! Zaczną pleść niewiedzieć co...

Wtem Bolek przerwał sobie i dodał:

— A muszę ci powiedzieć, że wistocie między nieboszczykiem Karolem a tym biedakiem jest pewien rodzaj podobieństwa. Ale Ciesielski starszy... i

Zbąski słuchał z uwagą.

— Więc jednak — dodał zadumany—Bogusławowi się to niezupełnie bez przyczyny przywidziało...

— Zmiłuj się — szybko wtrącił Bolek—proś go ode mnie, niech o tém nie mówi... Wiesz to dobrze, że choćby człowiek umarł i był zabity gdzieś na wygnaniu, podejrzenie iż mógł zmarływychwstać, ściągnie dla żywego i niewinnego najprzykrzejsze następstwa.

Ciesielski jest biedny, bardzo biedny człowiek—i on i ja spokoju potrzebujemy...

— Ale jak skoro się rzecz w ten sposób do pewnego stopnia wyjaśniła—począł Zbąski—niema już mówić o czém. Bogusław nie będzie śmiał powtarzać tego dziwnego swojego jakiegoś marzenia na jawie...

— Powiedz mu, iżby mi tém wielką wyrządził przykrość.

Zbąski chciał się jeszcze coś dowiedzieć więcej o Ciesielskim, ale Bolek go zbył obojętnemi kilku szczegółami, okazując, że nie rad o tém mówić więcej.

Zdawało się więc wszystko ubite i skończone, chociaż po wyjeździe pana Piotra, Bolek pozostał smutnie zadumany i ważyć począł, czyby nie lepiej było Karola na jakiś czas z okolicy téj usunąć. Było to nadzwyczaj trudném, jedyną bowiem pociechą jego była teraz myśl, nieopuszczająca go na chwilę, że nie dając się poznać, będzie mógł zbliżyć się do swojego dziecięcia.

Roił o tém, że jako nauczyciel wszedłszy do domu Bolesława, obejmie opiekę, pokieruje wychowaniem, i nie rozdzieli się więcej z sierotą.

Chociaż wykonanie tego planu, z którym się

zwierzył zaraz przyjacielowi, wcale łatwém nie było, Bolek przyrzekał, że będzie się starał spełnić jego życzenie. Musiał jednak przygotować do tego żonę—nie zwierzając się jéj zupełnie... Lękał się niewieściéj drażliwości, któraby tajemnicę mimowoli zdradzić mogła.

Niepewien jeszcze jak ma postąpić, Bolek wahał się, odkładając z dnia na dzień—wyznać małżonice wszystko, czy odmalować jéj nagle tego Ciesielskiego, którego dotąd przed nią ukrywał jako nic nieznaczącego biedaka, uzdolnionym szczególnie do wychowania i nauczycielstwa.

Pani Bolesławowéj był on prawie nieznanym, mąż czynił go chorym, zdziwaczałym, kwaśnym, aby wytłumaczyć, że nie zapraszał go do siebie. Trzeba było kłam zadać samemu sobie, aby wytłumaczyć zmianę postępowania. Przytem wprowadzenie do domu Karola, gdyby gospodyni nie była świadomą jego położenia, nie dość bezpieczném się zdawało.

Nie potrzebujemy mówić, iż Bolek najzupełniejsze miał zaufanie do żony, ale chciał jéj oszczędzić obawy, troski... niepokoju.

Sierotka, którą starano się pocieszyć i rozerwać, nad wiek swój była troskliwém wychowaniem macierzyńskiem rozwiniętą i dojrzałą.

Im wyłączeń, ściślejszym węzłem połączona z matką była, która na chwilę nie rozstając się z nią, towarzyszyła zabawom jój, nauce, przechadzkom, dzieliła z nią wszystko i wpajała uczucia swe w tę duszę dziecięcą—tém okrutniej czuła się Klarcia osieroconą i samotną.

Żyła, powiedzieć było można, ciągle jeszcze z duchem matki, miała ją na ustach nieustannie, śniła o niej, zrywała się w nocy wołając—mamo, i nie znajdując płakała gorzko...

Pani Bolesławowa musiała cała się oddać sierocie, aby w jakikolwiek sposób oderwać ją od tych myśli o matce, rozerwać zajęciem jakimś, pracą, modlitwą...

Pieszczone dziecko chodziło w tém miejscu obcém, wśród ludzi kochających, serdecznych ale nowych, jak senna i nieprzytomna.

Wśród dnia niewiedzieć ile razy głosem nieśmiałym przymawiała się, czyby nie można powrócić tam, gdzie była z mamą i gdzie na wizerunek ojca, o którym jój ona mówiła tyle, patrzyła.

Tój smętnej twarzy zmarłego, za którego się modliła z nieboszczką, i smutniejszego jeszcze oblicza matki brak jój było.

Kilka dni upłynionych od pogrzebu wcale

nie uspokoiły, nie rozerwały już dorastającej dziewczki, którą sieroctwo starszą uczyniło niż była, bo boleść równie zabić może jak życie wzmódz nagle.

Pani Bolesławowa napróżno starała się ją zdiecinnieć, zabawić czémś właściwém wiekowi; Klarcia odpychała zabawki, modliła się, popłakiwała, lub rzucała swój opiekunce pytania zdumiewające głębokością myśli i uczucia. Słowem, opieka nad sierotą, przyjęta ochoczo, zaczynała coraz trudniejszém stawać się zadaniem.

Bolesław przypatrywał się temu zdaleka i słuchał uzaleń żony, która całém sercem przywiązawszy się do sierotki, rozpaczała niemal czy potrafi przyjętemu podołać obowiązkowi.

Po długich namysłach i rozwadze skończyło się na tém, na czém u nas zawsze się kończyć zwykło — trzeba było zwierzyć się żonie.

I ta tajemnica, która miała być nią dla wszystkich, odkryta naprzód przez Jakóba, zwolna, po naszymu, stawała się sekretem poliszynela. Człowiek, o którym nikt wiedzieć nie był powinien — zaczynał w coraz szerszém kole być znanym.

Kto zna kraj nasz i jego obyczaj, wcale się temu dziwować nie będzie: nigdy u nas tajemnicy utrzymać nie umiano, a pewne poczucie godności

własnej i wiara w ludzi, najmocniej zasznurowane otwierała usta. Przychodziła zawsze chwila serdeczności, wywnętrzenia, w której serce się otwierało. Nic też łatwiejszemu nie było nad podsłuchanie nas i wybadanie. Wszystkośmy robili jawnie i głosili najniebaczniej, ale rycersko.

W jednej z takich chwil wieczornych, siedząc z żoną przy kominie, pan Bolesław pomyślał sobie, że ciężącą mu na sercu tajemnicę musi z poczciwą swą Wańdzą podzielić. Mówili właśnie o Klarci, Bolek westchnął, i całując żonę w czoło, rzekł:

— Moja ty droga—koniec końcem zwierzyć ci muszę coś... tyczącego się naszej biednej sierotki. Daj mi tylko słowo, że święcie zachowasz to przy sobie. Zgubilibyśmy człowieka, gdyby się to wydało, no, i siebie...

Wanda, kobiecina czuła, trwożliwa, ale w potrzebie umiejąca być energiczną, jak wszystkie niewiasty nasze, spojrzała na męża wielkimi oczyma.

— Mów-że, proszę ciebie. Możeż ty mieć tajemnice dla mnie?

Bolek zbliżył się do żony, wyjrzawszy wprzód za jedne i drugie drzwi sypialni, czy ich kto nie podsłuchuje.

— Wiesz ty kto jest ten tajemniczy Ciesielski, który w Pustelni mieszka?

— No—twój kuzyn, biedny człowiek... i dziwak!—odparła żona trochę pytaniem zdziwiona.

— To nie jest Ciesielski—szepnął Bolesław—to pierwszy mąż téj biednej zmarłej Bogusławowej, który nie został zabity i przywłókł się tu nazad.

Wanda krzyknęła i zasłoniła sobie oczy rękami.

— Tak—dodał Bolek—jest to ojciec Klarcy. Miarkujesz więc, że biednemu człowiekowi chce się zbliżyć do dziecka.

— Ale, na rany Bozkie—przerwała Wanda, Klarcia, która codzień patrzyła na jego portret, i tęskni za nim równie jak za zmarłą matką—może go poznać... To dziecko.

— Niepodobieństwo żeby go poznała—rzekł Bolek.—Zestarzał, zmienił się, a gdyby nawet dostrzegła w nim coś jéj wizerunek ojca przypominającego—łatwo się jéj to z głowy wybije. Karol się naprasza nie tylko żeby mógł widzieć swe dziecko, ale chce być jego nauczycielem i dozorcą. To ci ulży wiele—a jemu! dla niego będzie szczęściem największém.

Wanda poruszona, zarumieniona, przeleżała

trochę, ale losem tego człowieka przejęta,—sama nie wiedziała co odpowiedzieć.

— Nie pytaj mnie—odezwała się — rób co uznasz właściwém. Ja powinnam nawet nie okazywać mu, że wiem kim jest... Probuje — ale ja, przyznam ci, trwożę się... myśli mi się tak płaczą!

— A! co za los tego nieszczęśliwego! co za przeznaczenie! Powrócić po latach tylu i żonę zastąć zaślubioną innemu! My wiemy jakie to było małżeństwo, ale on mógł tę biedną męczennicę posadzić, że mu wiarę złamała.

Raz jeszcze rozplakawszy się, Wanda sobie oczy zakryła. Gdy się wreszcie uspokoiła i wysłuchiwała całej powieści mężowskiej o Karolu, który tylko zataił przed nią niebezpieczeństwo, jakie groziło od Suraza—poczęli się naradzać jak wprowadzić Karola i zbliżyć go do dziecka.

Najtrudniejszém było wymódl to na nim, aby się starał zachować obojętnie, aby tę rolę zupełnie obcego, nieznanego człowieka odegrał tak, by dziecku nie wydał się dziwnym i niezrozumiałym.

Bolek podejmował się wpłynąć na niego i stać na straży.

Klarczy nie mówiono nic, ani że kogoś nowego

zobaczyć miała, ani że ten ktoś na przyszłego jęj nauczyciela był przeznaczony.

Karol tymczasem oczekiwał chwili zawsze odraczanej, gdy mu się u Bolesławowstwa pokazać będzie wolno. Ponieważ na portrecie, który Klarcia znała tak dobrze, odmalowany był z wąsami tylko, Bolek nastał na to, aby brodę zapuścić, któraby przyczyniła się do zmiany fizyognomii.

Zgodził się na to.

Pomimo wychudzenia, zarostu, zestarzenia, został mu jednak w oczach i wyrazie wejrzenia charakter indywidualny tak dobitny, że Bolek nieco był niespokojny. On przynajmniej myślał, patrząc na niego iż po tych oczach rozumnych a smutnych poznał by go zawsze i wszędzie.

Była znowu wiosna, rozpoczynająca się dopiero, ale już ciepła i wonna. Klarcia wróciła z ogrodu z pierwszemi rozkwitłemi pierwiosnkami, gdy wchodząc do saloniku na dole, zobaczyła siedzącego z panią domu i Bolesławem nieznanego mężczyznę, ubranego czarno, którego twarzy o mroku nie dojrzała z początku.

Był to Karol, który na widok swojego dziecka, ślicznego, ożywionego przechadzką, z rozpuszczonemi włoskami, z twarzą uśmiechniętą,

ledwie się mógł powstrzymać aby nie podbiedz ku niemu.

Wzrok przyjaciela trzymał go przykutym do stołka.

Pani Bolesławowa zaprezentowała mu Klarcię, która dygnęła zdala nie patrząc na gościa, i potem podniosła oczy nieśmiało, ale mrok wieczorny w saloniku dobrze mu się nie dozwalał przypatrzeć.

Właśnie w téj chwili Karol był zmuszony odpowiedzieć na pytanie Wandy — i głos mu drżał tak, że go zdradzał. Dziecię nawet uderzone było tym dźwiękiem dziwnym, w którym zdawało się stłumione brzmieć łkanie.

Chwilę jakąś mówiono o wiośnie, Klarcia pokazywała kwiatki, ale utrzymywała, że tam... w ogródku mamy były one jeszcze piękniejsze, pod staremi dębami i lipami.

Dotąd jeszcze wspomnienia opuszczonej siedziby nieustannie na usta jęj wracały.

Wśród téj rozmowy o szaręj godzinie, służący wnieśli światło; pani domu, która obawiała się aby ono nie zdradziło Karola, pod pozorem jakimś dalej je ustawić rozkazała.

Jednakże odbłask lampy padał tak na twarz Karola, że stojąca za krzesłem opiekunki Klarcia

mogła mu się dobrze przypatrzeć. Młodość jest ciekawą każdój nowości, i ten człowiek nieznajomy jakiś zwrócił naturalnie uwagę dziecka.

Wanda napróżno usiłowała oddalić je i zachęcić do zajęcia jakąś zabawą, Klarcia pozostała jak wryta wpatrując się w przybysza.

Bolek, który niespokojnie śledził każdy ruch dziecka, postrzegł ze zdumieniem i trwogą, że Klarcia zmieniona, blada jak w tęczę patrzyła — patrzyła na ojca i zdawała się doznawać wrażenia niezwykłego. Oczy jój otwarte bezwiednie, rozszerzone, usta drżące, malowały podziwienie i jakieś uczucie, którego ona ukryć nie umiała.

— Moje dziecko—szepnęła instyktowo Wanda, czując ją stojącą za sobą — idź, zabaw się. Tam na stoliku leży ta książka, którą tak lubisz.

Klarcia na dany rozkaz trochę się zawahała, poruszyła, poszła wolnymi krokami do stołu, oglądając się ciągle, usiadła posłuszna do książki z obrazkami—ale oczy jój nie schodziły z nieznajomego.

Karol także, choć wstrzymywał się, rzucał ku dziecku wejrzenia ukradkiem. Dla Bolesława i jego żony cała ta scena była czémś tak wzruszającym,

tak bolesném i tragiczném, że chwilami zapominali się i głos im drżał.

Wandzie zrobiło się słabo, wstała bojąc się wydać z tym niepokojem i poszła do Klarcy siedzącą nad książką na którą się patrzyła.

Pociągnęła za suknię przybyłą swą opiekunkę i poczęła jęć szeptać na ucho:

— Wie ciocia (nazywała ją tak zwykle), ja coś powiem cioci... Jak się ten pan nazywa? On tak patrzy — zupełnie tak jak portret nieboszczyka papy, co wisiał u mamy w sypialnym pokoju...

Wanda zbladła i pochyliła się nad Klarcją.

— Co ci się przywiduje! zmiłuj się, nie mów-że tego!! Cicho! cicho.

Dziewczę oczy ku nięj zwróciło.

— Dlaczego ja tego mówić nie mam? — spytało. Wszak to mu krzywdy nie czyni, że tak ma oczy do papy mojego podobne...

— Dziecko—szepnęła Wanda—to ci się tak wydaje, bo myślisz o tamtym portrecie... Zobaczysz go bliżej i przekonasz się...

Klarcia zamilkła.

Bolek tymczasem wejrzeniem wymowném starał się przyjaciela hamować, bo widział, że ten w miejscu usiedzieć nie mógł.

Podano wieczerzę i wszyscy przeszli do niej. Gospodyni była zakłopotaną, bo chciała tak posadzić Klarcie, aby się nie bardzo przypatrywać mogła ojcu... Wzięła ją więc z sobą na koniec stołu. Karol siedział z drugiej strony.

Uderzyło to Bolka, który nie wiedział jeszcze o tém co Klarcia zwierzyła żonie jego, że dziecko zapominając o jedzeniu, zapatrywało się na Karola. On też oczów nie mógł odwrócić od niej— a pod powiekami wstrzymywane łzy się zbierały.

Rozmowa była najdziwniejszą w świecie, urywaną—i najrozumniej może ze wszystkich odzywała się Klarcia, której głosu słuchając Karol cały był pod jego urokiem.

Po wieczerzy natychmiast Bolesław wziął pod rękę przyjaciela i zmusił go wyjść z sobą na cygaro, dając—dobranoc.

Na pierwszy raz dość było tego co doznali wszyscy. Karol ledwie doszedłszy do pokoju gospodarza, rzucił się na kanapkę, twarz kryjąc w dłoniach i płakał. Bolek nie mówił nic. Nastąpiły podziękowania serdeczne i ojcowskiego serca wynurzenia nad ślicznością dziecięcia, nad głosem jój, nad tém wszystkiém co go w niej zachwycało.

— Zmiłuj się, Karolu, wszystko to dobre — ale panuj nad sobą...

Późno w noc odjechał rozmarzony do swój Pustelni.

W chwilę potem, położywszy spać Klarcie, weszła Wanda do pokoju męża.

— Wiesz—poczęła od progu — wiesz co mi powiedziała Klarcia? Nie mogłam jój tego wybić z główki, że ten nieznajomy tak patrzy jak ojciec jój na portrecie.

Dowodziło to, że dziecię dobrą pamięć miało bo wistocie wejrzenie zostało Karolowi i wyraz oczu ten sam, jaki miał będąc młodszym.

Bolek radził, aby to w żart obrócić; Wanda spodziewała się, że Klarcia później o tém zapomni.

Ponieważ w domu państwa Bolesławostwa bywało teraz dosyć osób, a Bogusław też czuł się w obowiązku sierotkę odwiedzać — musiano odwiedziny Karola tak jakoś uregulować, aby go od spotkania się z obcymi zabezpieczyć.

Bolek przed ludźmi i służbą tłumaczył to tém, że mieszkaniec Pustelni był dziwak i towarzystwa unikał. Parę razy ułożono się tak, aby z Klarcie pojechała Wanda do lasu na przejażdżkę i odwiedziła dworek Karola.

Skutkiem zapewne tego uroku, jaki wejrzenie portret przypominające miało dla Klarki, dziewczę zbliżyło się samo poufalej do nieznanego, zowiąc go panem Maryanem...

A że tajemnicy utrzymać nie umie młodość, poznawszy się lepiej z nim Klarcia powiedziała, że on papy oczy przypominał. Rozplakał się Karol, i dziecię z nim. Zapowiadała mu dziewczeczka, że dlatego już kochać go bardzo musi.

Nawzajem on ofiarował się jej pomagać do nauki, rozповідаć różne rzeczy ciekawe, pokazywać kwiatki i mówić ich nazwiska, słowem zastępować guwernantkę. Pakt ten został zawarty z wielką radością Klarki, która się czuła pociągniętą do tego dobrego człowieka.

W rozmowach z nim dziecię, żyjące jeszcze przeszłością, opowiadało mu o niej, o matce, opisywało życie, powtarzało rozmowy, a Karol się zasluchiwał w to szczebiotanie, które mu łzy wyciskało.

Tak w nieszczęściu największém znalazł biedny najwyższą pociechę, jaką los mu dać mógł. Pozostawało mu dziecię, nad którym czuwał, którym żył cały.

W tak urządzoném życiu nic nie zdawało się grozić przyszłości, nawet p. Bogusław dał sobie

wmówić iż Ciesielskiego widział na pogrzebie. Jednakże pozostało mu żywe przypomnienie wrażenia wyniesionego z pogrzebu, i kilka razy, przybywając do Bolesławowstwa dopytywał o tego jegomości, którego tu nigdy spotkać nie mógł. Klarcia mu o nim mówiła ciągle, wychwalała go, a ile razy przybywał ojczym zawsze się tak układało, że nauczyciel znikał.

W końcu zaczynało to drażnić jakoś p. Bogusława.

— Klara mi ciągle prawi o tym swoim nauczycielu—rzekł raz do Bolka—a ja mu nawet podziękować nie mogę i zobaczyć go.

— Bo on ludzi unika—odparł gospodarz. — Może go kiedy przypadkiem tu spotkasz chyba, ale systematycznie wynosi się nie tylko gdy ty przybywasz, ale gdy ktokolwiek nadjedzie.

— Cóż to za dziczek taki? Klarcia mi go chwali niezmiernie, mówi o nim ciągle, że ją różnych ślicznych rzeczy uczy... a mnie jednemu tego tajemniczego pedagoga widzieć nie wolno.

— Nie tobie jednemu — odparł kwaśno Bolek.

— Przyznaj, że dla mnie, ojczyma Klarci, mógłby uczynić wyjątek — rzekł p. Bogusław.— Czuję się nawet obowiązany nie tylko mu po-

dziękować, ale, ponieważ to jest człowiek niedostatni, czémś mu się wywdzięczyć.

— Byłby to najlepszy sposób wypędzenia go ztąd,—porywczo przerwał Bolek. Zlituj się, to harda dusza, która nic od nikogo nie przyjmuje...

— A od ciebie?

— Pokrewieństwo, choć dalekie nas łączy — rzekł Bolek — i powiem ci, że ode mnie też nie barzo chętnie małą przysługę raczy przyjąć... Dziwak!

Bogusław nic nie odpowiedział, ale był to jeden z tych upartych ludzi, którzy gdy raz coś postanowią, przez punkt honoru nie ustępują. Szlachecka duma też oburzała się na to, że jego Klarcia przyjmowała od tego kogoś lekcye, a on nie mógł się czémś za nie wywdzięczyć.

Począł rozpytywać zdala, nieznacznie, co ten dziwak lubi i jakie ma gusta, czém się zajmuje.

Bolek malował go jako zdziczałego samotnika, który oprócz książek prawie w niczém upodobania nie miał.

Skończyło się na tém, odjechał Bogusław do domu, ale to ukrywanie się przed nim Ciesielskiego na sercu mu leżało. Postanowił w duchu, nie mówiąc nic nikomu, poprostu pojechać do Pustelni i sam mu się zaprezentować. Myśl tę

wywiózł z ostatniej bytności swój u Bolka i nosił się z nią dosyć długo.

Jedną z rozrywek wdowieństwa, ciężącego już p. Bogusławowi, było polowanie. On, Piotr Zbąski i kilku dobrych towarzyszy wymyślali sobie łowy najrozmaitsze, nawet w porach gdy myśliwstwo jest zabronione. Polowano naówczas na zwierzęta drapieżne, a pod pozorem ich strzelano i do kozłów, gdy się nawinęły, i do biednych zająców.

Lasy wszystkich majątności w okolicy, stykały się z sobą, a granic niebardzo pilnowano. Zapędzali się myśliwi i w cudze ostępy, nie mając za złe sąsiadom odwetu.

Zdarzyło się też raz w lecie panu Bogusławowi tak się obłąkać, że znalazł się niespodzianie niedaleko Pustelni. Widać ją było na kraju lasu. Myśl mu przyszła, pod pozorem szukania swych rozpierzchłych towarzyszy, zająć do dworku.

Ciekawość go tam od dawna popychała; bez namysłu, strzelbę na ramię wzięwszy, wprost podążył do Pustelni.

Nieszczęśliwym trafem Karol, który zwykle o téj porze bywał u Bolka, dnia tego musiał pozostać u siebie, bo się jakichś gości spodziewano. Siedział z książką w ręku na ganku i zatopiony

był w czytaniu tak, że nie dostrzegł, ani posłyszał nadchodzącego, który się nagle zjawił i rubasznie odezwał się mu nad uchem:

— Pochwalony Jezus Chrystus!

Zerwał się przestraszony Karol, podniósł głowę, Bogusław spojrzał i—stanął osłupiały.

Pomimo lat upłynionych i zmiany, jaką one sprowadziły na twarzy zestarzałego Karola, mimo zarostu—poznał go od razu.

Karol wyczytał to w jego bladości, przerażeniu i drżących wargach.

Nie było innego sposobu jak upartém kłamstwem starać się zachwiać Bogusława.

Trochę niepewnym głosem odpowiedziawszy na pozdrowienie, Karol skłonił się zimno i zapytał z kim ma honor.

Bogusław, posłyszawszy dźwięk mowy, tém mocniej utwierdził się w przekonaniu, że ma przed sobą tego, który uchodził za nieboszczyka, a on żonę jego poślubił.

Nie mógł przemówić, pot mu się lał z czoła.

— Kto pan jesteś? zawołał wreszcie. Oczywiście mnie nie mylą—poznaję—tak...

Karol spojrzał ostro na niego i odparł zimno:

— Mylisz się pan, nie mam przyjemności go

znać. Być może, iż go uwodzi jakieś podobieństwo, o króré m i już tu wspom inano.

— Podobieństwo! podobieństwo!—począł Bogusław cały drżący jeszcze, ale to nie żadne jakieś podobieństwo—to... coś takiego...

Spojrzel i sobie w oczy ostro, Karol się zmarszczył.

— Mogę panu czém służyć? spytał.

— Szklanką wody—odezwał się padając na ławę Bogusław i mierząc go ciągle oczyma.

Karol zawołać chciał starego Jakóba, lecz wnet mu na myśl przyszło, że przytomność jego tutaj podejrzenie uczyniłaby niemal pewnością. Ruszył się więc sam, aby zapobiedz ukazaniu się sługi, gdy ten, nie wiedząc kto przybył, a słysząc głosy jakieś, nagle się ukazał w ganku.

Chciał się już cofnąć, zobaczywszy niespodzianego gościa tego, ale było zapóźno. Bogusław widział go i poznał. Obecność starego była tak wielkiego znaczenia, że nią jak piorunem rażony Karol skamieniał.

Nastąpiło milczenie grobowe.

Słychać tylko było przyśpieszony oddech Bogusława, który czuł jak się pod nim rozstępowała ziemia i rzeczywistość zmieniała w jakiś sen okropny, w zmorę straszną.

Nie był to człowiek, któryby do tragicznych wypadków dorosł siłą ducha i mężstwem; mógł tylko najtragiczniejsze położenie dla siebie spowodować do najpowszedniejszych rozmiarów — bo by mu nie podołał inaczej.

W téj chwili nie mógł przemówić, czuł się jakby obłąkanym, myśl jego cofała się wstecz do pogrzebu żony, do zniknięcia Jakóba... Nie wątpił, że Bolek znał i wiedział kogo miał u siebie, a przed nim tylko ukrywał powrót Karola. Chciał coś wyjąknąć, słowa mu zamierały na ustach.

Karol zrezygnowany, zadumany stał przed nim z jakąś dumą i goryczą w twarzy. Czekał aby się odezwał. Długi jednak czas upłynął, a Bogusław, oddychający ciężko, ocierający pot z czoła—nie zebrał się na jedno słowo. Czuł się winowajcą względem tego nieszczęśliwego a razem niewinnym, litość miał nad nim i żal do niego, że mu życiem swém pokój zakłócił.

Jakób, który mimowolnie stał się zdrajcą, usunął się rozpaczający... Karolowi przeszło błyskawicą przez myśl, że stary sługa gotów był powtórzyć to, co już raz w obronie pana wykonał na Surazu. Nie mówiąc jeszcze nic, na dany znak przez niego weszli do izby. Karol przechodząc

ujrzał starego sługę wyglądającego przez drzwi i dał mu znak surowy, aby się nie ukazywał.

Zamknęły się drzwi.

— Ocaliłeś się więc — ocalałeś — począł Bogusław. Urzędowa wiadomość o śmierci była...

— Fałszywą—odparł Karol zimno—jak widzisz. Nie będę się zapierał dłużej, sądzę, że ty mnie przecież nie wydasz. Nie pokazywałem się tu, dopóki ona żyła, abym waszego życia nie zatrueł. Ona nie wiedziała o mnie...

— Poznałem cię na pogrzebie—wtrącił nagle Bogusław — starano się we mnie wmówić, że mi się przywidziało... O Boże! co za historia!!

Załamął ręce i spuścił na piersi głowę.

— Dla ciebie — przerwał Karol — jest ona przykrą tylko, dla mnie była niewysłowioną męczarnią. Widzisz jednak, że ją mężnie znieść umiał... Nie będę ci czynił żadnych wymówek, w oczach moich jesteś niewinnym, nie mścij się na mnie, że żyję i nie zmuszaj, abym się od dziecka oddalił.

Bogusław po chwili wahania wstał i podał mu dłoń drżącą.

— Bóg widzi—rzekł żałośnie—nie jestem winien. Chciałem być jej opiekunem, byłem ojcem dla sieroty... Niestety — ani ona ze mną,

ani ja z nią nie mogłem być szczęśliwy. Bóg miał litość nad nami i nad tą biedną, biorąc ją z tego świata.

Głos mu drżał—padł znowu na siedzenie. Zamilkli. Oba cierpieli zarówno, z tą tylko różnicą, że tępsza natura Bogusława nie dawała mu uczuć całej tragiczności tego położenia i wszystkich następstw jego. Karol myślał tylko nad tém jak się oddalić z tych stron, w których życie dla niego stawało się niemożliwém, stykanie się ciągle z Bogusławem nieznośném.

Jakby dla wyzwolenia ich obu koń Bolka ukazał się przed gankiem; Bolek wołał na Jakóba aby przyszedł konia odebrać. Przerażony starzec zbliżył się do przybyłego niemy, ukazując rękami na pokój do którego wszedł był Karol ze swym gościem. Nie mógł nic powiedzieć więcej nad imię — pan Bogusław.

Bolek zeskoczył szybko z konia i wpadł jak burza do pokoiku, wprost na Bogusława. Chciał mu czynić wyrzuty, lecz zobaczywszy go przybitym, z oczyma załzawionemi—poruszył tylko ramionami i rzucając na stół czapkę, zawołał:

— Przeznaczenie!!

Bogusław począł się tłumaczyć, że nie ciekawość natrętna go tu sprowadziła, ale wdzięczność

dla nieznanego człowieka, o którym mu Klarcia tyle mówiła.

— Stało się — przerwał nagle Bolek — ale, mój Bogusławie, ja cię znam, jesteś wrażliwym, masz przyjaciół przed którymi, jak przed Zbąskim, nie potrafisz zachować tajemnicy. Jeśli nie wydasz się z nią dobrowolnie, wyczytają ci ją z twarzy. Pomyśl, jakie to za sobą może następstwa spowodować.

Bogusław, posądzony o wielomówność, żywo począł się bronić, obrażając tém, że w nim wiary nie miano. Potrzeba go było uspokoić, złagodzić rozdrażnienie, a że wieczór nadchodził i Karol okazywał jak mocno był poruszony i znękany — Bolek zabrał z sobą Bogusława, zostawując go samym.

Podali sobie ręce w milczeniu.

Zaledwie pozostał sam, Karol padł na siedzenie, twarz kryjąc w dłoniach. Żał mu okrutnie było opuścić swe dziecko, ale chciał się dla niego na przyszłość zachować i miał zamiar oddalić.

Dokąd? sam nie wiedział jeszcze. Chociaż mógł z zupełnym sumienia spokojem rozporządzać własnym majątkiem, który dla córki był przekazany, nie chciał go tknąć wcale, raz się zrzekłszy. Z owych tysiąca rubli, które mu przy-

niósł Jakób, mimo największej oszczędności, pozostawało niewiele. Z tą resztką grosza myślał się udać do Warszawy, i tam, pewnym już będąc, że go nikt nie pozna, starać się bodaj o najlichszą posadę, do której służbowe papiery Ciesielskiego dawały mu pewne prawo.

Zatopionego w tych myślach i bolejącego nad tém, że mu przyjdzie spokojną Pustelnię opuścić, zastał przychodzący ze światłem Jakób, który wsunął się nieśmiało, jak winowajca. Spojrzał na pana, szukając wyrazu gniewnego na jego twarzy. Karol położył mu rękę na ramieniu i rzekł łagodnie:

— Napróżno, mój stary, człowiek walczy z przeznaczeniem. Sądziłem, że mi tu wolno będzie zostać i patrzeć na dziecię—niestety—trzeba się wygnać znowu i iść gdzieś bezpiecznego szukać kąta.

— Ależ ten Bogusław! on pana nie zdradził! krzyknął Jakób obruszony.

— Dobrowolnie z pewnością — nie, odparł Karol, ale za jego nieostrożność i lekkomyślność ręczyć niepodobna. Ani Bolkowi, ani dziecku nie chcę być powodem troski i zmartwień. Precz ztąd muszę... tak! muszę.

Jakób nic nie odpowiedział, postął chwilę

z załamanemi rękami i zadumany cofnął się do izby czeladniej. Usiadł na ławie w kącie, ukrył twarz w namulonych dłoniach i płakał.

Dodnia nazajutrz Bolek już był w Pustelni i zastał Karola na nogach, niespokojnie przechadzającego się po izdebce.

— Zmiłuj się, rozpoczął od progu, żadnych tylko desperackich kroków nie podejmiesz. Bogusław będzie milczał dla samego siebie, dla pamięci nieboszczki, którą kochał. Możesz być spokojnym—w położeniu nic się nie zmieniło.

Chociaż Karol potrząsnął na to głową, Bolek mówić mu nic nie dał, dobywał z kieszeni papier, który przywiózł z sobą.

— Nie dajemy ci spokoju — rzekł — bo ja z nowym przybywam interesem.

— Do mnie?

— Tak jest — rzekł Bolek. Wolę ci odrazu o tém powiedzieć, abym później, gdy, da Bóg, przebolejesz i zapomnisz o téj przygodzie, znowu cię powtórnie nie wzruszał.

Bolek milczał chwilę.

— Petrowicz pisze do mnie, dodał list rozkładając—abyś co rychlój przybył do niego dla sprawy ważnej.

— Ja żadnej w świecie sprawy mieć nie mo-

gę—zawołał Karol. Czego Petrowicz może chce ode mnie, chyba jeszcze jakaś pretensya z dzierzawy tego nieszczęśliwego Olsz...

— Nie — odparł Bolek—wcale o co innego idzie, a że nie tyle jest to twoim interesem jak Klarczy, spodziewam się, że dla niej uczynisz ofiarę.

Nic nie rozumiejąc, Karol stał, oczyma wyzywając, aby mu przyjaciel wytłumaczył o co iść mogło.

— Słuchaj — dodał Bolek. Tego się zapewne domyśliłeś, że Petrowicz cię poznał odrazu. Pocziwy człowiek zna interesa wasze, wie w jakim stanie objęła je nieboszczka po tobie, i że ich Bogusław wcale nie poprawił. Klarcia byłaby prawie ubogą, bo długów ciąży wiele na majątku.

— Wiem o tém — rzekł spokojnie Karol — ale ubóstwo Klarczy nie wydawało mi się tak wielkiem nieszczęściem... Chciałem ją i byłbym wychował tak może, aby posagu nie potrzebowała..

— Ale Klarcia go mieć może i bardzo nawet znaczny, jak się okazuje.

— Zkądże?

— Trochę za śmiało sobie postąpił może Petrowicz — ciągnął dalej Bolek — ale znał dobrze

z kim miał do czynienia. Stryj twój, któremu podobno zwierzył tajemnicę, człowiek staréj daty a gorących uczuć, tak został wzruszonym nieszczęściem twém i położeniem, że gotów jest zapominając uraz dawnych cały majątek Klarci zapisać — a ciebie jako Ciesielskiego naznaczyć opiekunem i wykonawcą testamentu. Starzec z łóżka już nie wstaje, Petrowicz czeka na ciebie i musisz z nim jechać.

Słuchając Karol stał wzruszony, trochę gniewny z początku, w końcu ułagodzony tém, że o dziecko chodziło.

— Mój Bolku drogi — rzekł — niepodobieństwem prawdziwém jest, ażeby wszystko to co mnie tu spotyka nie wystawiło na sztych — nie zdradziło. Jest to już i tak istotnym cudem, że dotąd zostałem swobodny. Nie trzeba wyzywać losu, ja muszę się ztąd oddalić. Niech stryj zapisuje co chce Klarci, pojedę mu podziękować za to, ale opieki jawnie przyjąć nie mogę... wytknęłaby mnie palcem...

— Rozmówisz się o tém z Petrowiczem i ze stryjem — odezwał się Bolek — tymczasem kazałem bryczkę i konie przygotować — jedź...

Ta myśl że o Klarcię chodziło, skłoniła Karola do posłuszeństwa. Nie opierał się. Z nie-

pokojem w duszy jednak, nie czując się bezpiecznym, myśląc o sposobie wyrwania się ztąd, pojechał po południu do powiatowego miasteczka.

Petrowicz, który nigdy mu nie powiedział wyraźnie, że wiedział kto był, i tym razem najśmieszniej w świecie udawać począł, iż go ma za Ciesielskiego tylko. W téj ostrożności prawnika, który około prawdy krążył, obawiając się jéj poruszyć, aby na wszelki wypadek, gdyby coś zaśzło, miał jakiś środek tłumaczenia się—było coś tak dziwaczego i niezrozumiałego, że Karol staro posądził o zdziecinnienie.

Zaledwie mu począł dziękować, gdy Petrowicz syknął i przerwał:

— Ale za co tu dziękować? Ja pana znam jako Ciesielskiego i dyrygującego troskliwie wychowaniem sieroty. Z tego tytułu staruszek, wraz z państwem Bolesławowstwem, chce mu poruczyć opiekę nad wnuczką. Nie żadna to łaska, ale ciężar i obowiązek...

Jutro rano jedziemy do Przyrowa, bo staruszek bardzo źle, z testamentem spieszyć trzeba... Chory jest i niecierpliwi się.

Otwarciej wcale z sobą nie dawał mówić Pe-

trawic. Dodnia już byli na bryczce, i bez popasu zrobili pięć mil po groblach i piaskach.

Karol z powodu poróżnienia ze stryjem nie znał wcale jego rezydencyi, i nigdy tu nie był. Starzec żył na tém ustroniu zapadłém, nie dopuszczając do siebie żadnych wpływów zewnętrznych, nic zmienić nie pozwalając, tak jakby dla niego od końca XVIII wieku stanął zegar czasu.

Dom w ruinie, podtrzymywany tylko, służba osiwiła i po wiejsku przybrana, gospodarstwo zadawnione, przy największém skąpstwie, otaczało dogorywającego. Wszelkie stosunki urzędowe opierały się o folwark, nie dochodząc nigdy i nie tykając dworu. Starzec opłacał się za to, mimo skąpstwa, sownie, ale nowego porządku znać nie chciał.

We dworze żaden nowy sprzęt od czasu Rzeczypospolitej nie przybył. Wszystko było stare, utrzymane starannie, połatane, ale jednolite i wydawało się jakby dekoracya teatralna z przeszłego wieku.

Z dawniej zamożności pozostały tu zabytki i pamiątki cenne, do których już nic później nie przybyło.

W ganku powitał siwy, w czarnej czapeczce sługa, zgięty, drżący, zgrzybiały, bezzębny, ubra-

ny w grubą liberyą sieraczkową, i dwóch chłopaków w sukmanach, płóciennych spodniach i podartych butach. Z nim, po oznajmieniu o przybyciu ich, przeszli cały szereg izb niskich, ciemnych, zadusznych, zastawionych staroświeckimi szafami, biurami, zegarami, komodami, zawieszonych gdzieś wypłowiałymi gobelinami, pełnych portretów zczerniałych i powydymanych—aż do sypialni starego.

Ogromne, stare łoże z pawilonem z kitajki karmazynowej, która miejscami w pomarańczową wypelzła, obłożone poduszkami, kołdrami i okryciem z którego wata wyglądała miejscami, przy nim para szerokich krzeseł i stoliczek pełen flaszeczek i słoików, zajmowały znaczniejszą część sypialni.

Stara, otyła kobieta, w ogromnym czepcu nakrochmalonym ze szlarkami, krzątała się około chorego, którego wyżółkła twarz, długa, rozlana, ze zgasłemi, głęboko zapadłemi oczyma—odbijała od białych poduszek, co ją podtrzymywały.

Petrowicz, nie mówiąc słowa, wprowadził Karola, wskazując na niego. Błada twarz podniosła się i oczy zgasłe zwróciły ku niemu. Dwie dłonie drżące pochwyciły schyloną głowę... Karol począł je całować wzruszony...

W téj chwili i Petrowicz zniknął i kobieta się wysunęła z pokoju—zostali sami.

— Stań tak, abym ci się przypatrzył—odezwał się głos słaby i drżący — przeciw światła... Oczy mam słabe...

Patrzył starzec i coś jak łkanie odezwało się w piersiach jego.

— A teraz siądź, tu — blisko przy mnie i mów—mów!! Chcę wiedzieć wszystko. Srodze dotknęła ręka Boża rodzinę naszą... Co za losy, co za tragedye, ile łez i nędzy—mówił stary powoli głosem przerywanym. Bogu niech będą dzięki, że ja wczas się dowiedział...

Tu przerwał sobie narzekanie staruszek i zwołna przesuwając głowę na poduszkach, tak aby się zbliżyć do Karola, opowiadać mu kazał wszystko, od pierwszej podróży w odległe północy kraje, aż do cudownego ocalenia i powrotu.

Pomiędzy tą katastrofą, która była powodem, że śmierć Karola rozgłoszono, a zdobyciem papierów Ciesielskiego, które dozwoliły bezpieczniejsz powrót przedsięwziąć, był pewien przeciąg czasu straszną, w nędzy, o głodzie zapełniony włóczęgą, bez nadziei ocalenia, w nieustannéj obawie.

Karol z rozrzewnieniem mówił o tém, bo w tém położeniu rozpaczliwém przekonał się do-

wodnie, że człowiek nie jest tak zepsutym, tak złym jak go zgorzknieli malują pesymiści. Wszędzie wyciągały się dłonie litościwe, a najdziksi ludzie mieli poszanowanie dla niedoli i spełniali obowiązki miłosierdzia nie przyjmując słowa podzięk. Odwracano oczy, aby nie widzieć, gdy wzrok mógł być groźbą... Nędza dzieliła się ostatnim chleba kawałkiem...

Starzec z niedowierzaniem prawie wyznał tych słuchał; niekiedy mruczał coś niewyraźnie, czasem rękę wyciągał i zinnemi, wychudłemi palcami ścisnął gorącą dłoń synowca.

Wistocie cała ta powieść wydawała się czémś jakby z tysiąca nocy wydartém, nieprawdopodobném — a grozy pełném, ale w naszych losach nauczyliśmy się wierzyć nawet w to, co gdzieindziej bajeczném by było.

Gdy Karol skończył, stary głęboko westchnął.

— Lżój, lżój mi będzie umierać teraz—rzekł. Przynajmniej to, com ja przez długie życie od rozproszenia i zmarnowania uchował, nie pójdzie w obce ręce... Zachowujcie, nie marnujcie, nogami i rękami trzymajcie się ziemi, aby nas los żydów nie spotkał—tułactwo, a z niém życie pasorządów, co się muszą mścić na krwi cudzej za to, że ich z ojczyzny wydziedziczono.

Klarcie mi przywieść potrzeba, abym ją zobaczył i pobłogosławił...

Długo trwały pytania, odpowiedzi i cicha rozmowa. Stary powracał ciągle do upartej myśli swój: trzymajcie się ziemi i ciułania grosza.

— Śmieli się ze mnie i ohydźli w oczach całego świata za skąpstwo i pieniactwo... alem ja mój spokój i wszystko poświęcał, aby nie uronić com wziął a przysporzyć...

Jesteś ojcem—dodał zwracając się do Karola—nie dawaj córki takiemu, któryby nie umiał utrzymać, dorobić. Zostawuję wam procesa, trzeba je prowadzić do końca i wygrać. Zakazuję zgody pod błogosławieństwem — chodzi o ziemię... ziemia to nasza! nie puszczać jój! nie dawać!!

Stary się rozgorączkował i zakaszał, a że już mówił za długo, z za pawilonu ukazała się w białym kornecie kobieta i pośpieszyła z kubkiem ziółek, domagając się aby pan mówić przestał.

Dawano właśnie do stołu i stary sługa wyciągnął z sypialni Karola. W jadalnym pokoju oczekiwał na niego Petrowicz... Nakryto dla nich bieliznę zżółkłą od leżenia, ustawiono stare tale-rze z saskiej porcelany, szkło z Augustowskich czasów, srebro użyciem wysłizgane i pogięte. Obiad też był zabytkiem kuchni naszej tradycyj-

nej, począwszy od krupniku do kończących go naleśników. Butelczyna wina starego, nieosobliwego stała na kredensie, a posługujący stary nalewał z niej ostrożnie nie zapraszając do wypróżnienia kieliszków.

Po obiedzie staruszek usypiał i goście siedli przy kominku odpocząć.

Petrowicz był milczący, ale pogodnego oblicza. Chciał z czasu korzystając odczytać Karolowi testament, lecz ten oparł się i prosił aby go oszczędził. Widok tego dworu, starca, tego kończącego się życia, jakby urwanego bez dalszego ciągu, bez spadku obyczaju i zachowywanego tu przez lat tyle porządku, miał w sobie coś tak smutnego, iż Karol patrzył nań jak w grób.

Przy najgorętszej chęci zachowania tu pozostałości po starym, zacoфанym człowieku — wszystko z nim musiało iść do mogiły. Sztucznie przedłużony żywot miał się nagle i gwałtownie skończyć — powódź miała zalać ten kąt dotąd od zalewu ocalony...

Wieczorem przywołano Karola do stryja, później wezwano do Petrowicza, ale starzec był zmęczony i pilnująca go jęjmość prędko się gości pozbyła.

Dzień następny był przeznaczony na spełnie-

nie formalności i Petrowicz wszedł pierwszy z papierami; a dopiero po podpisaniu ich, stary się upomniał o Karola.

Słuchał go ciekawie przez dzień cały, a choć mu niedawano się męczyć mówieniem, niezwykle zajęcie, natężenie uwagi, wrażenia jakich doznał, zmusiły starego wieczorem pożegnać synówca, potrzebował spoczynku...

Pobłogosławił go ze łzami—i raz jeszcze powtórzył:

— Pamiętaj, żeby się to nie zmarnowało.

Umówioném było, że Karol, gdy starzec odpocznie cokolwiek, miał tu z córką i Bolkiem przyjechać do niego. Inaczéj jednak los zrządził.

We dwa dni po powrocie do Pustelni, nadbiegł od Petrowicza posłaniec oznajmujący, że staruszek nazajutrz po wyjeździe ich z Przyrowa życie zakończył, bez boleści, bez konania, we śnie spokojnym. Zrana znaleziono go ostygłym, z rękami złożonemi na piersiach.

W miesiąc potem w Pustelni nie było nikogo, Karol uznał niemożliwém mieszkać tu dłużej, i za zgodą państwa Bolesławowstwa wyjechał do Warszawy. Miano mu tam odwiedzić Klarcie, przy której czas jakiś pani Wanda mieszkać się obowiązywała.

Bogusław wiedział o wszystkiém co zaszło i przyjął wiadomość o losie swój przybranój córki radośnie, ale wyjazdu do Warszawy nie pochwalał; wolałby był ją mieć bliżej. Miał za złe Karolowi oddalenie się ztąd, przypisując je pewnego rodzaju obawie i niedowierzaniu.

Tymczasem nie okazało się to zbyt cenném, bo Bolek wkrótce się przekonał, spotkawszy z panem Piotrem Zbąskim, że i ten już był wtajemniczony: Bogusław sekretu przed nim utrzymać nie mógł.

Po sąsiedztwie i okolicy chodziły najdziwniejsze wieści o tym panu Ciesielskim, o testamentie starego skąpca, o wychowaniu Klarci — a w domysłach, które oburzały, przebijało się coś tajonój prawdy... Mówiono tak wiele, tak głośno naostatek, że urzędnik powiatu zjechał do Bolka; na pół poufnie, pół urzędownie zakomunikował mu wieści, które mogły go zmusić do zbadania ściślejszego, czy plotka ta nie kryła w sobie coś podejrzanego.

Bolek umiał tak przyjąć i ułagodzić dobrze usposobionego pana naczelnika, iż na czas jakiś niebezpieczeństwo usunięte zostało; ale Karol musiał w téj chwili opuścić nowe swe schronienie, wyrzec się urzędownię opieki i wyjechać do Lwowa.

Lat ośm upływało od téj Nocy majowój,

pamiętnéj w życiu Karola... Patrzył on teraz na ślicznie rozkwitłe dziecię swe, które wyrosło na uroczą dziewczynkę.

Znało ono w nim zawsze tylko przyjaciela, opiekuna ukochanego, tego który czuwał nad nią i tchnął w nią własnego ducha, starając się stworzyć ideał niewiasty, ze smutnéj sieroty. Miłość dokazuje cudów, a tu nie potrzeba było nawet nadzwyczajnego wysiłku, aby na roli przygotowanej przez matkę, wypielegnować co ona zostawiła w zarodku. Karol czuwał, aby żaden wpływ szkodliwy, żaden powiew za chłodny lub wyziew za gorący nie zwarzył téj roślinki wątłej, dopóki by sił nie nabrała.

Dziwną sprawą ducha, w miarę jak córka rozwijała się, krzepiła, męźniała, dojrzewała — ojciec zaczął tracić siły i wycieńczony w oczach niknąć się zdawał.

Wychowanie dziecka tylko trzymało go przy życiu, które dla niego nie miało uroku. Znękany, tęsknił za spokojem. Smutek, który go nie opuszczał nigdy, był tak łagodnym i zdawał się wplecionym w jego naturę, nieodłącznym od temperamentu, iż nie raził nikogo. Uśmiech na ustach był czémś tak nadzwyczajném, iż Klarcia się go prawie lękała.

Niemłoda i poważna wdowa po profesorze, była w wychowaniu dziewczęcia pomocą ojcu, który zawsze tylko występował jako przeznaczony opiekun i dozorca. Pani Wanda też przyjeżdżała często z mężem i przesiadywała przy nich.

Pierwszy Bolek postrzegł, po dłuższej niebytności przybywszy do Lwowa, wielką zmianę w przyjacielu.

Znalazł go nie tylko zestarzałym nagle, ale widocznie cierpiącym. Na zapytanie jednak Karol mu odpowiedział, że się wcale źle nie czuje.

— Nic mi nie jest, owszem patrząc na Klarcię czuję się szczęśliwym, spokojny jestem o jej przyszłość, a gdyby mi dziś przyszło was i ją pożegnać, zamknąłbym oczy pewien, że spełniłem obowiązek i uzbroiłem ją do życia.

Teraz pozostaje tylko czuwać, aby zrobiła wybór dobry... Na wielbicielach i starających się nie zbywa. Dwóch hrabiów, kilku bogatych paniczów, jeden niemiec z arystokracji austriackiej—mamy w czém wybierać.

— A Klarcia?—zapytał Bolek.

— Patrzę, czuwam—odparł ojciec—ale odgadnąć jej nie mogę. Zdaje się, że się bawi wszystkimi, ale żaden z nich szczególnie jej nie zajmuje. Nie nagle też o uczynienie wyboru, bo

gdyby zamąż poszła, nie wiem cobym robił na świecie. Życie nie miałoby celu... Westchnął.

Zimę tę państwo Bolesławowstwo spędzali we Lwowie.

Pobyłt ich był wistocie równie potrzebnym dla Klarci jak dla jęj ojca.

Po kilku dniach Bolek postrzegł wielką zmianę w Karolu, nie tylko na zdrowiu, w humorze i usposobieniu, lecz w ugniatającym smutku, tęsknocie, które zdawały się być teraz jego stanem normalnym. Zmuszał się dla przyjaciela do wesołości, dawał się na krótko rozerwać, potem wpadał znowu w tę nieuleczalną melancholię.

Klarcia przed panią Bolesławową mówiła o tém ciągle, że się niepokoi bardzo o swego opiekuna, który widocznie był cierpiącym.

Przyczyn tego pogrążenia jakiegoś odkryć trudno było. Bolek się domyślał iż chyba obawa utracenia Klarci, gdyby zamąż wyjść miała, wprawiała go w ten niepokój. Ale o téj ewentualności mówił Karol zupełnie spokojnie. Przywiązany był do dziecięcia i o szczęście jego dbał przedewszystkiem.

Jednego wieczoru, gdy się jakoś serdeczniej rozgadali z Bolkiem, tajemnica wyrwała się z duszy Karola.

— Bardzo mi tu dobrze z Klarcją, nie mogę nic więcej pragnąć nad to co mi łaskawy los dał w nagrodę za długie cierpienie—ale, mój Boleku, uwierzysz ty temu, że często wspominam z tęsknotą te chwile, które w niepokoju i niepewności spędziłem w Pustelni. Tak, coś nieprzewycięzonego ciągnie mnie tam, do tych miejsc w których upłynęła młodość moja. Jest to jakby nie tylko potrzeba duszna, ale magnetyczną siłą, śnię o tamtym kraju, serce się do niego wyrывa na mogiły. Miłość dla dziecka mnie tu trzyma, a tęsknota silna jak śmierć, nienasycona jak konieczność, pcha mnie tam... na groby... Któż wie? może do grobu. Z każdym dniem silniej to czuję!

Jeżeli Klarcia zamąż wyjdzie, nie jestem pewien czy wytrzymam.

— Mój Karolu—przerwał Bolek—jest w tém trochę przesady może chorobliwej, chociaż wyrozumiały jestem dla téj tęsknoty twojej i pojmuję ją. Tu w Galicyi jesteś przecie w swoim kraju, nie wśród obcych, czujesz się pomiędzy braćmi.

Karol się uśmiechnął smutnie.

— Muszę ci przypomnieć—rzekł—że Niemcy, którzy w definicyach celują, ojczyznę dzielą na dwojaką—szerszą i ciaśniejszą. Otóż ja tęsknię za tą drugą, za moją wsią, cmentarzem, drzewami i powietrzem w którym się one kołyszą.

Mówiąc to Karol miał oczy zwilżone, choć usta mu się uśmiechały.

— Wina to zapewne wieku być musi — dodał. Życie ludzkie ma niezbadane tajemnice. Któż wie, czy ciało nie potrzebuje leżeć tam gdzie rosło? Kto wie, czy zbliżanie się śmierci nie wywiera wpływu.. *abyssus vocat*, grób woła może...

— Ależ do grobu i śmierci daleko! zawołał żywo Bolek. Nie masz prawa mówić o tém. Klarcie wydamy zamąż i — będziesz wychowywał wnuki...

Zamachnął ręką Karol.

— Nie — rzekł — siły się wyczerpały. Żyłem bom był obowiązany, ale dłużej trudno mi będzie! Niepodobna. Zaczął się przechadzać po pokoju.

— Na prawdę — rzekł — bardzo bym rad pojechać tam, posiedzieć, pozostać...

I nagle wtrącił pytanie:

— A propos — nie wiesz, żyje stary Jakób?

— Żyje, ale już tylko modlitwą i pokutą. Po całych dniach klęczy i pacierze odmawia.

Nic nie odpowiedział Karol. Bolek po chwili czuł się obowiązany dorzucić uwagę, że podróż w tamte strony nie byłaby może bezpewnego narażenia się, gdyż w okolicy wiedzieli niemal wszyscy, jeżeli nie z zupełną pewnością, to jako pogłoskę i legendę, historią Karola i jego

powrotu do kraju. Sam pan Bogusław po wyjeździe Karola nie bardzo się taił z tragedią swojego życia. Szukał w niej niemal chluby.

— A! a, przerwał Karol—takie stare dzieje! co to dziś kogo obchodzić może... kto ja jestem... Starzec bezsilny, nikt się mnie lękać nie może. Przeżyłem się. Mógłbym się zaszyć w kątek gdzieś razem z Jakóbem i nikt by nie wiedział o mnie.

Rozmowa ta mocno uderzyła Bolka, ale nie brał jęj na seryo i gdy się później rozmyślił, poczytywał to co Karol mówił, za fantazyą przemijającą. Tymczasem melancholia biednego człowieka nie tylko nie ustępowała, ale się stawiała z każdym dniem wydatniejszą.

W czasie karnawału, dawniej już pannie Klarcze znajomy, młodzieniec ze wszech miar zasługujący na to, aby go wyróżniła wśród tłumu swych wielbicieli, hrabia Artur S..., widocznie względy jęj zyskiwać zaczął.

Karol zapytał ją otwarcie czy mu sprzyjała, Klarcia się zarumieniła i zdradziła. Ojciec i Bolek poszli oba na zwiady, nic zarzucić nie było można ani rodzinie, ani pretendentowi, który przed końcem karnawału się oświadczył opiekunom i został przyjęty.

Nie chciano odkładać wesela i postanowiono

je odbyć zaraz po Wielkiej nocy. Wyprawa była gotowa, a to co brakło do niej, w samym Lwowie i Wiedniu prędko dopełnioném być mogło. Karol nie tylko nie zwlekał i nie ociągał zamążpójścia córki, ale zdawał się być za pośpiechem.

— Mój drogi — mówił do Bolka — nie rozporządzamy czasem, jest to jeden jedyny skarb, z którego gdy dla szczęścia pochwycić się coś daje... trzeba korzystać! Dni i godziny nasze są policzone...

Im bardziej zbliżało się wesele, tem ojciec zdawał się niecierpliwszym i niespokojniejszym. Klarcia z mężem, posłuszni niedorzecznemu obyczajowi europejskiemu, zaraz po ślubie wybierali się w długą podróż do Włoch.

Wprost z cukrowej kolacyi, odprowadzeni przez wszystkich gości, przyjaciół, przez Karola, któremu Klarcia raz jeszcze do nóg upadła, wsiadając do wagonu—państwo młodzi na Wiedeń, przez Semering polecili na skrzydłach pary do Tryestu i Wenecyi. Bolesławowstwo i Karol wrócili smutni do opustoszałego mieszkania. Pierwsi wybierali się z powrotem do domu, Karol o sobie nie mówił nic. Zdawało się, że myśl przeniesienia się znowu do kraju była zaniechaną.

Nazajutrz, gdy Bolek zmęczony dniem po-

przedzającym, nie rano wstawszy, poszedł szukać przyjaciela, z wielkiem zdumieniem swém nie znalazł go w domu, a na stole kartkę tylko:

„Mój drogi, nie szukaj mnie proszę—potrzebuję spoczynku, muszę się oddalić, ale nie żegnaj cię, i mam nadzieję, że na tym świecie zobaczymy się jeszcze. Twój K.”

Państwo Bolesławowstwo, znając jego przywiązanie do córki, posadzili go, byli prawie pewni tego, że podążył za nowożeńcami, aby niewidzialnym być ich szczęścia stróżem.

I była znowu prześliczna Noc majowa piękniejsza od tamtych dwu, z ciepłym deszczem i groźną burzą piorunującą — była rzadka u nas majowa noc, ciepła, z księżycem, gwiazdami, wonią wszystkich drzew rozkwitłych i rozśpiewanemi słowikami...

Ale w tym domu któryśmy widzieli przed laty ze światłem w oknach, z życiem w nim, otoczonym kwiecistym ogrodem—w domu tym było ciemno. Pozamykane okiennice, zaniedbane ścieżki, zdziczałe krzewy i kwiaty dowodziły, że tu zdawna nikt nie mieszkał, że dwór stał pustką... Ciszy grobowej nie przerywał nawet szelest wiatru, słowicze śpiewy rozlegały się wśród niej szeroko, swobodnie.

Było około północy.

Przed domkiem ogrodowym, w którym niedyś Jakób mieszkał, na ławce siedział starzec przygarbiony z różańcem w ręku mruczając modlitwę; księżyc w pełni oświecał całą tę ścianę zgrzybiałego domku i człowieka. Dom ten i człowiek byli jakby stworzeni, aby jeden stanowili obrazek.

Staruszek—był to Jakób jeszcze—nie zdawał się nic słyszeć i' na nic patrzeć; wzrok i słuch, duch jego cały skupiał się gdzieś w głębiach i zwojach mózgu, na którym przeszłość powyciskała swe stopy. A jednak, gdy coś zaszeleściało za ogrodem, gdy lekko zaskrzypiała furтка, a potem niedosłyszane prawie kroki i cichy chrzęst gałęzi mieszał się z słowiczą pieśnią — stary się poruszył czujnie. Różaniec mu zadrgał w ręku, znużone oczy zwróciły się w tę stronę, z której szelest dochodził.

Nagle zgarbiony ten i zgrzybiały staruszek dźwignął się jak sprężyną poruszony i stanął.

W dali z pod nawisłych gałęzi drzew zamigotał cień wśród nich się poruszający. Był to człowiek, który powoli szedł, stawał i oglądał się.

Jakób przetarł o czy i przeżegnał się. Było-li to widmo??

Przychodzący nie widział starca, może nie patrzył w tę stronę. Szedł prosto ku domowi, bez ścieżki, przedzierając się przez krzewy, jakby mu pilno było dostać się do pustego domu.

Krokiem przyśpieszonym zbliżył się aż pod ścianę samą, padł na kolana i głowę wsparł na nią.

Jakób, który dotąd osłupiały patrzył zdala, ruszył się teraz szybko, ale biedne stare nogi, nienawykłe do pośpiechu, płatać mu się zaczęły. Musiał się zatrzymać, odetchnąć.

Trwało to krótko, z powracającą siłą zbliżać się począł do klęczącego, który pozostał nieruchomym.

Z piersi wyschłej wyrwał mu się wykrzyknik:
— Karolek!

Z wyciągniętymi rękami przyszedł aż do niego, pochylił się i głosem rozrzewnionym odezwał:

— Paniuńciu!

Tak, był to Karol powracający tu raz jeszcze, ale tak wycieńczony znużeniem i uczuciem, że na wpół omdlały pochylił się gdy Jakób objął go rękami.

Stary z wielką trudnością mógł go podźwignąć z ziemi.

— A! żem ja też dożył tego, aby was tu zobaczyć jeszcze—począł Jakób.

Karol nic mu nie odpowiedział, dał się prowadzić bezwładny i milczący. Pusty dwór był pod dozorem starego, który miał od niego klucze.

Posadził na ławce w ganku swojego pana, a sam pośpieszył, dawno nieotwierany dwór — odmykać.

Wszystko już spało od dawna w gospodarskich budowlach, mogli więc swobodnie, niewidziani przez nikogo, dostać się do wnętrza.

Karol szedł ze strasznie rozwartemi oczyma, tocząc niemi dokoła.

Wszystko tu było tak jeszcze nieporuszone, jak śmierć biednej kobiety zostawiła. W sypialni wisiał portret na pół krepą osłoniiony, stało łóżko na którym skonała, kolebka Klarci, jej zachowane dziecinne zabawki. Na stoliczku pyłem okryta porzucona robótka i książka donabożeństwa.

Życie nagle urwane, niedokończone, zmartwiałe, swoim trwaniem urągające się krótkowieczności człowieka, z ironią jakąś złośliwą przeciągało byt bezduszny...

Karol kląkł się modlić i zakrył oczy... Jakób też, za nim stojący, złożył ręce, szeptał pacierz i płakał.

Karol dotąd nie przemówił słowa do niego.

Naostatek zachwiał się i padł na najbliższej stojące krzesło.

Wszystko to trwało tak długo, przeciągało się z tém beczuciem czasu, jaki daje boleść głęboka, że Jakób widząc przez okiennice wciskający się pierwszy brzask dnia, ośmielił się spytać pocichu, czy nie potrzebuje pan spoczynku.

Karol poruszył głową tylko i zdawał się chcieć pozostać jak był.

Na myśl przyszło staremu, aby pomyśleć o pokarmie, wyszedł więc na palcach, zostawiając go w sypialni samego.

Na przyjęcie jakiegokolwiek gościa nie miano we dworze przygotowania żadnego. Gdy starszek obudził ochmistrzynią, powiadając przed nią, iż państwo tu przysłali kogoś od siebie, a trzeba go nakarmić i mieć o nim staranie—porwała się kobiecina przestraszona głowę tracąc. Rozbudzono służące, zaczęto ogień rozpalać, ruch się zawziął około domu.

Jakób tymczasem niespokojny wrócił do sypialni. Zastał tu Karola tak jak go porzucił, siedzącego w krześle, spartego na rękę.

Gdy okiennice otworzył i biały dzień oświecił pokój—złął się stary widząc pana swojego tak zgrzybiałym, zestarzałym, strasznie wycieńczo-

nym, że więcej do trupa niż do żyjącego człowieka był podobnym.

Trzeba go było karmić jak dziecię i zmusić niemal do odżywienia. Wpadł potem w sen chorobliwy, i z głową zwieszoną na piersi, usnął, a Jakób usiadł na straży.

Było już południe a sen ten ciężki nie ustawał. Staruszek zbliżał się niekiedy nad słuchując oddechu, i wpatrując się w twarz okrytą zmarszczkami i bladością śmiertelną.

Nareszcie zwolna podniosły mu się powieki. Karol westchnął. Jakób się zbliżył do niego.

— Musimy na jej grób pójść jeszcze—odezwał się głosem ochrypłym i wygasłym.

— Dobrze, gdy pan cokolwiek odzyszcze siły... rzekł Jakób.

— Ale ja je mam — rzekł Karol, chcąc powstać — i póki je czuję, zaraz, dziś iść potrzeba.

Stanął na nogi, zachwiał się na nich i opadł na krzesło.

Uśmiech bolesny przebiegł mu po wargach.

Korzystając z krótkiego milczenia, stary począł dowodzić, że potrzeba się było posilić koniecznie, bo człowiek już ciż powietrzem nie żyje.

— Ty nie wiesz — boleść żywi... dopóki nie zabije! — odparł Karol.

Udało się jednak Jakóbowi zmusić pana i do pożywienia się i do spoczynku, ale nazajutrz oba iść mieli na cmentarz. Karol zasnął snem kamiennym. Stary pozostał na straży.

Noc nadeszła chmurna i obłoczysta, z wiatrem chłodnym.... Księżyc się osłonił, deszcz pruszyć zaczął, tylko uparte słowiki śpiewały ciągle...

Nadedniem zasnął i modlący się Jakób. Obudził się gdy już przebijające ranne wyziewy i opary słońce zajaśniało na wschodzie i promień jego wpadł do sypialni przez niedomkniętą okiennicę.

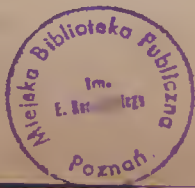
Na palcach zbliżył się do łóżka... Oddechu słyhać nie było... twarz wydała mu się trupio-błada; zwolna przyłożył rękę do czoła—zastygłe było i jak marmur zimne... Przez usta otwarte wiał chłód śmierci...

Karol nie żył.

Jakób przy łóżku kląkł na modlitwę, schylił głowę — i tak ich obu później znalazła martwych przychodząca ochmistrzyni, gdy do wieczora nie dali znaku życia.

Popłoch zrobił się straszny we dworze, a w parę dni potem Bolesław ciało przyjaciela i starego sługi złożył na cmentarzu obok zwłok téj, za którą tęsknota zabiła wygnańca...

KONIEC.



Biblioteka Raczyńskich

JK 654



JK0654